



SIGGE EKLUND

Zaginiona dziewczynka, zrozpaczeni rodzice,  
bolesna prawda z przeszłości

# W GŁĘB LABIRYNTU

 PWN

## Åsa

*grudzień 2010–styczeń 2011*

Nie pamięta snu, a jedynie to, że coś kazało jej wstać z kanapy, gdzie najwyraźniej zasnęła. Mija sypialnię, skąd dobiega ją równy oddech Martina. Ostrożnie, aby go nie zbudzić, schodzi na dół i narzuca płaszcz, nic więcej.

Zimna grudniowa noc. Idąc przez trawnik, Åsa czuje na gołych łydkach chłód, jakby brodziła w lodowatej wodzie. Wychodzi na ulicę i jak zwykle kieruje się do lasu, chowa za drzewami, głęboko oddycha. Przestrzeń między nią a domem wypełniają drobne płatki śniegu – wyglądają jak zawieszony w powietrzu.

Z miejsca, w którym stoi, rozciąga się widok zarówno na willę, jak i na restaurację. Nareszcie zbliża się do tego stanu – jak się jej wydaje – gdy nagle przesywa ją dreszcz i przypomina, jak w dzieciństwie bała się ciemności.

Dziesiątki razy odwiedzała to miejsce, próbując wyobrazić sobie, co czuł i co myślał, lecz teraz, kiedy jej się wreszcie udaje – kiedy czuje, że n i m jest – ogarnia ją odraza. Niemal biegiem rzuca się w kierunku rozjarzonej ulicy. Na chwilę przystaje w kręgu światła pod latarnią, zbiera siły. Potem cofa się do znajomego zakątka w lesie. Tym razem jest już lepiej, znów wchodzi w ten stan, wyobraża sobie, że jest 3 maja 2010 roku, gdzieś koło wpół do dziesiątej, i że ona to on. Właściwie nic nie wskazuje na to, że stał akurat w tym miejscu, może poza tym, że osoba, która chciałaby obserwować willę i restaurację oraz teren między nimi, miałaby stąd dobry widok.

Zamyka oczy: czuje podniecenie łowcy. Ofiara jest w domu, za chwilę ją dopadnie, zaraz nadejdzie moment ataku. Powoli schodzi ze zbocza, ostrożnie, żeby nikt jej nie widział, stale skupiona na tym, co on mógł czuć w tamtej chwili. Nagle coś się dzieje i Åsa traci z nim kontakt, zostaje sama. Tam, gdzie zawsze.

Zdażyła się już do tego przyzwyczać i za bardzo nie roztrząsać tego uczucia. Postanawia kontynuować pracę, nie ma wyboru. Musi się ruszyć, idzie więc drogą do Brommaplan i skręca w las, rozważając teorie, które w ostatnich dniach analizowała, i próbując określić, czy mają sens. Rozmyślenia pochłaniają ją do tego stopnia, że nie zauważa, iż dotarła na szczyt pagórka, do labiryntu wysypanego białym tłuczniem, który lśni w blasku księżyca.

Przystaje, spogląda na setki domków ścielących się u jej stóp, na rozgwieżdżone niebo ponad głową. W zimnym powietrzu unosi się intensywny zapach śniegu i lasu, w oddali słychać szum samochodów z obwodnicy, który to się natęża, to cichnie. Księżyc milcząco oświetla korony drzew. „Z ciszą trudno sobie poradzić” – myśli Åsa. Gdzieś tam kryje się odpowiedź. Prostota tego stwierdzenia jest nieznośna.

Zawraca do domu. Gdy mija restaurację, zaciska powieki, aby na nią nie patrzeć.

Kiedy przekracza próg, Martin już nie śpi. Przy zgaszonym świetle czeka w salonie na fotelu, półnagi i z zaciętą miną, jak ojciec niepokojący się o nastoletnią córkę.

Nagle zauważa, że jego broda naprawdę sporo urosła.

Siada na kanapie naprzeciw męża, zapala lampkę i czeka na wyrzuty. Zaraz się zaczną. Jak się spodziewała, on po raz kolejny chce drażnić temat, czy to „zdrowo”, aby włączyła się tak sama po nocy.

Przyjmuje jego wybuch jak zwykle, z pewnym podnieceniem wywołanym tym, że w ogóle dochodzi do konfrontacji, a on daje jakieś oznaki życia. Prosi więc o chwilę przerwy, idzie wstawić wodę na herbatę i zapala duże światło, po czym wraca na sofę.

– Czego ty szukasz? – pyta spokojnie Martin.

– Mam nową teorię.

– Może mi wyjaśnisz. Zamieniam się w słuch.

Åsa sączy herbatę.

– Zmieniłam swoje podejście do sprawy – zaczyna. – Uważam, że brak sygnału sam w sobie jest sygnałem. Wiesz, czarna dziura zasysa wszystko, nawet światło. Żadne informacje nie zdołają wydostać się na zewnątrz. Myślę teraz o miejscu, w którym ona przebywa, jak o czarnej dziurze.

Na jego twarzy maluje się nieufność.

– I dlatego krążę po okolicy, sprawdzając, czy uda mi się wyczuć to ssanie.

Przez chwilę przygląda się jej bez słowa.

– Jak na ciebie, brzmi to wybitnie pokrętnie.

– Nie wiem, czy tak bym to nazwała. Wszystko, co nastąpiło w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, było tak niewiarygodne, że według mnie istnieje prawdopodobieństwo, że coś niemożliwego wydarzy się jeszcze raz. Tak potężne siły zostały wprawione w ruch. Jeśli będę przechodziła obok miejsca, w którym ona przebywa, może się zorientuję. Może zdołam to wyczuć.

Przerywa i spogląda na Martina, który tymczasem odwrócił się do okna, jak gdyby wystawiał jej teorię na próbę i sprawdzał, czy coś z zewnątrz zacznie go do siebie przyciągać. Zdaje się, że bezskutecznie. Kiedy znów patrzy prosto na nią, minę ma równie stropioną co zawsze.

Åsa pociąga łyk herbaty. Ponieważ napój już wystygł, zastanawia się, jak długo właściwie trwała ta ich dyskusja. Od paru miesięcy utrata kontroli nad czasem sprawia, że czuje się nieswojo. Obserwuje Martina, starając się sobie przypomnieć temat ich rozmowy. Chyba dobrze, że zgubiła wątek. Uznała bowiem, że skoro stare i wypróbowane sposoby się zużyły, nie przybliżając jej do Magdy, wszystko, co każe jej myśleć niestandardowo, może wreszcie przynieść efekt. Każda wymiana zdań sprowadzająca szare komórki na jakieś nowe i nieoczywiste tory będzie *in plus*, bo kto wie, czy te bezdroża nie doprowadzą jej do nowych pomysłów.

Dociera do niej, że mąż pogubił się w jej wywodach – jak zwykle zresztą, prędzej czy później. Odstawia filiżankę i gasi światło. Wraca w ciemność.

Robota czeka. Ktoś musi ją wykonać. Policja najwyraźniej tego nie zrobi. Ani Martin. Zatem nie ma wyboru, sama musi się tym zająć. Dopiero przy swoim punkcie obserwacyjnym w lesie zdaje sobie sprawę z tego, że pogasiła lampy, choć Martin został w pokoju.

Środek nocy. Siedzi na kanapie, rozgląda się po salonie i otaczających ją nieruchomych przedmiotach. Meble stoją dokładnie tam, gdzie przedtem, jak gdyby nic się nie zmieniło. Jej wzrok zatrzymuje się na białej ścianie. Przemalowała ją w majowy weekend. Znów zaczęła stawiać pytania i czuje, że poszukiwanie odpowiedzi ją wzmacnia. Bo póki szuka, istnieje nadzieja, że ją odnajdzie, być może już niedługo. Najgorsze są chwile, kiedy nie ma już siły dążyć. Wówczas wszystko się na nią zwała, a smutek przygniata do łóżka.

Teraz pogrąży się w rozważaniach, podejmuje wysiłek, aż wreszcie owija się cienkim kokonem. Gdzie był, kiedy malowała tę ścianę? W pracy? A może nigdy nie pracował? Czy kiedy zanurzała pędzel w puszcze z farbą, on siedział w domu, obmyślając swój plan?

Kokon zaczyna pękać. Próbując się pod nim schować, Åsa przypomina sobie o istnieniu czasu „przed”, kiedy wszystkiemu teoretycznie można było zapobiec. Przeciągnęła wałek do góry i na dół – i już był. Starła kroplę farby, która skapnęła na podłogę – i już istniał. Umyła ręce – i już czekał. Gotowy do ataku.

Zaczyna żałować, że własnoręcznie pomalowała tę ścianę, zamiast wezwać profesjonalistę. Wizytę malarza na trzy dni przez zaginięciem z pewnością uznano by za bardzo interesujący trop.

Dopadają ją tak dobrze znane duszności, musi opuścić pokój. Wychodzi na zewnątrz w mroźny brzask. Nadal panuje ciemność, lecz ponad linią lasu widnieje już różowa smuga. Åsa beznamiętnie rejestruje, jak lśni ścięta mrozem trawa. Po chwili zdaje sobie sprawę z tego, że tylko to odnotowuje, nic więcej. Wszystko, co piękne, napawa ją lękiem, ponieważ prowokuje emocje, a ona nie chce czuć. Jak parę dni temu, kiedy Martin zapomniał wyłączyć ekspres i kuchnia przeszła tym cierpkim zapachem przegrzanej kawy. Dopadły ją wtedy wspomnienia. Jej dwupokojowe mieszkanko na Gärdet, nocne wizyty Martina na samym początku ich znajomości, ciepłe pocałunki, sprawne, spokojne i pewne pchnięcia, kiedy kochali się pod prysznicem, i to, jak później owinięci w koce przysiadali na parapecie, dzielili się papierosem, a za oknem padał śnieg. Te obrazy wydały jej się tak żywe, że aż się przestraszyła.

Przygląda się willom.

Saloniki czekają na rodziny pogrążone we śnie. Choinki z czerwonymi bombkami, prezenty, światełka palące się w nocy. I te zapachy unoszące się w całym domu – Åsa doskonale zna przedświąteczne aromaty: igliwia, detergentu i wczorajszego gotowania. Wszystko to przypomina jej o życiu z Magdą.

Niczym zahipnotyzowana zagląda sąsiadom w okna, ćwicząc te słowa. Niedługo będzie umiała je wyartykułować. Niechże już zadzwoni telefon, niech już przekażą tę wiadomość. Choćby nawet najgorszą. Już chyba tak by wołała. Bo ostatnie dni znowu okazały się trudne. Coś wewnątrz niej przygotowuje się do kapitulacji. Coś w środku się tego domaga.

Być może zaczęło się od tego, że podążając za radą Martina, wyszukała w sieci parę tak zwanych blogów aniołków. Od razu się zorientowała, że ich smutek nie równa się jej własnemu. Był nie tyle mniejszy, co inny.

Blogerki pisały o sposobach na „przepracowanie żałoby”, które stosowały, aby jakoś ruszyć dalej. Już samo „dalej” świadczyło o różnicy między nimi a Åsą. W przeciwieństwie do nich ona pozostała przywiązana do miejsca i sali tortur bez możliwości manewru, o „przepracowywaniu żałoby” nie wspominając. Czy do Martina to nie docierało? Najwyraźniej nie, co wzbudzało w niej złość, a zarazem smutek. Stojąc za jej plecami, przyglądał się, jak czyta, w oczekiwaniu – jak sądziła – że przytuli się do niego z wdzięczności za pokazanie jej tego źródła pociechy. Tyle tylko że ona widziała jedynie kobiety walczące o codzienność, o ucieczkę od okropieństw, których doświadczyły. Ostatecznie nie wytrzymała, odwróciła się do niego i zapytała go po prostu, czy on się w tym odnajduje. Wybałuszył na nią oczy i nie odezwał się ani słowem. W końcu powiedziała:

– Nie prowadzę walki o „dalej”, nie uciekam „od” tego. W tym, do cholery, cały problem. Staram się wrócić do tamtej nocy, aby zobaczyć coś nowego, żeby zrozumieć. Spójrz na mnie. Odpowiedz mi. Co dokładnie ich sytuacja ma wspólnego z naszą? Moje dziecko żyje, ich nie. To jest konkret i dlatego one mogą pogrążyć się w żałobie.

Milczał, jak zwykle prowokująco skonsternowany. Skończyło się na tym, że wyszła z pokoju, a on wycofał się do gabinetu.

Tej nocy ponownie śniła jej się piwnica, tym razem niezwykle ciasna i duszna, więc kiedy wreszcie znalazła Magdę w kącie, brak tlenu wyczerpał ją tak bardzo, że nie mogła jej pomóc. Bez względu na to, jak się starała, nie zdołała dosięgnąć tych jej małych rączek.

Po przebudzeniu pobiegła prosto do łazienki.

Potem nastał długi i mroczny okres. Dnie spędzała w łóżku, wieczorami włóczyła się po okolicy: chodząc, szukając, rozmyślając. Noce okazywały się nieco znośniejsze.

Dni były trudne. Zaciskanie dłoni na uszach, czasami wycie do poduszki, krążenie od pokoju do pokoju, odkrycie, że zaczyna śmierdzieć. Rozważanie kąpieli, rezygnacja z niej. Pisanie paru zdań i wyrzucanie wszystkiego do kosza. To były tylko słowa, mizerne samoumartwianie się, które oddalało ją od pracy, jaką miała do wykonania.

Martin trzymał się na uboczu z wyjątkiem jednego poranka, kiedy przyniósł jej śniadanie. Uderzyła go wtedy. Pierwszy raz. Oczywiście natychmiast tego pożałowała, ale z drugiej strony musiała przecież wyznaczyć jakieś granice. To ten jego współczujący wzrok tak ją rozjuszył.

Kiedy podszedł do łóżka, wymierzyła mu w twarz taki cios, że upuścił tacę na podłogę, a herbata rozbryznięła się po ścianie. Plaśnięcie odbiło się po pokoju echem, a on zamarł z osłupienia.

– Co ty robisz? – zapytał.

Sama siebie zaskoczyła i szukała wyjaśnienia swojej reakcji.

Potem powiedziała, że zniknięcie Magdy to jego wina – być może niepotrzebnie, chociaż on sprawiał wrażenie, jak gdyby go to w ogóle nie obeszło. Mruknął coś niewyraźnie i znów się ulotnił.

Brak protestu z jego strony może wydawać się wspaniałomyślny, a jednocześnie jego wyrozumiałość doprowadza Åsę do szału, ponieważ postrzega go jako zupełnie bez wyrazu. Martin, podobnie jak policjanci, jest zagubiony i niezdolny do działania. Jasne, że sama bywa trudna, ale przynajmniej od czasu do czasu wykazuje trochę energii. Tylko z rezygnacją sobie nie radzi. Czasami ma wrażenie, jakby on nie rozumiał, co się stało. Już w pierwszej fazie zauroczenia stwierdziła, że irytuje ją jego niezdolność do odczuwania głębokiego smutku.

Tymczasem znowu tkwi na kanapie, wpatrując się w ścianę, którą pomalowała trzy dni przed zniknięciem córki.

Niektórych wspomnień nie da się wymazać, bo szczypią. Jak to z czasów, gdy córka była mała i próbowała nocami wślizgiwać się do ich łóżka, na co Åsa nie pozwalała. Wymyślony przez nią system gwiazdek przyklejanych w nagrodę, gdy małej udało się przespać noc we własnym pokoju, wydaje się teraz dosyć dziwaczny. Próbuje oczywiście przypomnieć sobie, co tym chciała osiągnąć, ale to takie trudne.

Magda była inna niż wszystkie dzieci, nie tak łatwo było ją zrozumieć. Od małości rzucały się w oczy jej ostrożność i bojaźliwość. A także upór, krnąbrność. Åsa myśli nawet, że dziewczynka w jakiś niezrozumiały sposób przeczuwała, że spotka ją coś okropnego. Tłumaczyłoby to mrok, który od zawsze w niej drzemał. Na przykład kiedy poszła do zerówki, gdzie rankiem jej rówieśnicy beztrudnie machali rodzicom na pożegnanie, ona zmuszała Åsę, by została do przerwy obiadowej. Bo, jak twierdziła, boi się innych dzieci. Przerazały ją nauczycielka, boisko, wszystko.

„Niektórzy z nas już się tacy rodzą” – stwierdził Martin, genetyczny determinista, kiedy żona zrelacjonowała mu tę sytuację. Upiekł w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu: z jednej strony dał do zrozumienia, że jego i Magdę łączą szczególne więzi, z drugiej, że osobowość jest czymś wrodzonym. Dwa tematy, o których wiedział, że działają na nią jak płachta na byka. Nigdy nie przepuszczał okazji do uszczypliwości.

Kiedy tak się zmienił? Wiedziała, że na długo przed zaginięciem córki, ale kiedy dokładnie? I dlaczego?

Wieczorem wychodzą na długi spacer nad wodę. Docierają do porośniętego dębami pagórka, gdzie przysiadają na ławce, aby popatrzeć na fiord pokryty lśniącym spękany lodem. Niebo ma odcień głębokiego granatu.

– Opowiedz coś o Magdzie – prosi Åsa.

– W jakim sensie?

- Coś, o czym nie wiem. Jakieś wspomnienie, którym się ze mną jeszcze nie podzieliłeś.
- Masochistka z ciebie.
- Nazywaj mnie, jak chcesz, ale daj mi coś. Potrzebuję tego.
- Nie wiem co.
- Nie ma pośpiechu. Posiedzimy sobie, dopóki na coś nie wpadniesz.

Przez chwilę trwa cisza, po czym Martin ze wzrokiem nadal utkwionym w zatoczce zaczyna opowiadać:

– Pewnej nocy, kiedy Magda miała siedem lat, obudziła się i zaczęła nas wołać. Spałaś, więc zszedłem do niej i przysiadłem na brzegu łóżka, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Musiałem przysnąć, bo nagle ocknąłem się, a ona głaaskała mnie po twarzy. Nigdy wcześniej tego nie robiła i jak tylko zorientowała się, że ją widzę, cofnęła rękę i schowała się pod kołdrę... Zadowolona?

Åsa odwraca się od niego. Słyszy jego szloch, dość głośny i przenikliwy, jak u kobiety. Od miesięcy nie widziała, by płakał. Nie może tego znieść.

Wstaje i odchodzi, zostawiając go samego.

– To ja jestem podejrzany! Tobie policja przynajmniej dała spokój! – woła za nią.

Åsa idzie szybko i zdecydowanie, byle stąd odejść, lecz jego głos podąża za nią dużo dalej, niżby sobie tego życzyła.

Wreszcie słyszy już tylko własny oddech oraz skrzypienie śniegu pod butami, ale wciąż maszeruje, rozpamiętując jego słowa. Wstyd jej, że tak rzadko przejmuje się tym, iż on nadal jest oficjalnie podejrzany.

Zatrzymuje się dopiero przy szkolnym podwórku.

Zastyga.

Nowy pomysł. Inny kąt widzenia. A co, jeśli sprawca zauważył Magdę w szkole, za dnia, i w jakiś chory sposób zauroczony nią dowiedział się, gdzie mieszka? Policja zbadala już ten trop, lecz ona sama tylko pobieżnie. Czuje znajome uniesienie, pędzi do tej części dziedzińca, gdzie zazwyczaj bawiła się córka, jednak gwałtownie się zatrzymuje na widok światła i tłumu w jej klasie. Chyba spotkanie rodzicielskie. Chowa się za składzikiem.

Wychowawczynie stoi przy biurku i przemawia, rodzice notują. Åsa zna większość zebranych. Nie chce ich nienawidzić – zna przecież źródło swojej agresji – ale trudno jej się oprzeć, kiedy patrzy na nich, wygodnie usadowionych, zadowolonych i z uśmiechem na ustach.

Przypomina sobie rozmowę z nauczycielką Magdy dwa tygodnie po zaginięciu córki. Kobieta zadzwoniła, aby ją poinformować, że w związku z tym wydarzeniem wszystkim dzieciom w klasie zaproponowano terapię. Jakby ją to interesowało. Jeśli ją pamięć nie myli, zanim rozmowa dobiegła końca, wychowawczynie zaczęła płakać.

A teraz ona, Åsa, ukryta w ciemności, przygląda się twarzom rodziców.

Rozprawiają o błahostkach, nie mając pojęcia, jaki to luksus. Zapewne nie mogą doczekać się końca wywiadówki. Nie mają porównania.

Jednorazowy wyjazd Martina szybko okazuje się wyzwoleniem. Åsa może robić wszystko, na co przy nim brakuje jej odwagi, bo nie chce zostać posądzona o niestabilność emocjonalną. Może na przykład wrócić do starego zwyczaju czytania e-maili przy lampce białego wina. Robi to średnio raz na dwa tygodnie i wyłącznie wtedy, kiedy ma pewność, że nikt jej nie będzie przeszkadzał. Z czasem zaczęło jej na tych krótkich chwilach zależeć.

Nienawisć, jak się okazało, stała się dla niej źródłem energii i działa na nią zadziwiająco ożywczo.

Ponadto zawsze po tym dochodzi do przekonania, że jest zdrowa, a przynajmniej w lepszym stanie niż inni.

Dwieście dwadzieścia wiadomości tym razem.

Dziesięć z nich stanowią, jak to określa, powieści – trzy do pięciu stron – których autorzy snują długie, umiarkowanie agresywne teorie na temat tego, dlaczego ona lub Martin ponad wszelką wątpliwość są winni i dlaczego muszą się przyznać. Większość e-maili to jednak standardowo pocieszna mieszanka: życzenia śmierci, propozycje wywiadu oraz wyrazy podziwu.

To ciekawe, jak zaproszenia do wywiadu odzwierciedlają brak kreatywności mediów. Wszystkie bez wyjątku zaczynają się od zachęty, aby „po raz pierwszy” ustosunkowała się do „tych ohydnych oskarżeń” rzucanych pod adresem Martina, i niezmiennie kończą się dziennikarskim wyznaniem wiary w jego niewinność.

Jedynym e-mailem, na który zamierza odpowiedzieć, jest ten od reporterki na serio kwestionującej zarzuty wobec jej męża. Ale to musi poczekać do wiosny. Wywiad to ostatnia rzecz, na jaką ma teraz ochotę.

I wreszcie wiadomości od tych, którym przydarzyło się coś podobnego. Mało istotne, gdyż mogły się odnosić do każdego przestępcy, o którym rozpisywały się media.

Rozważała oczywiście, czy nie usunąć adresu z wyszukiwarki Eniro albo nie wynająć kogoś do zajęcia się pocztą, ale czytanie e-maili weszło jej w nawyk i nawet zaczęła to lubić – osobliwe, lecz ważne połączenie między nią a światem zewnętrznym. Jedno z nielicznych, jakie pozostały.

„Niedługo przekroczysz limit wiadomości. Opróżnij skrzynkę” – czyta ostrzeżenie. Przewija listę na sam dół, aby wykasować część korespondencji, i od razu rzuca jej się w oczy e-mail od Magdy wysłany pół roku przed jej zaginięciem.

Nie otwiera go. W pierwszym odruchu wstaje, kieruje się do sypialni i siada na łóżku, aby się uspokoić. Długo tak siedzi, a serce wali jak młotem. Potem wraca i już bez wahania otwiera wiadomość.

„Mamusiu, o której wrócisz do domu? Jestem sama”.

Słyszy głośnie westchnienie – własne – i chowa twarz w dłoniach. Czyta raz jeszcze. Ciemność wdziera się do pokoju, szybka, dławiąca, krępująca. Åsa wstaje i niemal biegiem kieruje się do pokoju córki, pada przy jej łóżku na kolana i zaczyna się modlić, pierwszy raz od dzieciństwa. Prosi Boga, aby sprawił, żeby dziewczynka dobrze się czuła, żeby nie była sama. Błaga o przebaczenie. Mówi, że żałuje i że gdyby mogła, zrobiłaby wszystko inaczej.

Nie może zasnąć, więc leży w ciemności i próbuje selekcionować myśli. Te źle wybrane sprawią ból – precyzja ma znaczenie.

Jak mogła zapomnieć, że pisały do siebie e-maile, kiedy była w pracy? Przychodzi jej teraz na myśl wiadomość, jaką Magda wysłała jej kilka lat temu, gdy chora siedziała w domu: „Kończysz już? Chciałabym, abyś opatuliła mnie kołdrą, jak wtedy, kiedy byłam mała”. Åsa akurat przyjmowała pacjenta, więc przeczytała to dopiero wieczorem.

Martin wpadł w furię na wieść, że zostawiła dziecko na kilka godzin bez opieki.

– Ona ma siedem lat! – wrzasnął.

– I co, kobieta miała siedzieć w domu? A ty gdzie się podziewałeś? – odwarknęła.

Na to on zamknął się w gabinecie, trzasnąwszy drzwiami tak mocno, że strącił ze ściany ramkę, która rozpadła się na kawałeczki.

Zmiotła rozbite szkło z podłogi i zajrzała do Magdy. Nie spała. Leżała przerażona pod kołdrą. Åsa rzuciła się ku niej, obiecując, że nigdy więcej nie będą się z tatą tak awanturować. Przytuliła roztrzęsione dziecko, przeklinając w duchu temperament Martina. Wystarczyło, że serwował jej te paskudne wybuchy gniewu przed narodzinami małej – nie cierpiała sposobu, w jaki obezwładniał ją w prawie każdej dyskusji, krzycząc lub waląc pięścią w ścianę. Takie zachowanie przy córce było niedopuszczalne. Pamiętała, jak wielki wpływ miały na nią samą osławione ataki jej ojca, i nie chciała narażać Magdy na podobne cierpienie.

Jakby dla ochrony przed Martinem szczelnie opatuliła córkę kołdrą, choć z trudem, bo ostatnimi czasy Magda bardzo wyrosła. Niemal zapomniała, że kiedy ta była mniejsza, uwielbiała, kiedy Åsa okrywała ją ciasno przed snem. Przysiadła więc na chwilę na łóżku, aby na nią popatrzeć, i nagle ogarnął ją wielki smutek.

Krótkie wspomnienia, których wcale nie szuka, a które raz po raz wypływają wbrew jej woli.

Leży na plecach, patrzy, jak elektroniczny budzik miga w mroku, i stara się zapomnieć o tych wszystkich kłótniach dotyczących wychowania Magdy. O co się właściwie sprzeczali?

Martin z wykrzywioną twarzą na progu jej gabinetu, zaledwie kilka tygodni przed zaginięciem dziecka, mierzący w nią palcem, wrzeszczący, że używa córki jak królika doświadczalnego. Poczuli się stłamszona, bo nie dopuszczał jej do głosu. Próbowwała go uciszyć, mówiła, że wie, co robi, że przecież studiowała te zagadnienia, ale nie słuchał. Koniec końców sama też musiała huknąć, aby przebić się przez jego oskarżenia.

Próbuje teraz odgrzebać w pamięci swoje argumenty.

Powiedziała, że dzieci wiedzą, iż prędzej czy później muszą się uwolnić, i że dlatego w pewnym wieku postrzegają objęcia rodziców jako zagrożenie, hamulec ich nieuniknionego wejścia w świat dorosłych. Właśnie dlatego tak dbała o pozostawienie Magdzie swobody.

W stosunku do córki zawsze okazywała zdecydowanie. Obiecała sobie nie dławić jej swoją opieką, jak robiła to jej matka.

Czy słusznie?

Nie chce na to odpowiadać, nie znosi tego niskiego głosu, natrętnie stawiającego takie pytania teraz, kiedy samokrytyka znajduje się najniżej na liście jej potrzeb. Była matką, która starała się zrobić dla swojego dziecka wszystko jak najlepiej. Miała szczerą intencję, nikt temu nie zaprzeczy.

A mimo to dręczą ją wątpliwości. Trudno jej zaakceptować, że niektórych wspomnień nie da się wymazać: Martina podczas ostatniej awantury, jak szalał z wściekłości przez to, że zwierzyła się małej, iż ich związek przechodzi kryzys. Cały wieczór tłumaczyła mu swój tok rozumowania – że bardzo się starała, aby córka nie postrzegała ich w zbyt wyidealizowany sposób, i że to ważne, aby samemu przyznawać się do swoich błędów i wad.

On uznał to za wariactwo, choć wyjaśniła mu, że opiera się na badaniach naukowych.

Wspomnienie jego krzyku sprawia ból.

Z ociąganiem próbuje przeprowadzić sprawiedliwy sąd nad samą sobą, ale przychodzi jej to z trudem. Łatwo być mądrym po szkodzie. Ważne, aby nie mieszać jej rodzicielskich zabiegów z tym, co się zdarzyło później. Prawda?

Mroczna, ciężka noc. Dopiero o świcie, kiedy podejmuje decyzję i czuje, że chybotanie ustaje, postanawia zbadać trop, na którego śledzenie dotąd brakowało jej siły.

Często tak to działa: po ataku paniki opary się rozwiewają i pojawia się nadzieja.

Już w pierwszych tygodniach apelowała do policji o skrupulatne prześwietlenie jej dawnych pacjentów, nawet do wezwania ich na przesłuchanie. Przykładów chorych, którzy chcieli wyrządzić swoim psychologom krzywdę, znała na pamięć. Mimo to służby, przeświadczone o winie Martina, nie kiwnęły w tej kwestii palcem.

Zasypia o piątej i chociaż budzi się godzinę później, jest pełna energii, której dodaje jej nowy plan. Z otwartymi oczyma, zupełnie rześka, czeka w łóżku, aż wstanie dzień.

Pierwszy raz po 3 maja jedzie autobusem.

Zajmuje miejsce i momentalnie powraca do codzienności, która – jak odnotowuje – biegła własnym trybem, toczyła się, jak gdyby nigdy nic, mimo tego, co się wydarzyło. Ta konkluzja przyprawia ją o zawrót głowy. Musi wstać, aby opanować niespodziewane mdłości, i tak



dojeżdża do szpitala.

Przy głównym wejściu owiewa ją zapach – to ta znana mieszanka środków czyszczących i babeczek cynamonowych prosto z pieca. W lobby te same typy ludzi, co zwykle: charakterystyczny wyraz twarzy u tych, którzy właśnie odwiedzili umierającego bądź chorego członka rodziny, dyskretny sposób przekazywania komuś bliskiemu informacji o stanie zdrowia przez telefon komórkowy.

Åsa poprawia szal, aby zakrywał twarz, mija recepcję i kieruje się prosto do wind. Na szczęście babek z czwartego jeszcze nie ma, więc udaje jej się dostać na psychiatrię bez wpadania na współpracowników. Puka do drzwi Larsa. Znajomy głos zaprasza ją do środka.

Lars siedzi za biurkiem i rozmawia przez telefon. Wskazuje krzesło naprzeciw siebie. Åsa opada na nie, rozglądając się po pokoju. „Tak się chyba czują pacjenci” – myśli. Z tej perspektywy widać wyraźnie, że wystrój ma za zadanie podkreślić podział ról. Duże biurko stwarza dystans, lampa za plecami terapeuty sprawia, że Lars – lekarz – jest ciemny i duży. Krzesło pacjenta zdaje się wątle i zniszczone.

Odłożywszy słuchawkę, mężczyzna wstaje, podchodzi do Åsy i kładzie jej rękę na ramieniu.

– Åso... – zaczyna, po czym następuje długa chwila ciszy, bo ona się nie odzywa. – Jak się miewasz?

„Dlaczego to zawsze ofiara ma zaspokajać cudzą ciekawość?” – zastanawia się w myślach. Dlaczego, dla odmiany, on sam nie zwierzy jej się ze swoich uczuć? Ale nie, stale tylko pytania, i to od wszystkich. Zainteresowanie zakrawa na absurd, ponieważ chcą zrozumieć, ale tylko do pewnego stopnia. Mają określone wyobrażenie o smutku, które – jak odkryła – trudno zburzyć. Prawdziwej żałoby nie chcą pojąć, bo musieliby ją przeżyć.

Z drugiej strony trudno mieć im to za złe. Sama też nie postępowała lepiej. Przedtem. Ale jednak.

Po jego spojrzeniu poznaje, że jest jednym z nich – tych ciekawych.

– Zamierzałem do ciebie zadzwonić.

– Wysłałeś mi przecież kartkę.

Spogląda na nią znad okularów.

– Naprawdę się cieszę, że przyszedłaś.

Nagle zaczyna wątpić, czy dobrze zrobiła, przychodząc tutaj. Udawanie tylko po to, aby zyskać dostęp do kart choroby, okazuje się bardzo wyczerpujące.

– Cieszymy się bardzo, że chcesz wrócić. Wiele osób się za tobą stęskniło – mówi, a potem, jak każdy ciekawski, pyta: – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Klasyka. Uważa to pytanie za dziwaczne, ponieważ odpowiedź oczywiście brzmi „tak”. Wymyślenie czegoś nie wymaga nie wiadomo jakiej inwencji. Ale nie. Standardowo oczekuje się, że osoba w dołku poniży się i będzie błagać o pomoc.

– Nie, dziękuję – odpowiada.

– W porządku – kwituje Lars, po czym wyjmuje plik formularzy, które nazywa „drobnymi formalnościami”, i prosi, aby zabrała je do domu i w spokoju wypełniła.

– Czy mogę teraz zajrzeć do kart pacjentów?

– Nie, zajmijmy się jedną rzeczą naraz.

– Zrozum, chciałabym się dowiedzieć, jak się sprawy mają.

– Nie ma pośpiechu – mówi, pochylając się nad biurkiem, by podać jej blankiety.

– Tak, nie ma – postanawia skłamać.

Krótko potem wraca autobusem do Brommy. Pojazdem zarzuca, kiedy przejeżdża przez zaspę. Słońce zeszło już nisko i migocze w mroźnym wzorze na szybie. Ten piękny widok

sprawia jej ból. Zimowa paleta składa się z wyblakłych, metalicznych kolorów. Przypomina jej coś, czego nie czuła już od dawna. Åsa sapie tak głośno, że sama to słyszy. Wyciąga rękę do guzika z napisem „stop”, ale opanowuje się i siedzi do końca.

W domu wypija filiżankę herbaty rumiankowej, a potem wchodzi do wanny. Martin wraca już jutro. Chce wykorzystać pozostały czas na robienie rzeczy, na które naprawdę ma ochotę. Tyle że nie ma już siły.

Kładzie się i rozgrzana po długiej kąpieli natychmiast zasypia.

Gdy następnego wieczora Martin wraca z podróży, czuć między nimi dystans. Ona zaszywa się w zaciemnionym pokoju pachnącym chyba strachem, on, ciągle w garniturze, chowa się w oparach wody po goleniu zakupionej na lotnisku.

Miała zły dzień. Zalegała w łóżku pewnie do dwunastej. Później dwie godziny ślęczała nad formularzami ze szpitala, lecz nie udało jej się wypełnić ich do końca. Być może przez zbliżające się urodziny Magdy każdy dzień wydaje się cięższy od poprzedniego.

Czyżby znowu zmierzała w tę gęstą ciemność? Rozpoznaje już pewne symptomy. Na przykład to, że wyłącza radio, gdy tylko zaczynają nadawać muzykę. Albo że znów sporo rozmyśla o Helén z Hörby.

Po południu popełniła błąd i wyszukała w internecie fotografie piwnicy, licząc na to, że naprowadzą ją na jakiś trop. Nie powinna była tego robić. Wie, czego szukała, ale tego nie znalazła. Miała nadzieję, że jeśli zobaczy najgorsze, co w ogóle można sobie wyobrazić, wypatrzy coś, co przeoczyła. Przeliczyła się jednak. Zdjęcia wżarły się w pamięć i była zmuszona się położyć. Nie dało się całkowicie odizolować od światła, mimo że spuściła rolety we wszystkich oknach. Słońce przypominało jej czas po zaginięciu. Coś się tu fundamentalnie nie zgadzało: że to się stało wiosną, kiedy wszystko kwitło i się rozwijało. Że to się w ogóle stało...

Martin reaguje na jej stan jak zwykle: milczeniem. Kiedy ona w szlafroku snuje się po osiedlu, starając się uchodzić za żywą, on wycofuje się do gabinetu.

Słyszy jego gwizdanie i wzrusza ją ponadczasowość tego dźwięku.

Czuje niewyjaśnioną czułość do męża, więc zagląda do niego i pyta, co dzisiaj będą gotowali. W rozmowie pobrzmiewa jakaś znajoma nuta, która budzi emocje. Z pewnych względów, jak odkrywa, nawet cieszy się z jego powrotu do domu.

Kładzie się na łóżku, nie zdejmując kapy, i w spokoju zasypia.

Budzą ją pocałunki. Nie spodziewała się, nie rozumie, co się dzieje. Czuje się osaczona. Jego język jest duży, niedelikatny. Martin próbuje dłońmi rozchylić jej usta. Ostrożnie odpycha go od siebie i obserwuje przez chwilę. O mały włos wygarnęłaby mu, że jak on może w ogóle myśleć o seksie, biorąc pod uwagę to, przez co Magda pewnie musi przechodzić. Ale on wygląda na tak zdezorientowanego, że nie ma serca tego mówić, więc tylko opuszcza sypialnię w milczeniu. Słyszy jeszcze jego pełne rezygnacji westchnienie. Zamyka się w gabinecie.

Następnego dnia dochodzi do czegoś nieoczekiwanego.

Wczesnym popołudniem Åsa dostaje SMS.

„Jesteś w domu?” – pyta Martin.

Nie robił tego od lat.

Nie wiedzieć czemu, pytanie trąca w niej jakąś strunę. Być może jego nocne zaloty obudziły w niej coś, co teraz, dwanaście godzin później, nabrało kształtu. Pospiesznie odpowiada „tak”, zrzuca ubranie, bierze prysznic i naciera się balsamem. Wślizguje się pod kołdrę i czeka. Ciało wypełnia znajome pragnienie. Wtula się w miękką pościel, jakby to był sam Martin.

Leżąc, cofa się pamięcią do ich pierwszego razu. Żadnej penetracji, tylko ręce. Stało się to w jego mieszkanku na Kungsholmie. Leżeli na plecach i dotykali się nawzajem.

Niespodziewanie on wyciągnął buteleczkę olejku – wprawa, z jaką schylił się po nią pod łóżko, wprawiła ją w zażenowanie. Poprosił wtedy:

– Opowiedz mi o jakiejś swojej fantazji.

Z początku szło jej opornie. Rozkręciła się jednak, a wtedy tama puściła. W pewien dziwny sposób poczuła się w tej rozmowie swobodnie, wszystko wydawało się dozwolone. Dlatego, ugniatając i masując jego ciało naoliwioną dłonią, pozwoliła obrazom omijać wszelkie filtry i pogrążyć się w wyuzdaniu. Nawet nie była pewna, czy chce te marzenia realizować, czy tylko podniecać się nimi właśnie dlatego, że pozostają w sferze wyobraźni. Pieprzyła go elokwencją, a on to uwielbiał.

Wspominając ten moment, czuje, że płonie z pożądania.

Lecz Martin się nie pojawia i po czterdziestu pięciu minutach Åsę zaczyna morzyć sen. Wstaje i wkłada szlafrok. Chce zadzwonić do męża, żeby sprawdzić, gdzie się podziewa. Wtedy rozlega się dzwonek do drzwi.

To kurier.

– Czy zastałem Martina Horna?

– Niestety nie.

– Proszę tu pokwitować. – Mężczyzna w niebieskim kombinezonie podaje jej formularz przyczepiony do czegoś, co wygląda na wydruk powieści.

Podpisuje, zamyka drzwi i rzuca plik na kuchenny stół.

Czuje zbliżający się atak paniki. Musi zrobić coś radykalnego.

Otwiera komputer i wyszukuje e-mail od dziennikarki. Potem wykręca numer.

– Okej – mówi do słuchawki. – Zgadzam się.

W samochodzie w drodze do centrum oczywiście zmienia zdanie, ale potem w decyzji utwierdza ją to, że Moa jest jedyną dziennikarką, która nieustannie kwestionowała zasadność podejrzeń co do Martina. Poza tym publikowała zdjęcia Magdy, nawet kiedy zainteresowanie mediów ostygło.

Parkuje i wchodzi do kawiarni Vete-Katten, gdzie umówiły się na spotkanie.

Wreszcie siadają naprzeciw siebie. Moa szepcze:

– Dziękuję. Jestem wdzięczna, że to robisz. Wiem, że to trudne.

– To się okaże.

Moa kładzie na stoliku swojego iPhone'a i włącza nagrywanie.

– Na początku porozmawiajmy o tym, kiedy się dowiedziałaś, że jesteście z Martinem podejrzeni.

– Nigdy nie byłam oficjalnie podejrzana.

– Nie, ale wiele osób zwróciło uwagę na twoje opanowanie. Dlaczego nie okazałaś większego oburzenia?

– W tamtym momencie nie było na to miejsca.

– Potem policja zwolniła cię, ponieważ miałaś alibi na cały poniedziałek, a Martin pozostał na liście podejrzanych.

– Tak.

– Jak wiadomo, w dniu zaginięcia Magdy opuścił biuro swojego ojca kwadrans po trzeciej, do Brommy dotarł jednak dopiero dwie godziny później. Dotychczas nie zdołał wytłumaczyć, co w tym czasie robił. Jak się czujesz ze świadomością, iż dla wielu osób to oznacza, że ma coś do ukrycia?

– Ze względu na toczące się dochodzenie nie mogę tego skomentować.

– No ale jak ty się czujesz? O tym chyba możesz mówić?

Åsa z trudem powstrzymuje słowa, które cisną jej się na usta. Napomina samą siebie, że

wywiad może się przysłużyć poszukiwaniom, jeśli dotrze do wystarczająco dużej grupy czytelników i ich poruszy. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebuje, jest kolejny artykuł na temat jej obojętności. Odpowiada więc:

– Dramat polega na tym, że policja przekonana o winie Martina nie bada już zgłaszanych tropów. Ale nawet tego nie mogę zupełnie brać do siebie. Nie mam siły. Załamałabym się, gdybym to zrobiła.

Dziwi ją drżenie własnego głosu. Tymczasem Moa pochyla się ku niej. Ten ruch jest subtelny, ale wyraźny. Zwietrzyła temat.

– Czy kiedykolwiek wątpiłaś w jego niewinność?

„Cóż za przewidywalność” – myśli Åsa. Dziennikarze. Człowiek na sekundę opuszcza gardę i z miejsca się na niego rzucają.

Moa, zdając sobie sprawę, że nie doczeka się odpowiedzi, zerka do notatek.

– Czy ty się izolujesz? Odcinasz się od świata?

– Żaloba wszystko przenika i ukazuje ludzi takimi, jacy są naprawdę. Tylko tak potrafię to opisać... tak właśnie. Albo powiedzmy, że obecnie interesują mnie ludzie, którzy wiedzą, co to smutek.

– Rozwiń tę myśl.

– Kiedy jest mi bardzo źle i oglądam w telewizji śmiejącą się parę, myślę sobie, że ich radość ma swoją cenę. Gdyby wiedzieli, co się dookoła dzieje, nie byłoby im do śmiechu.

– I co mieliby wtedy zrobić?

– Wczuć się w sytuację tych doświadczanych przez los. Może złagodziłoby to cierpienie. Prawda? Sama nie wiem.

– Czy jesteś teraz bardziej skłonna przyznać, że źli ludzie istnieją?

– Co przez to rozumiesz?

– Kiedyś jako psycholożka udzieliłaś wywiadu dziennikowi „Dagens Nyheter” w związku z procesem mężczyzny, który zamordował dwoje dzieci. Skrytykowałaś wówczas media za coraz częstsze przedstawianie sprawców jako „złych”. Twierdziłaś, że społeczeństwo ponosi odpowiedzialność za osoby, które zwiodło, wskutek czego stały się kryminalistami, i że stygmatyzowanie ich jako tych „złych” jest niecywilizowane. Czy nadal podzielasz tę opinię?

Åsę niespodziewanie ogarnia ciemność. Nie ma pojęcia, jak się tu wkradła, ale wypełnia sobą całe pomieszczenie. Mając świadomość, że to tylko kwestia sekund, nim straci grunt pod stopami, szybko mówi:

– Ktoś zabrał, uwięził, być może zgwałcił Magdę, która wzywała mnie i musiała się zastanawiać, gdzie jestem. Nie pojmuję tego. A skoro nie rozumiem, nie znajduję słów, aby to opisać.

A potem pospiesznie wstaje.

– Wiem, że to trudne – rzuca Moa za jej plecami. – Rozumiem!

Jednak Åsa jest już przy drzwiach.

W drodze do domu próbuje zbagatelizować tę rozmowę, ale z marnym skutkiem. Wbrew sobie stała się ekspertką w wymyślaniu nagłówków i potrafi przewidzieć, co się wykluje z jej ostatniej wypowiedzi. Nie powinna była się godzić na wywiad.

Przy Drottningholmsvägen ciemność trochę się rozrzedza, mimo to Åsa dalej prowadzi w skupieniu. Dotarłszy do domu, chwiejnym krokiem idzie do sypialni. Już wie, że czeka ją koszmarny wieczór. Stopniowo, jedno po drugim, odzywają się wspomnienia, których wcale nie chce przywoływać. Zwłaszcza tych. Magda w kurtce przeciwdeszczowej biegnie ku niej roześmiana, wyciągając ręce. Åsa powiedziała jej wtedy coś, czego – mimo usilnych starań – nie może zapomnieć. Chowa się teraz pod kołdrą i zatyka uszy dłońmi, żeby zniknąć.

Stojąc na piętrze przed lustrem, przygląda się, jak deszcz zmywa resztki śniegu.

Przez cały poranek próbowała wykręcić się od rozważań o tym, jaką była matką, ale to trudne. Napomina się, iż żal i podawanie w wątpliwość słuszności swojego postępowania tylko dlatego, że później doszło do tragedii, jest implikacją odwrotną.

Porusza się po omacku na wielu poziomach pamięci. Napomina się: Martin nie zna nawet podstaw psychologii. Nic dziwnego, że jej postulaty dotyczące Magdy wydawały mu się przerażające.

W poszukiwaniu odpowiedzi zagląda do albumu z młodości i kartkuje go, aż dochodzi do czasów uniwersyteckich. Widok zaledwie kilku zdjęć ukazujących młodą, pełną energii kobietę wywołuje u niej wzruszenie.

Tamta jesień była jak zaczarowana: Åsa miała dwadzieścia lat i zaczynała rozumieć, jak wszystko się ze sobą łączy.

Do pierwszego przełomu doszło przy lekturze Alice Miller. To uczucie, z jakim jako studentka maszerowała do domu z książkami pod pachą, przypominało euforię towarzyszącą zakochaniu. Kiedy po nocach czytała i zakreślała fragmenty, czuła się wybrana, wtajemniczona. Nikt lepiej niż Miller nie opisał, jak osoby dręczone w dzieciństwie często obsesyjnie i aktywnie odreagowują cierpienia w dorosłym życiu.

Miller stała się inspiracją, ucztą dla myśli. Za nią poszli: Carl Jung, Karen Horney, Rollo May. Na zajęciach codziennie odkrywała jakąś sensację. Była nienasycona, nie opuściła jeszcze gmachu uniwersytetu, a już tęskniła, chciała wrócić. Zaczęła postrzegać świat przez pryzmat poznawanych teorii, bo te wyjaśniały wszystko. Nareszcie. Te niezrozumiałe dyskusje na temat ludzkiego zachowania, których nasłuchiwała się jako dziewczynka, kiedy rodzice snuli przypuszczenia o krewnych i sąsiadach, nieoparte wiedzą i bez jakiegokolwiek punktu odniesienia... Teraz dotarło do niej, że strzelali w ciemno. Że *de facto* istnieje nauka, zasadzająca się na zakumulowanym doświadczeniu niezliczonej rzeszy badaczy i myślicieli, tłumacząca sprawy, które w dzieciństwie uważała za zagadkowe i pełne sprzeczności.

Kiedy to dobrze rozumiała, nie było już dla niej odwrotu. Równocześnie zaczęła się izolować od rodziców i znajomych. Znalazła na uczelni nowych przyjaciół, takich jak ona.

Razem schodzili na dno siebie samych. Widzieli jak na dłoni wpływy rodziców i przysięgali tu i teraz, że przerwą te schematy. Ona, w odróżnieniu od nich, zmierzy się z własnym cierpieniem i nie będzie nim obarczać swoich przyszłych dzieci. Jej ulubiony wykładowca wyraził to następująco: „Trzeba najpierw sobie uzmysłwić, przegadać i opłakać niesprawiedliwości, których się zaznało, aby położyć im kres”. Uzmysłwić sobie, przegadać i opłakać. To właśnie zamierzała zrobić, zanim urodzi dziecko: upewnić się, że nie przeniesie na nie własnych słabości.

Przez pięć lat studiów nie nudziła się ani przez chwilę. Uwielbiała powagę tych mrocznych pomieszczeń. Tam podjęła decyzję: zamiast podążać drogą leniwych starszaków, dających gościnne wykłady pod koniec semestru, zamiast iść na skróty i zapisywać pacjentom psychotropę i tym podobne środki, będzie im pomagać w docieraniu do p r z y c z y n y.

Terapia stanowiła część programu i okazała się co najmniej równie inspirująca jak same studia. Szybko i efektywnie, bez strachu, dokopała się do rodzicielskich błędów i nazwała je po imieniu. Tym samym uwolniła się i poczuła się gotowa do niesienia pomocy innym.

Była wdzięczna za szansę na wyzwolenie. Za wszystkich, z którymi się przez te lata zaprzyjaźniła, za nocne rozmowy o postępach w leczeniu. Niewątpliwie zrosli się ze sobą na całe życie – tak jej się wydawało.

I nagle coś się stało. Kiedy wkroczyli na rynek pracy, zauważyła, jak jej koleżdy i koleżanki podchwytyują trend w branży i jeden po drugim dają się uwieść psychiatrii obiecującej

szybkie farmakologiczne rozwiązania. Na każdym spotkaniu ich grupy dowiadywała się o kilku kolejnych, którzy ulegli i przystali na współpracę z psychiatrami. Pacjenci postępowali podobnie. Pod wpływem stresu ludzie nie mieli już czasu i siły na zgłębianie własnych problemów – zamiast tego woleli tabletki.

Od początku postanowiła nie odsyłać chorych do żadnych psychiatrów, chyba że to będzie zupełnie konieczne. Nie kwestionowała podejścia medycznego w walce z ciężką depresją czy psychozą, jednak na większość osób zgłaszających się na terapię długotrwałe rozwiązania nie czekały w aptece.

Takim stanowiskiem narobiła sobie wrogów, ale zyskała też przyjaciół.

Teraz, z perspektywy czasu, jej boje zdawały się tak odległe.

Burzliwe debaty na zebraniach Związku Edukacji Robotników, drżący palec skierowany w światła reflektorów, obszerne polemiki zamieszczane na stronie Szwedzkiego Związku Psychologicznego. Dlaczego tak zażarcie walczyła o swoją sprawę?

Kiedy kończy kartkowanie ostatniego albumu, uderza ją, że nie wie, która jest godzina. Wpada w popłoch. Błądzi myślami, próbuje przeanalizować widok za oknem: garstka ludzi, blade światło, nie widać ptaków. Stwierdza, że to poranek, bo mężczyźni i kobiety z walizeczkami w dłoniach maszerują żwawo na przystanek autobusowy.

Jeden za drugim mijają jej dom.

Uderza ją absurdalność tego konformizmu. Wszyscy ci ludzie żyją tak samo: wstają z łóżka, siadają do stołu, jedzą te swoje tosty i jajka. Potem prowadzą dzieci do przedszkola i idą do metra, żeby dojechać do pracy. Patrząc na pośpiesznie mijających jej dom przechodniów, czuje się całkowicie odłączona od tej skomplikowanej maszynerii. Ona żyje w rzeczywistości równoległej i zamierza w niej pozostać, dopóki Magda się nie odnajdzie.

Jedzie autobusem do szpitala. Kieruje się do recepcji.

Lars jeszcze nie przyszedł, więc czeka na niego w kafejce. Trzech kolegów w zielonych kitlach przechodzi obok, ale zdążyła się odwrócić, zanim zwrócili na nią uwagę. Zapewne jak wszyscy inni zadają sobie pytanie: „Winna? Niewinna?”. Nie ma siły na konfrontację z ich wątpliwościami. O ósmej próbuje znowu – wjeżdża na piętro i puka do drzwi.

Lars wydaje się radośniejszy niż poprzednim razem.

– Ładnie wyglądasz.

– Człowiek traci na wadze, kiedy ginie mu dziecko.

– Åso...

– Przepraszam. Będę się zachowywała, jak gdyby nigdy nic. Obiecuję.

– Nie wyobrażam sobie, przez co musieliście przechodzić.

Åsa rozważa, czy nie skorygować czasu, którego użył, ale czuje się już wystarczająco niekomfortowo z tym, że tak szybko weszli w dawne role.

– Szczerze powiedziawszy, trochę się wahałam przy podpisywaniu – mówi, podając mu formularze.

Chce dać do zrozumienia, że powinien się cieszyć z jej powrotu, ale Lars pozostawia to bez komentarza.

– Kiedy możesz zacząć?

– Od zaraz.

– Dobrze. – Posyła jej uśmiech, ale ona, mimo chęci, nie potrafi go odwzajemnić.

– Witamy ponownie.

Widząc, że się podnosi, żeby ją uściskać, szybko mówi:

– Jak już wspomniałam, na początek chciałabym uzyskać dostęp do kart pacjentów. Muszę się rozeznąć w tym, co się u nich wydarzyło podczas mojej nieobecności.

Lars zatrzymuje się wpół gestu i opada na fotel.  
– Nie mam zbyt wiele do roboty. Dobrze byłoby trochę poczytać, zanim wrócę do pracy – kontynuuje Åsa.

– To nie takie proste.

– Przecież to moi pacjenci.

– Już nie.

– Co masz na myśli? – Wpatruje się w niego. – Po prostu daj mi te karty.

Lars bacznie ją obserwuje, a ona robi wszystko, co w jej mocy, żeby wyrazić spojrzeniem, że mówi poważnie.

– Skonsultuję się dzisiaj z dyrektcją. Słowo.

Wizyta w szpitalu nie trwa nawet pół godziny. Åsa wychodzi na dwór z sercem walącym jak młot i płomienną nadzieją – jest wyraźnie podniecona, ale stara się opanować.

Martin wraca do domu około dwudziestej trzeciej i od razu kładzie się spać. Gdy tylko rozlega się jego chrapanie, Åsa wślizguje się do sypialni i siada na rogu łóżka.

Jakże kiedyś kochała tego mężczyznę.

Tysiące upojnych chwil.

Razem chichotali i ramię w ramię walczyli. Postanowili spędzić ze sobą życie. Spłodzili dziecko. Podróżowali. Wzajemnie się prowokowali. Kłócili. Kochali.

Głaszcząc go delikatnie po plecach, próbując jakoś powiązać śpiącego mężczyznę z tym, którego ma w pamięci.

Obudził się. Odwraca się do niej i patrzy na nią w mroku. Ona widzi tylko dwie białe kropki jego oczu, w których odbija się światło ulicznej latarni. Stał się kimś obcym, nie ma jak temu zaradzić.

Martin w milczeniu przewraca się na drugi bok i na powrót zasypia.

Åsa nie rusza się z miejsca, dalej studiuje jego falującą we śnie sylwetkę. Wspomina, jak się poznali.

Jakież on był bezbronny. Młody redaktor z literackimi aspiracjami.

Jasno i wyraźnie pamięta ich pierwsze spotkanie – przyszedł do podstawówki, w której pracowała jako psycholożka, aby poprosić o korektę merytoryczną kryminału. To była jej pierwsza posada. Czowała się przeszcześliwa, że wreszcie dostała szansę praktykowania zawodu, którego uczyła się tyle lat, i wcale jej nie przeszkadzało, że jej pierwsi pacjenci rekrutowali się spośród moczających się w nocy dwunastolatków. Wiedziała, że na tym nie poprzestanie, że praca w szkole jest tylko rozgrzewką.

Piętnaście lat później, kiedy Magda skończyła sześć lat i zaczęła chodzić do tej właśnie szkoły, Åsa z dumą pokazała córce swój dawny gabinet.

– Tata i ja tu się poznaliśmy.

Jednak ich spotkanie zaczęło się niezbyt przyjemnie.

Powiedziała mu bez ogródek, że podesłał jej gównianą powieść, na co on zrobił się błądy jak ściana. Spodobała jej się ta jego niepewność. Uznała go za oferwę, aczkolwiek wrażliwą i z potencjałem.

Nade wszystko był romantykiem, zauważyła to już na pierwszych randkach, kiedy z egzaltacją opowiadał o świecie, który chciałby zdobyć. Zmuszał ją, aby odważyła się myśleć tak samo i robić rzeczy bez zastanowienia; potrafił stanąć w deszczu i na środku ulicy namiętnie ją pocałować, mając w nosie to, że ludzie patrzą. Robił jej niespodzianki: przychodził po nią do pracy, żeby zabrać na spontaniczny wypad, tak że nie miała czasu się nawet spakować, a przede wszystkim bez przerwy się dopytywał, o czym myśli. Bezustannie zgłębiał i siebie, i ją. Zawsze pragnęła takiej więzi z partnerem, ale nie wierzyła, że to możliwe. Najdrobniejsza odpowiedź

potrafiła zmienić rzeczywistość, a seans w kinie przynosił objawienie. Tak przynajmniej jej się wydawało przez pierwsze miesiące, kiedy postanowili dzielić się wszystkim, natychmiast.

Z perspektywy czasu uznała, że było w tym ich zapamiętaniu coś irytującego. Jakby masturbowali się sobą nawzajem. Intensywnie, ale bezosobowo i bez słowa. W takiej namiętności brakuje miejsca dla osób, są tylko zwierzęta wysysające z siebie krew. Szczególnie przy stylu Martina – być wszędzie naraz: palce w odbycie, palce w ustach, usta przy szyi. Jakby chciał ją pożreć.

Dla niego seks był niemal czymś zakazanym. Wyrażało się to w jego spojrzeniu, kiedy się podniecił: napalony do granic i spięty, jakby zaraz miał napaść na bank.

Potem zawsze wydawał się odmieniony. Przez godzinę czy pół po tym, jak się kochali, miała w niego wgląd bez przeszkód. Leżąc w łóżku, ramię przy ramieniu, docierali do siebie lepiej niż gdzie indziej. Przemawiał wtedy głosem z głębi. Przytomnie i ze spokojem podejmował tematy, o które by go nie podejrzewała.

Podczas tych okropnych tygodni po zaginięciu Magdy, kiedy media zaczęły się rozpisywać na temat ich domniemanego udziału, wyczytała tu i tam, że ich związek jest ponoć nieudany. „Na jakiej podstawie tak twierdzą?” – zastanawiała się.

W każdym razie z nich dwojga to on był tym bardziej zadowolonym.

Działało jej na nerwy, kiedy mówił, jaki jest z nią szczęśliwy – zapewne odzywał się jego romantyzm, który w miarę upływu lat zaczął objawiać się w coraz dziwniejszy sposób. Udała mu się raz przypadkowo zapiekanka ziemniaczana, a dwie godziny później zapisywał się przez internet na kurs gotowania. Któregoś niedzielnego wieczoru przebiegli z sąsiadem trzy kilometry, a on już planował wydanie książki o joggingu.

Dzięki nieustannemu zainteresowaniu nowymi rzeczami zdawał się błyskotliwym rozmówcą i tylko Åsa знаła prawdę: jedyną dziedziną, na której się naprawdę znał, była właśnie ta niby-wiedza, a także umiejętność dyskusowania z zaangażowaniem, nawet jeśli tylko liźnął temat.

Przez niemal dwadzieścia lat, które do zniknięcia córki razem przeżyli, występowała jako żona Martina i rolę tę bez narzekań odgrywała na wszystkich imprezach, na każdej oficjalnej kolacji. Przynajmniej przez pierwszych piętnaście lat. Przez kilka ostatnich był ciągle zmęczony.

Wszędzie pytano ją, jak to jest: mieć za męża mężczyznę doskonałego, a ona, wiedząc, ile ten wysiłku wkłada w „bycie Martinem”, nie zamierzała go demaskować. Zresztą ludzie nie chcieli wiedzieć. Uwielbiali się nim zachwycać. Rozkoszowali się jego historyjkami, tymi małymi kłamstewkami, choć w głębi duszy chyba zdawali sobie sprawę, musieli wyczuwać jego brak gruntownej wiedzy – biorąc pod uwagę, że wypowiadał się swobodnie i ze swadą na dowolny temat i na zawołanie. Wielokrotnie sama była tego świadkiem: kiedy po jakimś czasie okazywało się, że jednak nie jest ekspertem w danym temacie, po prostu mu wybaczano, bo świetnie się go słuchało. Ludzi nie obchodzi, czy ktoś kłamie, dopóki zapewnia im rozrywkę.

Nawet jeśli z czasem zaakceptowała, że Martin jest właśnie taki, nie chciała brać udziału w tej grze.

Interesowali ją ludzie i chciała wiedzieć o nich wszystko – z psychologicznej perspektywy, nie w celu nawiązania bliższych kontaktów. Jej mąż na odwrót. On zbliżał się prawie do każdego, tak przynajmniej utrzymywał, ale koniec końców nie dbał o relacje. Wystarczało, że czuł się lubiany.

Czasami, kiedy wracali z przyjęcia, dyskutując o problemach ich wspólnych przyjaciół, zarzucał Åsie chłód i to, że tak trudno jej się zaangażować. Przyjmowała to jako komplement, ponieważ zachowanie, które on brał za rezerwę, w rzeczywistości było zaledwie pauzą. Powstrzymywała się przed emocjonalnym uczestniczeniem w kłopotach innych osób, zakładając,



że jest im źle w tej chwili, ale być może za miesiąc to minie. Martin uważał inaczej. Współodczuwał na lewo i prawo, cierpiał, gdy tylko włączał telewizor, lecz ani razu nie kiwnął palcem, aby komuś pomóc.

Jego dziki pomysł, aby włączyć Magdę w jakieś zajęcia grupowe, był przejawem tej samej cechy charakteru: ogarniały go uczucia, zachcianki, którym brakowało zakotwiczenia. Na przykład ubzdurał sobie, że futbol jest formą sztuki, i zapisał małą do żeńskiej drużyny piłkarskiej w klubie Brommapojkarna. Podwożenie jej na treningi zostawił oczywiście Åsie, która w każdą środę wieczorem marzła przy linii pola na próżno, bo Magda jako lewoskrzydłowa za bardzo się rozpraszała, przysypiała na boisku, aż w końcu dostała piłkę w głowę.

Opowiedziała o tym mężowi, a ten wybuchł gromkim śmiechem.

– Też tak miałem w dzieciństwie. Mól książkowy!

Pewnego razu weszła do pokoju, kiedy ojciec i córka oglądali dokument przyrodniczy. Z uśmiechem samozadowolenia Martin opisywał małej, jak wymierają gatunki i dlaczego to takie straszne. Natychmiast odczytała sytuację: dawał ten wykład nie Magdzie, lecz sobie. Zajęty udowadnianiem, jak dobry z niego ojciec i wychowawca, nie zauważył, że dziewczynka ziewa. Jak zwykle nie miał pojęcia, że dzieci z dużą zręcznością wyczuwają, kiedy dorośli chcą im coś z pasją opowiedzieć, a kiedy jedynie się przymilają. A do tego nie miał racji.

– Od setek milionów lat gatunki pojawiały się i znikaly. Ten sentymentalny pogląd, że w ich odchodzeniu jest coś smutnego, to jakiś nonsens – rzuciła wtedy.

– *Not now*[1] – odparł po angielsku.

– Ona ma osiem lat, wie, co to znaczy...

– *Yes, I do*[2] – potwierdziła Magda.

Był obecny, kiedy miał na to ochotę. Niczym klaun raz na miesiąc wyskakiwał z pudełka i puszczał film DVD o afrykańskich stepach.

Czasami dopisywał mu humor i miał ochotę wspólnie spędzać czas, kiedy indziej był w złym nastroju i nieoczekiwanie wybuchał gniewem. Albo wyjeżdżał w podróż służbową, znikając na cały tydzień.

Pewnego razu Åsa poszła odebrać Magdę z przedszkola, ale – jak się okazało – Martin już tam był. Schowała się za składzikiem na podwórku i przyglądała z daleka: rozmówki i żarty z pracownikami, podczas gdy córka czekała na powrót do domu.

Zirytowało ją to, bo wiedziała, jak on postrzega tę sytuację.

Z przyjemnością dała coś personelowi przedszkola: zniżał się do poziomu zwykłych ludzi, zapraszał na „ekskluzywne” inauguracje, rozdawał książki, które zwinął z magazynu.

Ale o niewierność go nie podejrzewała.

Kiedy Magda była jeszcze mała, Åsa, załatwiając w mieście jakąś sprawę, wpadła na pomysł, by zrobić mężowi niespodziankę i odwiedzić go w pracy. Zatrzymała się jednak przy szklanych drzwiach, widząc, że Martin kawałek dalej rozmawia z jakąś kobietą. Od razu zauważyła, że kierował na nią energię w sposób, w jaki kierował ją tylko na Åsę, wtedy, na początku, kiedy byli świeżo zakochani.

Gdy zostawił tę kobietę i odszedł, wesoło pogwizdując, zrozumiała, że to żadna fascynacja. Chciał się w niej tylko przejrzeć.

Nie interesował go seks, szukał tylko potwierdzenia, dowartościowania się. Stwarzał się tak stale, dzień po dniu.

Pamięta, jak płakał, kiedy pierwszy raz poszli razem do kina: szlochając, tłumaczył, jak bardzo poruszył go film. Zinterpretowała to wówczas jako oznakę wrażliwości. Teraz już tak nie uważała. Ileż to razy płakał na filmach, ale nigdy nad życiem. Nawet kiedy zaginęło ich dziecko. Pozwalał sobie na ronieenie łez tylko wtedy, gdy miał nad nimi kontrolę. Chlipał wtedy, gdy

podobał się sobie w takim wydaniu. Podobnie było z gotowaniem. Upajał się własnym wizerunkiem.

Zastała go kiedyś przygotowującego jedzenie dla Magdy. Wezbrał w niej gniew, choć początkowo nie wiedziała, dlaczego to aż tak bardzo wytrąciło ją z równowagi. Długo nie pojmowała swojej wściekłości na niego, kiedy pomagał w domu. W końcu jednak zrozumiała: czuła złość, bo to była jego jedyna pomoc w obowiązkach.

Z perspektywy czasu takie irytacje dnia codziennego zdają się małostkowe. Co więcej, stanowią definicję szczęścia, choć wtedy, w danym momencie, nie zdawała sobie z tego sprawy. Teraz wie: złoszczenie się na członków rodziny to luksus dający poczucie bezpieczeństwa. Oddałaby wszystko, aby to odzyskać. Wspomnienia są jednak odległe – wydają się wyjęte z książki o kimś innym. Pamiętać znaczy przyglądać się światu przez dwa wizjery: wstecz i naprzód. Åsa bardzo się stara, aby zobaczyć, co przez nie widać.

Martin spędza w swoim gabinecie całą sobotę, za co jest mu wdzięczna. Nie zniosłaby, gdyby w poszukiwaniu zajęcia kręcił się po domu. W weekendy, kiedy on nie jedzie do wydawnictwa, nieobecność Magdy staje się bardzo dokuczliwa. Åsa nie może się doczekać poniedziałku, kiedy mąż wyjdzie do pracy i zostawi ją samą.

Być może i jemu ona wydaje się równie natrętna. Czasami, kiedy przygląda się sobie w lustrze, przechodzi jej przez myśl, żeby się ładnie dla niego ubrać, jak dawniej, ale nie ma na to siły. Od dziesięciu miesięcy chodzi właściwie w tych samych ciuchach. Jeśli Magda wróci, Åsa pokaże jej, co każdego dnia na sobie miała. Opowie jej o tych ubraniach i pośmieją się razem z ciemnoniliowych spodni od dresu i T-shirtu z Myszka Miki.

Zrelacjonuje też córce, gdy ta wróci, co się wydarzyło, kiedy pewnego jesiennego dnia zadzwonili do drzwi świadkowie Jehowy. Jakieś słowa w ich powitaniu wywołały u niej zwanie w mózgu i nie wiedziała, czy rzucić się na nich z pięściami, czy ich przytulić. Przyłożył im za bezczelne głoszenie, że mają dla niej odpowiedź („Taki był boski plan”), czy też uściskać za to, że mimo wszystko interesują się bliźnimi. Stała przed nimi cicha i bez ruchu, by ostatecznie zamknąć im drzwi przed nosem bez słowa.

Już od dawna nikt nie pukał do ich drzwi.

Ludzie przechodzą obok, szepczą, zerkają.

Åsa wygląda przez okno. Nieruchome korony drzew na tle błękitno-fioletowego nieba. Czarne ptaszyska niczym sępy krążące nad domem.

Przeraża ją, że równoległe światy istnieją obok siebie, ale nie da się wyciągnąć ręki i ich dotknąć. Mija ją para nastolatków i przypuszczalnie dla nich jest to piękny zimowy dzień. Gdyby tylko wiedzieli...

Budzi się o wpół do piątej, wyplątuje spod rąk i nóg Martina i opuszcza sypialnię. Pośpiesznie narzuca na siebie ubranie i wychodzi na pustą ulicę. Powróciło echo jakiegoś napięcia ze snu. Chce to wykorzystać. Może w tym miejscu za świerkiem coś jej przyjdzie do głowy. Nie, nie pamięta, o czym śniła. Czuje jeszcze ciepło pościeli i spermę spływającą po udzie.

Minionego wieczoru pierwszy raz od dawna zawładnęła nią żądza. Wyszedł nagi i mokry spod prysznica. Długo nie widziała go bez ubrania. Odnotowała, że od zaginięcia małej schudł chyba ze dwadzieścia kilogramów. Być może przypomniało jej się, jak wyglądał, kiedy się poznali. Leżała w łóżku, a on stał obok. Nie wyglądał jak zombie. Szczupłe ciało znów czyniło z niego młodego mężczyznę. I jedynie broda – charakterystyczna, nieprzystrzyżona – odróżniała go od młodego Martina. Prawdopodobnie zauważył jej spojrzenie, bo kiedy wślizgnął się pod kołdrę, przywarł nabrzmiętym członkiem do jej bioder. Zrobił to nieporadnie i to ją podnieciło. Przyciągnął ją do siebie, przyciskając penisa do jej pośladków, jak gdyby zaskoczony własnym

pożądaniem, nie umiał się pohamować i chciał wejść w nią od razu, jak uczeniak. Nastrój udzielił się też jej. Odwróciła się, usiadła na nim okrakiem i wepchnęła go w siebie, choć nie była jeszcze mokra w środku. Szpileczki bólu przeszły jej ciało. Mocno przytknęła czoło do jego ramienia, żeby powstrzymać krzyk. Widziała: on również tłumił jęk. Ostatnia myśl, zanim odpłynęła, była taka, że milczenie stało się dla nich obojga bronią przeciw sobie.

Chociaż mgła i wilgoć wiszą w powietrzu, na dworze jest zadziwiająco ciepło. Zmierza w stronę restauracji, podejmując kolejną próbę odtworzenia tamtego wieczoru. Idzie powoli. Liczy, że może taka na wpół przytomna, ze snem kołaczącym w głowie, przypomni sobie jakiś nowy szczegół z 3 maja.

Przystaje między domem a restauracją i próbuje przywołać tamten dzień. Szła ścieżką przez trawnik. Do knajpy dotarła o dwudziestą trzydziestą, co potwierdzono podczas pierwszych przesłuchań. Kogo po drodze mijala? Dlaczego tak trudno ich sobie przypomnieć? Kto wie, czy to nie było najważniejsze pytanie – na początku pojawiła się hipoteza, że ktoś obserwował, jak ona i Martin wychodzą, i doszedł do wniosku, że zostawili Magdę w domu bez opieki.

Stoi na dróżce i rozgląda się wokół. Dochodzenie wykazało, że Martin szedł tą samą ścieżką o dwudziestą dwadzieścia trzy, siedem minut przed nią. Nikogo nie mijal.

Spogląda na lokal i werandę, zamkniętą, z pogaszonymi światłami. Odwraca się w drugą stronę: rząd willi z ich własną pośrodku.

Zamyka oczy.

Obrazy z przeszłości są jak zawsze zamglone. Koncentruje się. Próbuje wrócić. Odtwarza w myślach, jak szła do restauracji, zastanawiając się, dlaczego Martin brzmiał przez telefon jakoś inaczej. Minęła jakieś sylwetki, ale nikogo znajomego.

Otwiera oczy i odwraca się w kierunku lasu.

Najpierw się waha – tak w nim ciemno – ale potem do niego wchodzi.

Po jakiśś dwudziestu metrach dociera do dużego głazu, przy którym przystaje: niezła kryjówka. Między dwoma wielkimi świerkami rozciąga się stąd wyraźny widok zarówno na knajpę, jak i willę. Duże, ciemne okna. Rolety w pokoju Magdy na parterze po prawej są spuszczone, zupełnie jak tamtego wieczoru. Okno jest uchylone – dokładnie jak wtedy.

Wychodzi zza głazu, staje za drzewem i patrzy.

Wtedy coś się dzieje.

W łazience na piętrze zapala się światło. Martin się obudził. Åsa sprawdza w telefonie, która jest godzina. Tak, szósta piętnaście. Doskonale zna jego zwyczaje. Wie, że teraz sika i że wkrótce zejdzie do kuchni, naleje do filiżanki ciepłej wody prosto z kranu, wsypie trochę kawy rozpuszczalnej i wypije duszkiem. Tysiące razy słyszała te dźwięki. Potem zajrzy do spiżarni, wyjmie kawałek pieczywa chrupkiego i zje bez dodatków.

Podchodzi bliżej.

Mimo że znajduje się we mgle i przynajmniej trzydziestą metrów od domu, porusza się ostrożnie, ponieważ trudno jej ocenić, czy byłaby widoczna dla Martina, gdyby z jakiegoś powodu wyjrzał przez okno.

Wolałaby uniknąć tłumaczenia, dlaczego podpatruje go z lasku o szóstej piętnaście rano.

„Teraz pójdzie pod prysznic” – myśli, ale ku jej zdumieniu on rozpląwa się w mroku.

Podbiega do wysokiego żywopłotu oddzielającego posesję od lasku i przykuca za nim. Kiedy Martin pojawia się znowu, jest w gabinecie. Stoi przy oknie nieruchomo, wygląda na zewnątrz. Ona kuli się jeszcze bardziej, wstrzymując oddech.

Niezrozumiałe jest to, co on robi potem.

Podchodzi do drzwi pokoju obok i je otwiera.

Ponieważ rolety są spuszczone, nie widać, co się dzieje w środku, ale Åsa jest w zbyt

głębokim szoku, aby jeszcze zwracać na coś uwagę. Rzuca się biegiem do lasu. Siada za drzewem, słyszy własny oddech i serce walące jak młot.

Co on robi w pokoju Magdy? Chodzi tam po to, co ona, żeby się umartwiać? Czy zaglądał tam już wcześniej? Czy próbuje sobie przypomnieć ten ostatni wieczór i dojść do tego, co się stało z ich dzieckiem?

Uderza ją pewna myśl, która dawniej ją nurtowała: może powiedział córce coś, co sprawiło, że wyszła z domu?

Mnóstwo razy odsłuchiwała w pamięci ich rozmowę telefoniczną.

Zachowywał się tego dnia bardzo dziwnie, kiedy zadzwonił do niej do pracy, proponując wyjście do restauracji. Odniosła wrażenie, że ma jej coś ważnego do powiedzenia i chce to zrobić w wyjątkowym otoczeniu.

Chowa się za świerkiem ze wzrokiem utkwionym w dom, kiedy słyszy za plecami szelest. Przeszywa ją dreszcz, odwraca się. Dwa metry od niej stoi sarna. Ani drgnie, wpatrzona w Åsę. Ślepia ma wielkie i czarne jak szklane kulki. Głośno oddycha.

Stoją naprzeciw siebie i mierzą się w milczeniu wzrokiem. Nie wiedzieć czemu, Åsa czuje nagłą potrzebę, aby dotknąć zwierzęcia. Może chce się przekonać, że jest prawdziwe. Wyciąga rękę, ale w tej samej chwili sarna spokojnie odwraca się i stąpając ciężko, znika w ciemności.

Pół godziny później Åsa wraca do domu. Martin już wyszedł do pracy.

Drzwi do pokoju córki są zamknięte.

Lars czeka przy recepcji. Chyba chce ją eskortować przez rząd plotkarzy i podejrzliwych spojrzeń. A może pragnie się z nią pokazać, dumny, że przyjaźni się z celebrytką. Nie da się tego wykluczyć. Jest klasycznym narcyzem. Åsa nie ma do niego zaufania.

Biorą po kawie z automatu – nie może sobie darować w myślach pytania, ile takich kubeczków już wychyliła – i siadają w jego gabinecie.

Celem spotkania jest przygotowanie jej do powrotu do pracy. Kiedy Lars to mówi, szybko staje się dla niej jasne, dlaczego nalegał, aby nie robić tego przez telefon. Kiedy trzeci raz w ciągu kwadransa podkreśla, że nie ma się co spieszyć z pacjentami, a potem jeszcze napomyka o „rozszerzonych i bardziej administracyjnych zadaniach kierowniczych”, Åsa przypiera go do muru:

– Sądysz, że chorzy uważają, iż jestem winna, i dlatego nie chcesz, abym się z nimi spotykała, czy tak?

Lars wstaje, żeby zamknąć drzwi. Po drodze rzuca jej pełne współczucia spojrzenie, które rozjusza ją jeszcze bardziej.

– Jak już powiedziałem, uważam jedynie, że nie ma się co spieszyć. Jestem dobrej myśli. Musisz tylko trochę poczekać.

Mimo że chodziło jej tylko o dostęp do kart i w głębi duszy wcale nie ma ochoty wracać, irytuje się teraz, że jej nie wolno.

– Nigdy nie postawiono mi zarzutów. Nie zostałam skazana. Nawet jeśli mój mąż w wyniku niekompetencji policji znalazł się wśród podejrzanych, to nie powinno być brane pod uwagę. A to, że tragedia, która mnie spotkała, wpływa negatywnie na moją sytuację zawodową, zakrawa na przestępstwo – cedzi, nie spuszczać z niego wzroku.

Lars pochyła się w jej stronę.

– To dla twojego dobra. Czy naprawdę chcesz leczyć pacjentów, którzy wierzą, że... – Urywa w pół zdania, zdejmując okulary i przeciera oczy.

Ten trik Åsa poznała już w pierwszym tygodniu pracy – dzięki niemu pacjent odbiera osobę po drugiej stronie biurka jako opanowaną. Ale ona zna prawdę. Lars nie wie, co to spokój.

Czuje, że trzeba złapać byka za rogi.

– Myślisz, że zabiłam swoją córkę? Albo że zrobił to mój mąż?

– Ależ skąd... Oczywiście, że nie.

Åsa taksuje go wzrokiem. Jego drobną, żalosną sylwetkę. Przypomina sobie, jak kiedyś na niego wpadła w sklepie Åhléns. Bez fartucha wydał jej się taki mizerny.

Wstaje i patrzy mu w oczy.

– W takim razie proponuję, abyśmy zapomnieli o twojej dzisiejszej pomyłce. Natychmiast na godzinę udostępniś mi karty. Następnie skontaktujesz się z moim zastępcą, bym jak najszybciej mogła zacząć pracę. W przeciwnym wypadku podejmę pewne kroki.

Nie godzi się na zakaz powrotu. Jeżeli porzuci pracę, to tylko z własnego wyboru.

Lars przez chwilę się nie odzywa, a potem mówi:

– Tutaj nie chodzi wyłącznie o pacjentów. Twój zastępca zbudował z nimi relacje, których będę bronił. Z niektórymi poczynił spore postępy.

Åsa nie potrafi stłumić uśmiechu.

– A nie uważasz, że te „spore postępy” to rezultat mojej pracy, zanim on ich przejął? –

Wbija w niego wzrok, nawet nie mrugnie. – Daj mi dokumentację.

Lars przez dłuższą chwilę nie reaguje, a potem odwraca się, bierze klucz i otwiera szafkę.

– Proszę – mówi, wręczając jej plik niebieskich teczek. – Wychodzę na lunch. Możesz poczytać.

– Dziękuję.

– Zostaw je później na biurku. Wystarczy, że zatrzaśniesz za sobą drzwi.

– Jasne.

Gdy wychodzi, Åsa wygląda na korytarz, żeby sprawdzić, czy zniknął z pola widzenia. I szybko idzie do punktu ksero.

Czeka na przystanku autobusowym w bezbarwnych promieniach zimowego słońca.

Kątem oka zerka na plik kartek wystających z siatki.

W końcu nie może oprzeć się pokusie. Kładzie papiery na kolanach. Rozważa, czy zabrać się do czytania już teraz, czy poczekać. Lektura coś w niej poruszy, więc się ociąga.

Bębni palcami o papier. Zalewa ją znajoma fala świeżo rozbudzonego optymizmu, lecz po chwili znika równie szybko, jak się pojawiła. Åsa wie dlaczego – podświadomość uruchamia instynkt samozachowawczy i hamuje nadzieję. Mimo to czuje, że coś wisi w powietrzu, jakiś głos jej podpowiada, że gdzieś w tych dokumentach znajdzie trop.

Chce trwać w tym stanie.

Postanawia, że dzisiaj była w szpitalu po raz ostatni. Istnieją ważniejsze sprawy. Ma robotę do wykonania. I to taką, która wydaje się coraz pilniejsza.

Po powrocie do domu wręcz rzuca się do czytania.

## Tom

maj 2010

Gdy Tom budzi się rano, jeszcze nie wie o zaginięciu Magdy, ponieważ przez ostatnich kilka dni był w rozsypce – po raz pierwszy od sześciu lat został sam. Na różne sposoby próbował się odnieść do Katji, ale nie potrafi zapomnieć jej łez i wyrazu twarzy. Kiedy widzieli się w zeszłym tygodniu po raz ostatni, była smutna – jakże daleka od tej dawnej silnej kobiety, którą znał. Na każde wspomnienie ich ostatniej nocy zbierało mu się na płacz, bo był zupełnie nieprzygotowany na to, by ją oglądać w tak złym stanie.

Nie miał pojęcia, jak zareagować na szloch, więc siedział cicho i wpatrywał się w jej oczy błyszczące w ciemności. Miał ogromną chęć zapytać, dlaczego stało się tak, a nie inaczej, czyja to wina i czy można było tego uniknąć, ale tego nie zrobił, zbyt mocno przerażony tym, co mógłby usłyszeć.

Próbował załagodzić sprawę, mówiąc, że każdy związek przechodzi pewne fazy, ale na próżno. Ona się poddała. Widział to w jej oczach: podjęła decyzję i nazwała to ich „wspólnym niepowodzeniem”. Porażka ciążyła jej zatem za bardzo, aby mogła udźwignąć ją sama. Musiała podzielić się winą.

Za każdym razem, kiedy przypominał sobie wyraz jej twarzy, ścisnęło go w piersiach, ale ten niepokój w mgnieniu oka przeradzał się we wściekłość na to, jak go porzuciła.

„Symptomatyczne dla osoby – pomyślał – która tak jak ona odczuwa strach przed bliskością: zerwać za pomocą karteczki przyklejonej na lodówce”.

Jego zdaniem to, że zniknęła ot tak, świadczy o jej niesłychanym egocentryzmie i nieczułości na potrzeby partnera, o niemożności rozstania się, jak przystało na dorosłych.

Raz po raz oburza się na to zachowanie tak bardzo, że aż czerwienieje na twarzy.

„Dobrze, że nie udało jej się z tym tomikiem poezji – myśli wtedy. – Przyda jej się takie utarcie nosa. Zawsze patrzy na innych z góry, taka pewna siebie”.

Rozważa przez chwilę, czy do niej nie zadzwonić, ale właśnie czyta na Twitterze o zaginięciu córki Martina.

Pięć minut później nadal siedzi bez ruchu. Przykuło go do łóżka. Jest w szoku z powodu własnej reakcji na wieść o zniknięciu dziewczynki. Nie wie, dlaczego trzęsą mu się ręce, skąd ma łzy na policzkach. Owszem, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy bardzo się z Martinem zaprzyjaźnił, ale płacz?

Katja z pewnością wyjaśniłaby to wszystko jego „opętaniem”. Już to sobie wyobraża: jej przemądrzałą minę, gdyby zobaczyła, że szlocha.

Jednak to wyłącznie przypuszczenia, których nie zweryfikuje, bo nie zamierza pisać słowem nikomu – a już na pewno nie Katji – że zaczął ryczeć, ani opowiadać o dziwnym odgłosie, jaki z siebie wydał, przeczytawszy wiadomość.

Zaginięcie Magdy i jego gwałtowna reakcja – drżenie rąk, kołatanie serca – wstrząsnęły nim niemal tak samo. Jednocześnie w kilka sekund wyrosły przed nim dwie zagadki. Bierze głęboki oddech i zabiera się do rozwiązywania pierwszej, tej, którą wie, jak ugryźć. Włącza laptopa. Chce się dowiedzieć czegoś więcej.

W kwadrans zapoznaje się ze wszystkimi informacjami dostępnymi w sieci, są już trzy rekonstrukcje wydarzeń z ostatniej nocy.

Bierze prysznic w ekspresowym tempie, wyciera się i wraca do komputera, jak gdyby coś mogło go ominąć, jeśli na zbyt długo oderwie się od napływających wiadomości.

Artykułów jest coraz więcej. Widząc zdjęcie Martina pod nagłówkiem *Zniknięcie córki znanego wydawcy*, znowu zaczyna panikować. Jego wzrok pada na własne odbicie w dużym lustrze. Kupił je swego czasu po to, by móc z różnych stron podziwiać doskonale ciało swojej partnerki, a teraz przypomina mu głównie o tym, ile utył od czasu, gdy zaczął pracować z Martinem. Ów widok jest niczym policzek – otrzeźwia go. Znowu pochyla się nad laptopem.

Wygląda na to, że pierwsze zgłoszenie na policji odebrano w poniedziałek o dwudziestej drugiej trzydziści. Dzwoniła Åsa: Magda zniknęła z ich willi w Brommie, podczas gdy ona i Martin przebywali w restauracji nieopodal.

Podczas kolacji oczywiście do niej zaglądali, jednak tylne drzwi zostawili otwarte. Ktoś musiał wejść i ją zabrać.

Około dwudziestej pierwszej czterdziści pięć zorientowali się, że jej nie ma. Wtedy wraz z garstką sąsiadów zaczęli przeczesać okolicę, a po czterdziestu pięciu minutach zadzwonili na policję. Krótco po dwudziestej drugiej trzydziści na miejscu pojawił się patrol, a zaraz za nim jednostki operacyjno-rozpoznawcze. Według doniesień prasowych bezzwłocznie zaczęto szukać dziewczynki. Policjanci chodzili od domu do domu i pukali do drzwi, obeszlą całą okolicę. Stopniowo oddział powiększał się, w sumie w akcji wzięło udział jakichś dwudziestu mundurowych plus cała rzesza wolontariuszy z sąsiedztwa.

Zdaniem eksperta, którego poproszono o wypowiedź, „należało się spieszyć”, ponieważ „z reguły mamy siedemdziesiąt dwie godziny na dotarcie do zaginionych dzieci, później statystyczne szanse na odnalezienie ich żywych drastycznie spadają”.

Rankiem nurkowie przeszukali jezioro Mälaren. Niczego nie znaleźli.

Tom spogląda na zegar w komputerze. Upłynęło już kilka godzin. Wstaje po telefon, ale natychmiast znów siada. Kręci mu się w głowie. Zbiera myśli.

Kiedy ostatni raz widział Martina? W piątek? W poniedziałek nie pojawił się w wydawnictwie, ponieważ Magda się rozchorowała. Tak, właśnie tak. Zatelefonował około dziewiątej i powiedział, że córka źle się czuje. Tom sam poprowadził spotkania zaplanowane na ten dzień. Po czwartej zadzwonił do szefa, ale ten miał wyłączoną komórkę.

Bierze do ręki telefon, zastanawia się przez chwilę, po czym wybiera jego numer. Połączenie od razu trafia na automatyczną sekretarkę. Rozważa, czy się nagrać, ale w końcu rozłącza się przed sygnałem.

Z przyzwyczajenia chce zatelefonować do Katji, ale natychmiast się powstrzymuje.

Ubiera się i wybiega na ulicę, aby dotrzeć do wydawnictwa.

W nocy spadł deszcz. Chodniki przy Norr Mälarstrand lśnią czystością.

Decyduje się wziąć taksówkę, żeby dotrzeć do biura jak najszybciej. Odczuwa silną potrzebę przebywania wśród ludzi równie jak on poruszonych tragedią. Znających Martina.

W drodze na postój obok kiosku z papierosami rzucają mu się w oczy plakaty przedstawiające pierwsze strony gazet. Kupuje wszystkie dzienniki i czyta je później w taksówce, jadąc na Sveavägen.

„Aftonbladet” publikuje zdjęcia. Na okładce duża twarz Magdy. W środku informacja, że rodzicami są Martin Horn, wydawca, i Åsa Horn, psycholożka ze Szpitala Świętego Jerzego.

„Svenska Dagbladet” również opisuje to wydarzenie, ale krócej i bez nazwiska ojca, nazywając go jedynie „znaną osobą z branży wydawniczej”.

Tom odkłada gazety na bok i wygląda przez okno. Niepokój sprawia mu fizyczny ból. W ciągu zaledwie kilku miesięcy dzięki Martinowi jego życie nabrało sensu. Współczuje facetowi, który tak mocno zaważył na jego sprawach.

Jest zły na Katję, bo nawet nie zadzwoniła, by zapytać, co się właściwie stało. Ma przecież pełną świadomość roli Horna w jego życiu. Egoistka. Chyba się nawet zaczyna cieszyć,

że od niego odeszła.

W wydawnictwie wszyscy zebrali się w atrium. Stoją w grupkach, szepczą, kiwiają głowami. Tom lustruje pomieszczenie, szukając kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Z grona kilku pań z działu marketingu wyławia innego redaktora.

– To jest coś strasznego – mówi tamten.

– Biedny Martin... – rzuca jedna z kobiet.

– Jak mógł zostawić ją samą? – zastanawia się druga.

Czyli wiedzą tyle co on. Nie mają na ten temat nic ciekawego do powiedzenia. Większość się tylko bulwersuje, że Martin i Åsa zostawili dziecko bez opieki. On pragnie dociec, co się do cholery stało.

Dochodzi do wniosku, że oni nie znają Martina. Jeżeli oboje z Åsą zostawili otwarte drzwi, to znaczy, że uznali to za całkiem bezpieczne. Magda ma jedenaście lat i powinna sobie radzić w domu sama. Poza tym knajpa znajduje się blisko ich willi, w zamożnej dzielnicy i wśród domostw sąsiadów, których znali i do których mieli zaufanie.

Reakcja kolegów i koleżanek potwierdza jedynie jego dawne przypuszczenia: jest jedyną osobą, którą Martin wpuścił do swojego prywatnego kręgu. To fakt. Pozostali albo się go boją, albo go nie lubią. W zaledwie dwa miesiące Martin stał się jego mentorem, przewodnikiem oraz – ta świadomość przepełnia go radością – przyjacielem, więc tym samym to nieszczęście dotyka go bardziej niż innych.

Pod wpływem impulsu biegnie na górę, do gabinetu Martina. Na miejscu odkrywa, że drzwi oklejono policyjną taśmą.

– Stop! – woła łysy facet z końca korytarza, gdzie rozmawia z kilkoma kolegami wydawcy. – Zna pan Martina Horna?

– Oczywiście, że tak.

Mężczyzna macha ręką na kobietę, która podchodzi do Toma z notesem. Wygląda na zdenerwowaną.

– Kim jest dla pana Martin Horn? – pyta.

– Pracujemy razem.

– Na co dzień?

– Tak.

– Kiedy widzieliście się po raz ostatni? – rozkręca się.

Łysy policjant wraca do swoich świadków.

Toma uderza myśl, że to wszystko jest niezwykle surrealistyczne. Ni stąd, ni zowąd znalazł się na planie filmowym, otoczony przez dochodzeniówkę.

– W piątek. Dlaczego?

Telefon kobiety zaczyna dzwonić.

– Proszę tutaj poczekać – mówi ona i odchodzi parę kroków na bok.

Tom siada na ławce pod gabinetem i głęboko oddycha, podczas gdy policjantka rozmawia przez komórkę. Z dużego portretu wiszącego naprzeciw świdruje go wzrokiem Strindberg, przez co cała sytuacja natychmiast jawi się jako jeszcze bardziej beznadziejna. W tym samym miejscu siedział dwa miesiące temu, czekając na rozmowę kwalifikacyjną prowadzoną przez Martina.

Pod koniec lutego Horn wysłał do Toma wiadomość: chciał się spotkać. Schlebiało mu, a zarazem wruszało go to, że ktoś tak wysoko postawiony w branży wydawniczej okazał mu zainteresowanie. Dobrze znał jego nazwisko dzięki ojcu Katji. Syn wydawniczej legendy, Gunnara Horna. Poza tym rzeczywiście zetknął się już kiedyś z Martinem. I mimo że spotkanie trwało zaledwie pięć minut, to wywarł on ogromne wrażenie na osiemnastoletnim wówczas Tomie.



Latem 1998 roku jako licealista odbywał praktyki w dziale produkcji jego wydawnictwa i wysłano go do Martina z okładką do oceny.

Wyraźnie pamięta te chwile.

To była drobnostka, ale Tom wracał do niej myślami wielokrotnie. Było coś w sposobie, w jaki Martin się odchylił, oglądając obwolutę, od czego Tom poczuł mrowienie – tak mogła wyglądać dorosłość i biegłość w zawodzie. Martin był o jakieś piętnaście lat starszy, ta różnica wieku sprawiała więc, że wydawał mu się młody i jednocześnie odpowiednio dojrzały, aby cieszyć się, jak zakładał Tom, autorytetem. „Oto człowiek, który traktuje swoje zadanie serio” – pomyślał. Sam chciałby tak w przyszłości robić. Zafascynował go widok osoby, która jednym gestem potrafiła wyrazić długoletnie doświadczenie. W przypadku Martina chodziło o sposób, w jaki podniósł okładkę do światła, przyjrzał się jej i wydał opinię. Krótkie, powściągliwe, brutalne „nie”.

I tak równo dwanaście lat później Tom odebrał wiadomość, w której ten sam wydawca zapraszał go na rozmowę w sprawie potencjalnej pracy.

Było to co najmniej niespodziewane.

Nigdy już, oprócz tamtych praktyk, nie miał nic wspólnego z branżą wydawniczą. Wiedział o niej tylko tyle, ile nauczył się przez ten krótki okres włączenia się z Katją po targach książek i przyjęciach organizowanych przez księgarzy, kiedy była młodą i obiecującą poetką.

Świetne wycucie czasu. Potrzebował tej roboty. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby mu zostawić [www.svaren.se](http://www.svaren.se)>[3] za sobą.

Pieniądze ze sprzedaży właśnie się skończyły, a liczba zaproszeń do współpracy – rozmów przy okrągłym stole i dyskusji panelowych – w roli internetowego eksperta drastycznie spadła, skoro nie wiązano już jego nazwiska ze znaną i innowacyjną stroną WWW.

Całymi dniami oddawał się właściwie jednej rzeczy: starał się przyciągnąć czytelników do bloga, którego założył, aby przypomnieć społeczeństwu, że to on jest wizją i ręką sprawczą [www.svaren.se](http://www.svaren.se).

Jego wpisy rzeczywiście wzbudzały zainteresowanie w środowisku blogerów, ale to mu nie wystarczało. Zasmakował już rozgłosu i niezależnie od liczby tweetów, jakie generował jego blog, odczuwał niezadowolenie.

Dlatego tak się ucieszył z e-maila Martina i pytania, czy byłby zainteresowany współpracą. Najwyraźniej istniała przynajmniej jedna osoba spoza jego kręgu, której spodobało się to, co pisał.

Stąd jego wielkie podniecenie, gdy pewnego dnia w lutym maszerował Sveavägen do wydawnictwa na swoją pierwszą rozmowę. Został przywitany przez sekretarkę. Drewniana podłoga skrzypiała pod stopami, kiedy krążyli po starym budynku, by dotrzeć wreszcie do korytarza z podobizną Strindberga na ścianie, gdzie kobieta poprosiła, aby usiadł.

Możliwe, że obraz pełnił funkcję strategiczną, bo powieszono go wysoko. Może miał onieśmielać kandydatów do pracy, bo wyglądał, jakby pytał: „Czy aby na pewno jest to miejsce dla ciebie?”.

Asystentka szybko wróciła, oznajmiając, że Martin teraz go przyjmie.

Wszedł do pokoju. Wydawca stał przy oknie wychodzącym na Sveavägen, zwrócony do niego plecami.

To, co Toma uderzyło na wejściu, to chaos – stosy wydruków, książek i gazet – ale taki chaos, który robi wrażenie kreatywnego. Żółte karteczki powtykane w książki, zapisana tablica...

Słyszając, że Tom wchodzi, Martin odwrócił się i wyciągnął rękę – tylko tyle. Tom odebrał to jako sygnał, aby podejść, i tak też zrobił. Stanąwszy bliżej, przyjrzał się jego twarzy. Zupełnie się nie postarzał. Co najwyżej trochę przytył.

Przystojny to mało powiedziane i do tego o spojrzeniu tak intensywnym, że prawie speszył Toma. Zdawał się czytać w jego myślach. Włosy gęstą falą opadały mu na czoło jak u chłopca. Anarchistyczna rudawa broda stanowiła umiarkowaną przeciwwagę dla czarnych markowych ubrań.

Tom uściśnął mu rękę – była miękka i ciepła – a potem się przedstawił. Wydawca poprosił, żeby usiadł, wskazując na fotel z owczej skóry. Po chwili wyłożył sprawę:

– Wydawnictwo potrzebuje dodatkowego redaktora. Coraz trudniej mi ze wszystkim nadążyć.

– Muszę się przyznać, że nie mam zbyt dużego doświadczenia w tej pracy.

– Może to i dobrze. Większość osób zajmujących się u nas redakcją ma przygotowanie. Uwielbiają książki. Wiele o nich wiedzą. Sami chcą pisać. A to może narzucać jeden określony kierunek, a ja chciałbym dotrzeć do nowych pisarzy, świeżych opowiadań. Z aktualnych i nieoczekiwanych źródeł.

– Rozumiem.

– Więc popytałem trochę.

– Tak?

– Trochę poszukałem i natknąłem się na twoje nazwisko.

– Tak? – powtórzył Tom zaniepokojony.

– Uważam, że po prostu potrzebujemy modernizacji – ciągnął Martin. – I potencjalnie to byłoby twoim zadaniem.

Tom próbował się uśmiechnąć.

– Na próbę oczywiście – dodał.

– Jasne!

– A więc?

Tom udał, że się zastanawia, po czym wyciągnął do niego rękę.

– Nie zawiodę cię.

Martin uściśnął mu dłoń z uśmiechem tak szerokim, że przez moment widać było kulkę snusu pod górną wargą. Ten uśmiech, w mniemaniu Toma, otwierał przed nim furtkę do całego wydawniczego świata.

Spędził w gabinecie niecałe pięć minut i wszystko było załatwione. Chyba tak się to właśnie odbywa: decydujące sprawy w życiu rozgrywają się bez przeszkód, jakby sterowane przez jakąś siłę wyższą.

Wieczorem Tom siedział do późna, szukając w Google wpisów o Martinie Hornie. Znalazł tylko śladowe informacje: kilka wywiadów w związku z wydaniem jakiegoś tytułu, parę zdjęć z wręczenia nagrody literackiej. Było jasne, że Martin miał rację – praca wydawcy odbywa się za kulisami. Poszedł do salonu, aby opowiedzieć Katji o swoim nowym szefie, i zastał ją śpiącą na kanapie.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Ocknęła się, gdy ją przenosił, i posłała mu uśmiech. Zaspana, piękna. Delikatnie położył ją na łóżku i trzymał w objęciach, chłonąc zapach jej lekko wilgotnej skóry. Wsunął rękę pod jej sweter i dotknął rozgrzanych piersi. W odpowiedzi przysunęła się bliżej.

Po sześciu latach związku kochali się raczej rzadko, ale raz po raz pożądanie dawało o sobie znać. Problem w tym, że rzadko kiedy mieli ochotę w tym samym czasie. Zawsze jedno chciało bardziej niż to drugie.

Na przykład teraz szepnęła, że ma owulację, i poprosiła, żeby uważał. Przerwał pocałunek. Kolejny raz powrócił temat dziecka.

– Czas jest nieodpowiedni – powiedziała cicho.

- Zawsze taki jest.
- Chcę najpierw skończyć mój tomik.
- A kiedy to nastąpi?
- Za miesiąc, może dwa.
- W porządku. Dzieci nie rodzą się z dnia na dzień. O ile mnie pamięć nie myli, ciąża trwa dziewięć miesięcy.

- Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?
- Wcale mi aż tak nie zależy, boli mnie tylko, że nie chcesz.

Mówił prawdę. Posiadanie dzieci napawało go strachem, a mimo to z biegiem lat nalegał z jednej prostej przyczyny: irytowała go jej niechęć. Wydawało się wbrew naturze, że nie chciała mieć dziecka z partnerem, z którym była od sześciu lat.

To, że zwalała winę na swoje pisanie, wybitnie działało mu na nerwy.

Żeby chociaż pracowała nad powieścią. W wieku trzydziestu lat pisać poezję, która – jeśli dobrze pójdzie – dotrze do jakichś stu pięćdziesięciu czytelników, zakrawało według Toma na akt desperacji. Zadebiutowała jako dwudziestoczterolatka. Już wtedy była na granicy.

- Możesz sobie pisać do woli, tylko nie rzucaj pracy w szkole.
- Nie potrzebuję twojego przyzwolenia.
- Pozwól, że będę się spierał. Utrzymałem cię przez cały zeszły rok!
- Sam mnie zachęcałeś, bym wzięła wolne!

I znowu kłótnia.

Godzinę trwało, zanim przedarli się przez wszystkie racje i kontrargumenty, a potem ona odwróciła się do niego plecami i zasnęła, zostawiając go samego, czuwającego w mroku.

Popatrzył na nią. We śnie wyglądała tak pięknie i bezbronne, że aż trudno mu było pojąć, że ta sama kobieta zaledwie przed chwilą naskoczyła na niego z taką furją.

Chciało mu się płakać nad tym, jak się wszystko czasami psuje, ale nie zdołał uronić choćby jednej łzy.

Kto wie, czy nie miała racji, zarzucając mu, że nie szanuje jej pracy. Ale nawet jeśli tak było, to sama jest sobie winna. Jak dotąd nie udało jej się podać dobrego wytłumaczenia, dlaczego zajmuje się poezją.

Najpierw mówiła, że pisze, bo nie lubi swojej pracy. Kiedy indziej, że jej motywacją jest chęć pokazania rodzicom, że nie jest taka jak oni. Z czasem jej odpowiedzi stawały coraz bardziej sprzeczne, więc naturalnie zaczął się zastanawiać, co chce tymi wierszami udowodnić. Kiedy się poznali, miała lżejszy stosunek do swojego pisania.

– Piszę, żeby zdobyć sławę – oznajmiła na przykład pół żartem, pół serio na ich pierwszym spotkaniu, a jemu spodobała się zuchwałość tej wypowiedzi, niespodziewanej z ust poetki.

Poza tym w tamtym okresie poezja do niego przemawiała. Nawet jeśli nie był wystarczająco odczytany, aby oceniać jej wiersze pod względem jakości, podobało mu się w nich to, że miały konkretny temat i formę, którą rozumiał.

W wąskim, acz hipsterskim kręgu, w jakim się obracali, rzeczywiście osiągnęła swój cel. Wyrobiła sobie nazwisko, budziła zainteresowanie. Wydała książkę o r a z pracowała jako didżejka. Niekiedy łączyła oba te zajęcia: zza konsoli czytała wiersze z muzyką dance w tle. W tamtym czasie daleko można było tym sposobem zajść. Możliwe, że to kombinacja jej przystępności i dystansu przemawiała do odbiorców: uprawiała niszową poezję o szerokiej i lekkiej tematyce, jaką było imprezowanie. Tomik poezji wyłącznie o disco zakrawał na ewenement i nawet jeśli przeczytała go jedynie garstka osób (żartowała, że sprzedał się tylko w stu pięćdziesięciu egzemplarzach), to sam koncept przyczynił się do zbudowania jej legendy

wśród klubowiczów.

Jej wygląd także miał na to wpływ. Na ulotkach i plakatach zapowiadających jej didżejski występ była wyzywająco ubrana, w efekciarskim makijażu. Kręciło ją to. Wychowała się w rodzinie inteligenckiej, dlatego lubiła się dystansować od wszystkiego, co takie pochodzenie symbolizowało.

W tym krótkim, lecz bogatym w wydarzenia okresie licznych zleceń dla didżejki i poetki w jednym Tom stał się jej egzotycznym atrybutem – programista z prowincji, który nigdy nie tańczył. Nie, wcale nie czuł się wykorzystywany. W pewnym sensie on też na tym korzystał.

Po jakimś roku znudzeni nocnym życiem przestali tak często wychodzić. Zaczęli się coraz bardziej skupiać na pracy. Ona dostała etat szkolnej higienistki, on zamierzał stworzyć stronę internetową.

Być może dlatego tak się przeraził, kiedy ponownie zabrała się do pisania. Niepokoiła go myśl, że skrycie marzy o powrocie do dawnego życia.

Kiedy przyszedł e-mail od Martina, Tom zaproponował Katji przechadzkę po Sveavägen, żeby obejrzeć wydawnictwo. Głośno obśmiała jego propozycję, nazwała ją „absurdalną”, ale mimo to zgodziła się mu towarzyszyć. Było pogodnie i rześko.

– I jakie wrażenia? – zapytała, kiedy dotarli na miejsce, a on zadarł głowę, aby objąć wzrokiem fasadę budynku.

– Spory – odparł z uśmiechem i poprosił, żeby zrobiła mu zdjęcie komórką.

Sprawdzili, jak wyszło, i oboje zaczęli się śmiać. Nie miał wyboru, jak tylko przyznać, że na tle tego okazałego gmachu on sam wypadł bardzo niepozornie. Bez dwóch zdań zdenerwowany, stojąc w obliczu nieznanego.

W drodze powrotnej, mocno trzymając Katję za rękę, w chwili błogości poczuł, że wszystko wraca na swoje miejsce: księżyc świecił jasno na granatowym niebie, a mijający ich wolno przechodnie wydawali się spokojni i sympatyczni. Miał wrażenie, że Sztokholm znów się przed nim otwiera, tu i teraz. Pierwszy raz, odkąd skończyły mu się pieniądze, znów był na fali.

I nawet jeśli ich przyszłe wspólne dochody nadal przedstawiały się skromnie, to mieli na tyle niskie wydatki, że spokojnie dadzą sobie radę.

Tego wieczoru, kiedy kładli się spać, ich dwupokojowe mieszkanie na Kungsholmen wydawało się jakby większe. Leżąc w łóżku, długo jeszcze rozmawiali. Stwierdził, że ten dzień pozwala im wreszcie wkroczyć na drogę ku przyszłości, ku temu, kim przed sześciu laty – kiedy się poznali – postanowili zostać. Ona wyraziła powątpiewanie, bo jej zdaniem życie nie było podróżą, czego Tom nie skomentował, twardo pilnując, aby tego dnia nie dać sobie zepsuć humoru. Cokolwiek by powiedział, ona i tak odpowiedziałaby na przekór.

Następnego ranka, biorąc prysznic, zauważył w lustrze, że się uśmiecha od ucha do ucha. To było marzenie, które właśnie zaczynało się ziszczać. Nareszcie osiągnął cel. No, przynajmniej był już blisko. Jedyną przeszkodę dzielącą go od mety stanowiła niechęć Katji do założenia rodziny, ale niech tylko skończy ten pieprzony tomik... Wtedy powinna się zgodzić.

Potrzebował dziecka. Żywił nadzieję, że pod wpływem córki czy syna przygaśnie jego neurotyczność, przycichną lęki. Przez całe życie, albo przynajmniej odkąd porzucił bezpieczeństwo pobożnego rodzinnego domu, dręczył go pewien brak. Być może za sprawą dziecka uda mu się odnaleźć siebie z czasów przed pojawieniem się pierwszych wątpliwości dotyczących wiary? Z niestrudzonym towarzyszem u boku, jakim jest Bóg, wszystko wydawało się łatwiejsze.

Teraz sprawy miały się inaczej. Został sam. Sam ze swoimi przemyśleniami, sam z tajemnicą.

Liczył, że jego latorośl będzie pomostem do świata, że rozpuści sekret w nicości, że

będzie miał ważniejsze rzeczy na głowie niż wątpliwości.

Kiedy wyszedł z łazienki w nowej koszuli, Katja radośnie go przywitała. Zapakowała mu już kanapkę do pudełka i schowała do teczki. Cmoknął ją w usta – oboje uśmiechali się z tej sceny rodem z lat pięćdziesiątych – po czym pospiesznie wyszedł.

Wędrując Sveavägen do biura, czuł się dorośle, niemal ponad czasem. Myślał o wszystkich, którzy teraz i dawniej zmierzali tą drogą do pracy. Przejrzał się w oknie wystawowym i spodobało mu się to, co zobaczył: ambitnego mężczyznę z nową walizką ze skóry.

Ze wspomnień wrywa Toma policjantka, która siada obok niego na ławce, wyjmując notes i długopis.

– Czy zauważył pan w zachowaniu Horna coś szczególnego?

Tom uważa, że pytanie można interpretować tylko w jeden sposób: sądzą, że Martin ma z zaginięciem Magdy coś wspólnego.

– Co pani przez to rozumie?

– Czy coś w jego zachowaniu zwróciło pańską uwagę?

Przypomina sobie, że tego dnia szef z jakiegoś powodu trzasnął drzwiami, ale postanawia nie dzielić się tą informacją. Pod żadnym pozorem nie zamierza wzbudzać podejrzeń. Zwłaszcza że nie było w tym nic niezwykłego. Miał dość wybuchowy temperament.

– Czy on jest podejrzany?

– Staramy się jedynie ustalić fakty.

– On by jej nigdy nie skrzywdził.

– Wczoraj nie było go w pracy. Czy wie pan dlaczego?

Tom czuje dreszczyk emocji: jest w posiadaniu informacji, która niewątpliwie zainteresowałaby policjantkę, ale z bezwzględnej lojalności wobec Martina decyduje się ją przemilczeć.

Teoretycznie mógłby też wspomnieć o zastanawiającej nieobecności szefa codziennie między jedenastą rano a drugą po południu. Albo o tym, że czasami płakał w gabinecie. Lub o arogancji, z jaką traktował Magdę, kiedy przychodziła z nim czasem do pracy. Ale co by to dało? Martin na nim polegał, a on nie zamierzał go zawieść.

– Nie, nie mam pojęcia.

– Czy przypomina pan sobie z zeszłego tygodnia jakieś inne zachowania Horna odbiegające od normy?

– Nie, żadnych.

Funkcjonariuszka wpatruje się w niego bez słowa, co wydaje się Tomowi żałośnie przewidywalne – twardym spojrzeniem ma nadzieję wydusić z niego prawdę.

W końcu wręcza mu swoją wizytówkę i odchodzi.

Kiedy cichną jej kroki i zamykają się za nią drzwi wejściowe, Tom wstaje z ławeczki i przechodzi pod taśmą zabezpieczającą. Staje pod drzwiami i naciska klamkę. Zamknięte.

Kieruje się do sekretariatu po klucz. Wraca pod gabinet, rozgląda się i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, otwiera.

Pokój wygląda zwyczajnie.

Ileż to razy stał na tym progu i pukał do drzwi, na co Martin odpowiadał tym swoim charakterystycznym „Taaak?”, jakby mu przeszkadzano.

Wchodzi do środka i zamyka drzwi. Nieporządek jak zwykle, wszędzie papiery i książki. Siada na krześle szefa i rozgląda się po pokoju. Na biurku zdjęcie Magdy w ramce. Mała śmieje się do obiektywu. Blond włosy falami opadają jej na ramiona. Prześlizgnęła się dziewczynka. Nic dziwnego, że media się nakręcają.

Nie ma jej już wiele godzin, a to podobno nie wróży nic dobrego. Dziecko nie może tak po prostu zniknąć. Ktoś musiał je porwać. Świadomość, że Martin w tej chwili zadrecza się wizjami tego, co się dzieje z córką, jest nieznośna. Tom chciałby przejść przez to razem z nim, być blisko niego. Jednak nie ma pojęcia, jak się sprawy potoczą.

Zerka na biurko z myślą, że gdzieś na tych kartkach, w tych maszynopisach można znaleźć winnego.

Poznał całkiem sporo osób, którym Martin się naraził. Odrzuceni pisarze, urażeni autorzy... Chociaż ci raczej nie porywają dzieci, to nie ten typ.

Bardziej prawdopodobne, że po prostu związała. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że ten dzieciak postanowił zwyczajnie nawiać z domu. Kiedy towarzyszyła ojcu w pracy, Tom czuł się w jej obecności nieswojo. Świdrowała go wzrokiem w taki sposób, że miał wrażenie, jakby przejrzała go na wskroś. Jakby mówiła: „Nie jesteś dobrym człowiekiem”. Jakby znała tajemnicę.

Poza tym przeszkadzała szefowi w pracy.

Pamięta jedną sytuację, kiedy Martin miał na mieście jakąś sprawę do załatwienia, jak zwykle w czasie przerwy obiadowej, i poprosił Toma, by przez kilka godzin popilnował jego córki. Ten włączył jej telewizor w sali konferencyjnej i wrócił do siebie, a kiedy zajrzał tam po trzydziestu minutach, nie zastał jej w pokoju. Szukał jej z piętnaście minut, aż odnalazł ją w magazynie, gdzie pochylona nad stołem rysowała.

Wyczuwało się w niej pewną ociężałość. Możliwe, że dzisiejsze nastolatki takie są, zblazowane, zmęczone. Martin miał rację: dzieci przestały być dziećmi, a stały się małymi dorosłymi klikającymi w telefony i tablety. W sumie nie zależało mu zbytnio na własnym potomku, ale nie miał wyboru. Dziecko miało ważną funkcję do spełnienia.

Obok zdjęcia Magdy stoi fotografia ślubna Martina i Åsy, która przywodzi mu na myśl jego pierwszą wizytę u nich w domu.

– Przyjdź w piątek na kolację.

Gdy po kilku tygodniach pracy w wydawnictwie usłyszał coś takiego, nie posiadał się z radości. Został zaproszony do niego d o d o m u, co należało interpretować jako znak, iż ich znajomość zawodowa wkracza na wyższy poziom i zmierza w stronę przyjaźni.

Później się zorientował, że byli już z Katją umówieni na kolację u jej ojca. Skręcało go w środku na samą myśl o tym. Od lampki wina zaczynając, a na whisky w salonie kończąc, nic tylko anegdoty z minionych czasów, opowieści o osobach, o których nigdy nie słyszał, rozwlekłe relacjonowanie spotkań ze znanymi osobami świata kultury, strumień cytatów, aż wreszcie – zwłaszcza po whisky – gwałtowne wyrzuty przeciwko pustej współczesności. Teraz, kiedy stary stał już nad grobem, istniało duże prawdopodobieństwo, że wieczór okaże się nieznośny.

– Oboje z Åsą chętnie poznalibyśmy też twoją dziewczynę.

– Ja wpadnę, ale ona niestety nie da rady. Pomaga w czymś ojcu.

– W takim razie poznamy się przy innej okazji. Zapraszam na siódmą!

Po tej rozmowie trudno mu się było zabrać do pracy. Choćby nie wiadomo jak się skupiał na tekście, myśli krążyły wyłącznie wokół kolacji.

Hornowie mieszkali niedaleko ojca Katji, więc w piątek wieczorem wzięli jedną taksówkę.

– Powodzenia – rzuciła, zostawiając go pod willą Martina i Åsy.

Skłamał, że będą pracować nad powieścią, i słysząc, jak Katja życzy mu powodzenia, lekko się zawstydził. Uczucie to wyparowało od razu, gdy tylko Åsa otworzyła mu drzwi.

Była hipnotyzująca.

– Witaj – powitała go z uśmiechem i złapała za rękę.

Uśmiechała się w sposób, który sprawiał, że człowiek czuł się wybrany. Na każde jego

słowo, nieważne jak błahe, rozpromieniała się, więc uznał, że wszystko idzie dobrze. Poza tym podała mu ogromny kielich wina, który wychylił w okamgnieniu. Czuł się lekko i swobodnie.

Martin w kuchni pobrzękiwał garnkami.

Pachniało wybornie. Taki zapach kojarzył mu się z sutymi kolacjami w świetlicy parafialnej w czasach dzieciństwa. Martin zdradził, że chodził na kurs gotowania i chciał wypróbować jakiś przepis. Zapytał, czy Tomowi nie będzie przeszkadzało, jeśli mocno doprawi dania. „Ależ skąd!” – zapewnił. Tego wieczoru był otwarty na wszystko. Ekscytowała go wycieczka po domu z Åsą, której dłoń delikatnie spoczywała na jego przedramieniu, kiedy prowadziła go z pokoju do pokoju. Nigdy nie widział czegoś podobnego, nie miał dostępu do tego rodzaju towarzystwa i nigdy nie zachwyił się tak bardzo żadnymi wnętrzami. Tego właśnie pragnął w przyszłości: właśnie tak mieszkać, w otoczeniu książek i bladych akwareli. Siedzieć na kanapie z widokiem na pokój z wysokim sufitem i rozkoszować się łagodnym jazzem sączącym się z głośników. Magda była idealną wisienką na tym torcie, wpatrzona w telewizor, śliczna, jasnowłosa, małowłna. „Naprawdę jest tak – pomyślał – że mieszkanie, w którym jest dziecko, jakoś bardziej wygląda na dom”.

Rozgrzewający płomień wina rozpałił się w jego piersi, czerwony, niewielki, oświetlając pokój delikatnym światłem. Tom czuł się bezpiecznie i śmiało. Nerwowość zniknęła, nie miał powodu do niepewności. *Z a s ł u g i w a ł*, by tu przyjść, w to prywatne, sekretne miejsce, gdzie piękne kobiety i wpływowi mężczyźni dyskutowali na poważne tematy.

Gdy wrócił do domu, Katja nie spała. Z zapałem opowiedział jej o kolacji. Nie zapomniał nadmienić, że sporo się też napracowali, ale potem zrobili sobie przerwę na coś do jedzenia. Wyczerpująco opisał willę, olbrzymie półki na książki, sugestywną muzykę i ożywione rozmowy. Przemilczał tylko urodę Åsy. I to, że kiedy czekali na ulicy na taksówkę, poklepał Martina po plecach na pożegnanie.

Katja przysłuchiwała mu się z uwagą, ale gdy tylko skończył relację, odwróciła się z powrotem do komputera.

Wspomnienie kolacji dodaje Tomowi siłę, kiedy siedzi za biurkiem szefa. Martin już na samym początku zaprosił go do swojego kręgu, tak naprawdę było. Traktował go jak równego sobie.

Rozgląda się po pokoju.

Musi się skupić, jest to winien przyjacielowi.

Zaczyna od sprawdzenia ostatniej szuflady. Zawiera wyłącznie długopisy, nożyczki i koperty. Druga szuflada jest bardziej interesująca. Pod papierami znajduje klucz z wygrawerowanym napisem „Afk 3”. Chowa go do kieszeni i z kartkami pod pachą opuszcza pokój. Dokładnie zamyka za sobą drzwi.

Postanawia wcześniej wyjść z wydawnictwa. Tego dnia panuje tam zresztą atmosfera bezkrólewia, ludzie snują się po korytarzach zapłakani. Nikt nie zauważy, że najbliższy współpracownik Horna poszedł do domu.

W drodze do domu jeszcze raz próbuje dodzwonić się do przyjaciela, ale jego komórka nadal jest wyłączona.

Snuje się bez celu po mieszkaniu, zapomina nawet zdjąć buty. Spogląda na łóżko, zawiesza wzrok na wpół opróżnionej butelce wody mineralnej na stoliku nocnym, dziwi się, że pozostało w niej jeszcze tyle gazu. Przecież od minionego wieczoru, kiedy ją otworzył, upłynął już jakby miesiąc. Rozgląda się wokół i nagle mieszkanie i sprzęty wydają się obce. Nieprzyjemne wspomnienia ostatnich miesięcy z Katją zainfekowały tę przestrzeń i nawet jeśli poprzestawia meble, nie da się ich zamazać. Gdziekolwiek spojrzy, coś mu o niej przypomina, mimo że każdą szminkę i każdą parę majtek, jaka wpadła mu w ręce, chowa do reklamówki

w szafie. Bez przerwy znajduje coś nowego. Pozostał też ślad pogodnych wspomnień, tym trudniejszych do zniesienia, ale i tego się pozbył. Za każdym razem, gdy wyrzuca do kosza kolejną rzecz, uświadamia sobie, że to się dzieje naprawdę, że jest nieodwołalne, że w końcu to zrobiła.

Oślepia go popołudniowe słońce wpadające do pokoju. Zauważa, że Katja zabrała ze sobą firanki. Przyjmuje to z oburzeniem, nawet jeśli mu się nie podobały. Nagle budzi się w nim gniew. Musiała słyszeć o Magdzie w wiadomościach, ale nie zadzwoniła, żeby sprawdzić, jak on się czuje. Chore zachowanie, jego zdaniem. Wie, kim Martin jest dla Toma, ile dla niego znaczy. Fakt, że się nie odzywa, o nic nie pyta, doprowadza go do pasji. Słońce wzmaga jego wściekłość, ten oślepiający reflektor, przed którym nie ma ucieczki, bo ona ukradła firanki! Ostatecznie zamyka się w łazience, siada na muszli, czuje napływające łzy. „Katja może spieprzać!” – czuje tak każdą cząsteczką ciała.

Wieczór spędza przed komputerem, przeskakując z jednej strony informacyjnej na drugą, bo są bezustannie aktualizowane. Powoli wyłania się coraz wyraźniejszy, prawdopodobny obraz zdarzeń.

Tamtego dnia Magda nie poszła do szkoły – została pod opieką Martina. Odwiedzili jego ojca w biurze na Riddarholmen, a później pojechali do domu. Przez kilka godzin oglądała telewizję, po czym około ósmej poszła do swojego pokoju, by się położyć. Krótco potem Martin wyszedł do restauracji znajdującej się osiemdziesiąt metrów od domu i nie zamknął drzwi na klucz. W lokalu pojawił się około dwudziestej dwadzieścia i zajął stolik na końcu sali. Po paru minutach dołączyła do niego Åsa.

Zamówili polędwiczki wieprzowe z pieczonymi ziemniakami i butelkę wina. O dwudziestej pierwszej piętnaście Martin poszedł zajrzeć do Magdy, ale gdy stanął za jej drzwiami, nie usłyszał nic, co wskazywałoby na to, że się obudziła. Wtedy wrócił do knajpy. Około dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć zajrzała do niej Åsa. Chwilę później wszyscy goście zobaczyli, jak wpada do lokalu i krzyczy: „Nie ma jej!”

Hornowie biegiem opuścili restaurację, a czworo innych gości podążyło za nimi. Wszyscy sześcioro przez czterdzieści pięć minut szukali dziecka w domu i okolicy. O dwudziestej drugiej trzydzieści dwie zadzwonili na policję.

Na [www.aftonbladet.se](http://www.aftonbladet.se) Tom czyta, że Martin i Åsa zwołują tego wieczoru konferencję prasową, gapi się więc w telewizor i przyklejony do sofy czeka na kolejne wiadomości. Nie chce stracić choćby sekundy.

W serwisie o dwudziestej drugiej pokazują wycinek z konferencji: nie odpowiadają na pytania, odczytują tylko krótką wiadomość.

Siedzą na kanapie w salonie. Tom rozpoznaje stolik kawowy. Martin obejmuje Åsę ramieniem. Ma jakąś inną mowę ciała. Jest bardzo spięty

Åsa spogląda prosto w kamerę i mówi, że zwraca się bezpośrednio do osoby, która porwała jej córkę.

Tom wstrzymuje oddech, słuchając, jak metodycznie przemawia do sprawcy, jak terapeutka do pacjenta. Spokojnie i rzeczowo opisuje, jak jej zdaniem on musi się czuć.

– Wiem, że targają tobą skrajne emocje. Nie dziwiłabym się, gdybyś doświadczał zarówno zwątpienia, jak i strachu, może nawet paniki. Ponadto...

Tom nagle zauważa, że przestał słuchać, a skupił się na obserwowaniu Martina. Czuje zawiść. On doświadcza czegoś naprawdę. Znajduje się w centrum ważnego wydarzenia. I znosi to po stoicku. Opanowany, poważny, zasmucony. Całym sobą i lodowato błękitnym przesywającym spojrzeniem skierowanym na Åsę wyraża siłę.

Ona tymczasem akcentuje każdą sylabę, aby uniknąć nieporozumień:



– Nie jesteśmy na ciebie źli. Wszyscy popełniamy błędy. Ważne, aby przyjrzeć się sobie i mieć odwagę przyznać: „Tak, źle zrobiłem i przyjmuję konsekwencje”. Do końca życia pozostaniemy ci wdzięczni, jeśli tylko to zrobisz. Magda potrzebuje mamy i taty. Potrzebuje swojego domu. Prosimy, pozwól jej do nas wrócić. Dziękuję.

Tom jest oszołomiony. Nie tylko tym, że wreszcie zobaczył tych dwoje, pierwszy raz od zaginięcia, lecz także ich duchem walki. Za to ich uwielbia. Ale jak inni na to zareagują? Siada do komputera, wchodzi na stronę [www.svaren.se](http://www.svaren.se) i zadaje pytanie: „Co sądzicie o wystąpieniu Hornów na konferencji prasowej?”.

Już po kilku minutach jest odzew. Większość dotyczy chłodu Åsy. Sporo komentarzy o lakoniczności Martina. Niemal wszyscy zgodnie uważają zachowanie rodziców za dziwne.

Tom wpada w furję. Rzecz jasna rozumie, na co reaguja komentatorzy, ale Martin i Åsa są rodzicami, którzy dopiero co stracili dziecko i nawet nie wiedzą, czy żyje. To, że ludzie mają czelność recenzować ich prośbę do porywacza jak jakiś występ, budzi w nim odrazę. Chwilami wstydzi się za ten portal.

Od kiedy rozpoczął współpracę z Martinem, aktywność użytkowników [www.svaren.se](http://www.svaren.se) stawała mu się coraz bardziej obca. W niektóre wieczory, gdy na stronie roi się od plotek i ataków hejterów, odbiera je jako osobiste zniewagi, jak gdyby to na jego trawnik sikali.

Wchodzi więc na stronę [www.aftonbladet.se](http://www.aftonbladet.se), która wielkimi literami anonuje oświadczenie Hornów. Tytuł to zacytowane słowa Åsy: *Nie rób jej krzywdy*. Obok zdjęcie z nagrania z jej błagalnym wyrazem twarzy. Jest też zdjęcie domu. *Stąd prowadzone jest śledztwo*, głosi nagłówek, a z treści artykułu wynika, że willa stała się centrum dowodzenia, skąd policja wspólnie z przyjaciółmi rodziny bada wszystkie możliwe tropy.

Czuje zazdrość. Dlaczego nie został zaproszony?

Wysłał Martinowi kolejny SMS: „Daj znać, jeśli mogę jakoś pomóc. W czymkolwiek”.

Potem, ważąc telefon w dłoni, długo gapi się w ekran, ale komórka milczy. Wraca do surfowania. Na [www.expressen.se](http://www.expressen.se) znajduje zdjęcia sąsiadów i ciekawskich, którzy składają kwiaty i zapalają znicze przy podjeździe domu Hornów, aby okazać wsparcie.

Im więcej czyta i ogląda na temat zaginięcia Magdy, tym silniejszą odczuwa potrzebę uczestniczenia w poszukiwaniach. I coś jakby atak paniki z powodu wykluczenia z kręgu wydarzeń. W końcu nie może już usiedzieć przed komputerem i zaczyna krążyć po mieszkaniu.

Zatrzymuje się przy oknie i myśli.

Ma wyjątkową wiedzę na temat Horna. Pracował z nim ramię w ramię od dwóch miesięcy, poznał wiele osób z jego bliskiego otoczenia, przyjął jego zwyczaje, a nawet przy wielu okazjach spotkał się z Magdą. Powinien móc j a k o ś pomóc.

W tej sytuacji to jego obowiązek. Martin zrobiłby dla niego to samo.

W majowy wieczór pod koronami drzew w pąkach przy Norr Målarstrand aż roi się od przechodniów zmierzających do tej czy innej restauracji. Kiedy tak stoi przy oknie, w jego ciele rozlewa się jakieś ciepło, intensywne i wyraźne, jakie poczuł dotąd tylko raz. Miał wówczas dwadzieścia jeden lat i siedział samotnie w Humlegården, gdy nagle przyszło mu do głowy, że brakuje strony internetowej, na której użytkownicy mogliby zadawać pytania i udzielać sobie nawzajem odpowiedzi. Olśnienie było równie oszałamiające jak teraz: jasny kierunek, kiedy człowiek dostrzega, że ma coś do zrobienia.

Następnego dnia rano rusza do pracy prawie biegiem. Czeką go sporo roboty. Zacznie od przestudiowania wszystkich papierów zabranych z gabinetu szefa. Być może kryje się w nich coś, co odsłoni interesujące szczegóły.

Zamyka się w swoim pokoju i otwiera szafkę. Na wierzchu leżą cztery rysunki Magdy, namalowane pewnie podczas wizyty w wydawnictwie. Wszystkie przedstawiają jedno i to samo:

labirynty różnego kształtu i koloru. Tom po raz kolejny czuje zdumienie. Jaka jedenastolatka rysuje labirynty?

Odkłada prace na bok i właśnie zabiera się do wertowania pozostałych kartek, kiedy rozlega się pukanie. Instynktownie wrzuca plik do najniższej szuflady biurka i mówi:

– Proszę.

W uchylonych drzwiach pojawia się głowa Bengta.

– Mamy spotkanie w konferencyjnej numer pięć. Chciałbym, żebyś do nas dołączył.

– Daj mi minutę! – odpowiada Tom i gdy tylko drzwi się zamykają, wyjmuje papiery z szuflady i z powrotem zamyka w szafce.

Potem wjeżdża windą na czwarte piętro i wchodzi do sali, w której zebrano się sporo osób. Bengt, Georg, czworo szefów literackich z wydawnictw córek i jakieś dziesięcioro innych osób siedzących przy stole.

– Tom! Świetnie, właśnie zaczynamy.

W pomieszczeniu panuje cisza. Ludzie z zainteresowaniem wpatrują się w Bengta siedzącego u szczytu stołu, który ze zmarszczonym czołem i złożonymi dłońmi wygląda bardzo poważnie. Wreszcie dobitnie oświadcza:

– Åsa i Martin uczestniczą właśnie w przesłuchaniu, podejrzani o zamordowanie córki.

– Co takiego?

– Tak, to okropne.

Zgromadzeni odwracają się do siebie, jakby szukając wyjaśnienia w twarzach sąsiadów.

Tom przygląda się temu niejako z zewnątrz. Obserwuje wszystkich, zastanawiając się, dlaczego nie słyhać większego wzburzenia.

W końcu sam mówi:

– To niemożliwe!

– Tom...

– Ale jak do tego doszło? To nie może być prawda!

– Tom... – ucisza go Bengt. – Podobno mają dowody.

Odwraca się do zebranych. Patrzą na niego jak na obcego. W głowie kołacze mu się natrętna myśl, że cała ta sytuacja może im nawet sprawiać przyjemność. Ma ochotę odparować, że policja chce się wykazać postępami w śledztwie. Że to nie ma znaczenia.

Słowa więzną mu w gardle.

Bengt tymczasem kontynuuje:

– W tej chwili niewiele więcej możemy powiedzieć z tej prostej przyczyny, że to wszystko, co nam wiadomo. Chciałem tylko, abyście wiedzieli i wszystkich dziennikarzy odsyłali do mnie albo do Georga.

Wstaje i gestem daje znak, że zebranie skończone. Ludzie, szepcząc, opuszczają salę. Tom siedzi na swoim miejscu. W końcu zostają z Bengtem sami.

– O jakich dowodach mowa?

– Znaleziono świeże ślady krwi należące do Magdy na tylnym siedzeniu samochodu Martina.

Tomowi robi się słabo.

– To nieprawda. Martin nigdy by jej nie skrzywdził.

– Pojawiły się też informacje, że ją bił.

– Jakie informacje?

– Zeznania świadków.

– Jakich świadków? Skąd wiadomo, że są wiarygodni?

– Zgadzam się z tobą, rzecz jasna.

- Czy mogę jakoś pomóc?
- Zobaczymy, jak to będzie...
- Co przez to rozumiesz?
- Cóż, pracujesz z Martinem, więc teraz, kiedy go tutaj nie ma, musimy się zastanowić. Toma zatkało ze zdumienia.
- Wrócimy do tego tematu za tydzień i pogadamy o twojej roli w wydawnictwie – rzuca

Bengt na odchodnym. – Jakoś się dogadamy.

Tom zostaje sam przy wielkim stole.

Później, w windzie, kiedy patrzy na siebie w lustrze, wstydzi się własnej reakcji, ale ma emocje wypisane na twarzy, więc trudno je zignorować.

Nie chce rozstawać się z wydawnictwem. Czuje to każdą komórką swego ciała i najchętniej by to wykrzyczał. Że nie chce odchodzić. Że chce tu zostać na zawsze. Z Martinem.

Jakże on za nim tęskni.

Choćby nie wiadomo jak się starał, nie odnajduje w nim żadnej wady. Podobają mu się jego gesty, głos, nawet to, jak pachnie.

Wielokrotnie próbował opisać Katji wyjątkowość Martina, ale nie udało mu się tego wyrazić słowami. Poza tym nie miał pewności, czy słuchała go z uwagą. Wszystko, co jej o nim opowiadał, komentowała w ten sam sposób: „Chyba zastępuje ci ojca”, a to działało mu na nerwy. Jej ton sugerował, że bagatelizowała ich relację.

Bez względu na jej komentarze nie miał wątpliwości, co do więzi łączącej go z szefem. Zaledwie kilka tygodni po rozpoczęciu pracy w wydawnictwie dotarło do niego, że podświadomie naśladuje jego sposób mówienia, ubierania się – ba, nawet nawyki żywieniowe. On, tak zawsze zaabsorbowany kontrolą wagi, codziennie poddający ciało lustracji, przejął od niego pozornie swobodny stosunek do wyglądu. Widział dojrzałość i siłę w odwadze, z jaką Martin lekceważył swoje ciało, z sadelkiem jak jedno wielkie „pieprz się” dla świata: „Odnoszę sukcesy i mam tyle do powiedzenia, że nie muszę się martwić o aparycję”. Tom zaczął tym samym uważać, że ciency jak przecinek redaktorzy z drugiego piętra wyglądają żałośnie w tych swoich kardiganach i fryzurkach z podgoleniami za uchem. W ich wklęsłych torsach i anemicznej cerze czaiła się przewidywalność i jakaś nikłość. W porównaniu z nimi Martin wydawał się pulchnym rebeliantem. Kiedy na spotkaniu beztriosko odchylił się na krześle i odsonił nieopalony brzuch, nic sobie z tego faktu nie robiąc, albo gdy podczas ważnego lunchu biznesowego beztriosko pakował do ust połówkę podsmażanej kiełbasy z purée ziemniaczanym, zakrawało to w oczach Toma na bunt w mikroskali, rockandrollową rewoltę przeciwko konwenansom. Jakiś czas później sam siedział koło Martina, zajadając się górą ziemniaków pod beszamelem i kotletami ociekającymi tłuszczem.

Nie trzeba było długo czekać, aby Katja skomentowała jego przyrost wagi. Zrobiła to zaraz po stosunku, gdy leżeli obok siebie wykończeni. „Może razem potrenujemy?”

Choć była to wyrafinowana uwaga, dostrzegł jej podtekst jak neon w ciemności. Ale miał ją w nosie. Jediną osobą, której zdanie cenił, na której akceptację liczył i o którą zabiegał, był Martin. Im bardziej upodobał się do niego fizycznie i w zachowaniu, tym bezpieczniej czuł się w jego obecności. W związku z powyższym szybko zakupił sześć szarych i czarnych T-shirtów z głębokim wycięciem i dwie marynarki od Filippy K. Rozwahał nawet zapuszczenie brody, ale miał zbyt słaby zarost.

Widząc swoje odbicie w lustrze, żałuje, że nie ma go u Horna, że nie może go pocieszyć. Uspokaja się jednak na myśl o tym, że Martin dowie się kiedyś o jego staraniach. Kiedyś usłyszysz, że Tom robił wszystko, aby oczyścić go z zarzutów.

Po powrocie z pracy siada z laptopem na kolanach. Surfuje i z przyzwyczajenia zagląda

na stronę Katji na Facebooku, aby się dowiedzieć, że go zablokowała, bo nie może wejść na jej profil. Czuje ukłucie, ale z drugiej strony potrafi to docenić. Najgorsze, co mógłby odkryć, to że już się pozbierała po rozstaniu.

Przypomina sobie to zimne spojrzenie, jakim go obrzucała, kiedy – jej zdaniem – powiedział coś głupiego. Czuje ulgę, że już mu to nie grozi. Jednak dzisiaj wieczorem potrzebuje drugiej osoby. Najchętniej Martina, oczywiście.

Czuje się osamotniony, bo jako jedyny – zdaje się – jest przekonany o niewinności swojego szefa.

Tak przypuszcza. Poza tym dowody są słabe. W rodzinie z dzieckiem krew na tylnym siedzeniu samochodu nie należy do rzadkości. Mogła przecież krwawić z nosa kilka dni przed zaginięciem. A pogłoski, że Martin ją bił, mogą być po prostu czczym gadaniem.

Choć jest już po pierwszej w nocy, nie przestaje surfować. W kółko odtwarza urywek z TV4 Play. Mimo że oglądał ten materiał już wiele razy, ciągle się martwi wyglądem Åsy i Martina. Są nie do poznania. Błdzi, zmęczeni, lecz zdecydowani.

Na myśl, że siedzą zamknięci w jakiejś celi, zbiera mu się na płacz.

Chaotycznie buszuje w internecie w poszukiwaniu informacji, jakiegoś tropu, czegokolwiek. Wyszukuje zaginione dzieci – może coś się pojawi.

Szybko dociera do sławnego przypadku z Horndal, gdzie zniknęło dwóch chłopców. Pamięta to z dzieciństwa jak przez mgłę.

Wydarzyło się to zaraz po morderstwie Helén w 1989 roku, więc wielu obawiało się, że i im przytrafiło się coś podobnego. Spora grupa policyjna w asyście wojska i wolontariuszy przeprowadziła szeroko zakrojone poszukiwania. Po tygodniu zwłoki obu chłopców odnaleziono w tunelu wentylacyjnym w piwnicy domu mieszkalnego. Dzieci weszły do niego, ale nie potrafiły się z niego wydostać. Mieścił się w nieużywanej części suterenu, dlatego krzyków nikt nie usłyszał.

Toma przeszywa dreszcz.

Szuka dalej i dokopuje się do podobnej historii, która wydarzyła się w Norbergu w 1997 roku – tam również zgłoszono zaginięcie dwóch chłopców. Bawili się w kontenerze na papier i nikt ich nie zauważył, kiedy go opróżniano. Zginęli na miejscu.

Tomowi robi się trochę niedobrze, kiedy to czyta, ale trudno mu sobie wyobrazić, aby coś podobnego przytrafiło się Magdzie. Oczywiście mogła wyjść z domu w poszukiwaniu rodziców, ale żeby wślizgnęła się do tunelu czy kontenera, to raczej mało prawdopodobne.

Przegląda notatki.

Martin i Magda pojechali po obiedzie odwiedzić jego ojca w biurze wydawnictwa na Riddarholmen. Zdaniem świadków mieli opuścić to miejsce o piętnastej piętnaście. Około siedemnastej piętnaście, dopiero dwie godziny później, jak potwierdzają sąsiedzi, Martin wjechał do garażu, choć trasa z Riddarholmen do Brommy zajmuje tylko dwadzieścia minut. Jak donoszą popołudniówki, Horn nie zdołał wyczerpująco wyjaśnić, dlaczego ten przejazd zajął mu dwie godziny. Źródła policyjne podobno potwierdzają, że służby przyjęły roboczą teorię, jakoby dziewczynka zginęła w samochodzie, a Martin ukrył jej ciało gdzieś w drodze do domu. Według tych samych dzienników policja przypuszcza, że później zaaranżował wyjście do restauracji, aby nic się nie wydało.

Tomowi nie mieści się to w głowie. Horn jest zbyt wrażliwy, aby bezpośrednio po zamordowaniu dziecka wysiedzieć spokojnie na długiej kolacji.

Czyli najprawdopodobniej Magda obudziła się i przestraszona zaczęła wołać rodziców, a kiedy się zorientowała, że ich nie ma, wyszła z domu ich szukać. Być może Martin nie wspomniał jej, dokąd wychodzą.

Pozostaje pytanie: gdzie się udała?

I kogo spotkała?

Wchodząc ponownie na stronę [www.aftonbladet.se](http://www.aftonbladet.se), aby sprawdzić, czy nie pojawiły się nowe informacje, odkrywa mapkę okolicy wokół domu Hornów: restaurację obrysowano kółkiem i zaznaczono drogę, którą przeszli rodzice, żeby zajrzeć do córki.

Pod wpływem szkicu Tom nabiera ochoty, aby zobaczyć to miejsce na własne oczy, więc postanawia pojechać do Brommy następnego dnia rano. Odkłada laptopa na bok i próbuje zasnąć, ale bezskutecznie. Jest zbyt zaabsorbowany sprawą, za bardzo martwi się o Martina i za mocno ekscytuje własną rolą w tym dramacie. Komputer leży na podłodze, a on wpatruje się w kanały RSS ustawione na wyszukiwanie wpisów o Magdzie Horn.

Być może gdzieś w sieci jest odpowiedź. We flashbackach, pośród komentarzy na blogach, w jakimś wątku na Twitterze... Może gdzieś sprawca zapomniał się zabezpieczyć. Zostawił cyfrowy odcisk, który Tom postara się odnaleźć.

W sieci jest wszystko, trzeba tylko wiedzieć, jak szukać.

Wiele czasu spędził na wyszukiwaniu postów o zaginięciu dziewczynki i teraz, kiedy spaceruje po osiedlu, o którym się tyle naczytał, wszystko staje się realne. To się wydarzyło. Magda została porwana.

Willa wygląda jak wszystkie inne na tej ulicy. Drewniany budynek w szwedzkim stylu, zadbane, pastelowe. Nic na zewnątrz nie zdradza, że w środku doszło do tragedii. Na trawniku nadal stoi rower Magdy.

Restauracja wygląda dokładnie tak jak na zdjęciach w prasie. Przystając obok, odwrócony plecami, Tom odnotowuje, że widać stamtąd dom Martina i Åsy.

Powątpiewa w teorię, że sprawca wszedł do domu i zabrał Magdę. Co prawda, żywopłot wokół willi zasłania wejście, ale i tak wiązałoby się to z ogromnym ryzykiem.

Rozgląda się i odkrywa mały plac zabaw z dwiema dziewczynkami na huśtawce. Kiedy podchodzi bliżej, zdaje sobie sprawę, że są mniej więcej w wieku córki Hornów.

– Znacie Magdę? – pyta.

Ciemnowłosa odwraca się do blondynki, jakby prosząc o pozwolenie na odpowiedź, po czym spogląda na Toma.

– Jesteś z gazety?

– Nie. Jestem znajomym jej ojca.

– Mama powiedziała, że nie wolno nam rozmawiać z ludźmi z gazety.

– Ja nie jestem dziennikarzem.

Małe wyglądają na spłoszone, więc Tom próbuje inaczej.

– Jak myślicie, gdzie ona jest?

– Chodzę z nią do klasy – odzywa się po raz pierwszy blondynka.

– I jak myślisz, co się z nią stało?

– Nie wiem – odpowiada, spuszczać wzrok.

Tom zbiera się do odejścia, gdyż czuje, że balansuje na granicy, zmuszając małe do rozmowy na ten temat, ale wtedy szatynka z chichotem wyjawia:

– Magda najczęściej bawi się sama.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– A dokąd wtedy chodzi?

– Do labiryntu.

Obie wskazują na osiedle willowe po lewej stronie.

Tom coś sobie przypomina. Być może to przypadkowa zbieżność, ale Magda lubiła

rysować labirynty.

- A gdzie dokładnie jest ten labirynt?
- Pobawimy się w detektywów? – proponuje ciemnowłosa.
- Dobrze, pobawmy się w śledztwo.

Dziewczynki wskakują na rowerki i ruszają przodem. Tom musi biec, aby za nimi nadążyć.

Prowadzą go na osiedle, gdzie uderza go idylliczność wszystkiego wokół: wychuchane ogródki, piękne drewniane domy. Wydaje się nieprawdopodobne, aby Magdę porwał ktoś z sąsiedztwa. Sprawca musiał przyjść z zewnątrz. Ktoś, kto przypadkowo wpadł z wizytą albo tędy przejeżdżał. O ile nie przyjechał tu już z zamiarem porwania Magdy, mając najprawdopodobniej na celu skrzywdzenie Martina i Åsy.

Blondynka zatrzymuje się i spogląda na koleżankę.

- Nie wolno mi wyjeżdżać tak daleko...
- Ale przecież bawimy się w śledztwo – przekonuje ją szatynka.
- Tak! – mówi Tom. – Jesteśmy detektywami!

Jasnowłosa po chwili zastanowienia odwraca się do niego.

– Nie wolno nam rozmawiać z obcymi. To niebezpieczne. Przecież ktoś porwał naszą koleżankę.

- Nie musicie ze mną rozmawiać. Pokażcie mi tylko ten labirynt.
- No dobra – zgadza się niechętnie.

Znów zaczynają pedałowac.

- No chodź! – pospieszają go.

Tom biegnie za nimi. Dostaje zadyszki.

Jadą kilka czy kilkanaście minut, mijając jedną willę po drugiej, przecinają szosę.

W końcu docierają do zalesionego pagórka, gdzie zsiadają z rowerów.

– To tutaj – mówią, po czym zaczynają się wdrapywać po stromej górcie. Prą przez gęstwinę, z wprawą lawirując pomiędzy pniakami, szybko omijając krzaczaste zarośla i ostre gałęzie. Tom zasłania twarz ramieniem i podąża za nimi tak szybko, jak tylko może. Kiedy docierają na szczyt, otwiera się przed nimi okrągła polana o średnicy mniej więcej piętnastu metrów, niczym pokój w samym środku lasu.

Tom rozgląda się wokół, oszołomiony pięknem tego miejsca. Podłoże wysypano żwirem, białym tłuczniem, a na środku tej jasnej przestrzeni majaczy najprawdziwszy labirynt, zbudowany z ciemnych, obłych kamieni. Słońce przebija się przez bujne listowie i rozświetla skały.

- Magda często tu przychodziła? – pyta.

Dziewczynki nie odpowiadają. Szepczą coś do siebie, po czym rzucają się biegiem w stronę, z której przyszli.

- Halo! – woła za nimi, ale nie reagują.

Zapada cisza. Słychać jedynie chrzęst tłuczni pod jego stopami, kiedy powoli wchodzi do labiryntu. Znalezienie właściwej drogi jest trudniejsze, niż mu się wydawało. Próbuje trzy razy, zanim udaje mu się dotrzeć do środka.

Następnie obchodzi to miejsce wokół, lustruje, nie wiedząc, czego konkretnie szuka. Chaotycznie krąży między sosnami w zagajniku okalającym tę skalną instalację.

Kilka metrów w głębi lasu znajduje biały głąz z przykręconą tabliczką: labirynt autorstwa Miry Severin powstał w 1982 roku, a inspiracją był południowoamerykański wzór.

Z braku innych pomysłów wyjmuje komórkę i wyszukuje to nazwisko. W Nacka mieszka ktoś taki, artystka. Wybiera numer, aby zapytać, czy w Brommie nie ma więcej podobnych

labiryntów, jednak łączy się z automatyczną sekretarką.

Nagrywa krótką wiadomość, po czym przysiadła na kamieniu i usiłuje dociec, czy to miejsce może mieć ze zniknięciem Magdy cokolwiek wspólnego.

Jedynym punktem zaczepienia jest to, że przedstawiała labirynty na swoich rysunkach i że najwyraźniej bawiła się w pojedynkę gdzieś w tej okolicy.

Kartkuje notes do strony, na której spisał wydarzenia w chronologicznym porządku. 3 maja: Martin zostawił córkę samą około dwudziestej dwadzieścia. Być może była wściekła lub po prostu znudzona samotnością. Wyszła na dwór, żeby się trochę pobawić, i przypuszczalnie dotarła tutaj. Tyle tylko, że tamtego wieczoru zjawił się tu również ktoś obcy.

A może przyjaźniła się z porywaczem i umówiła z nim na spotkanie? Ma przecież jedenaście lat i z pewnością zaczęła się interesować chłopakami. Ciemnowłosa wspomniała, że chodziła bawić się sama. Może na randki?

Nie ma cienia szans, aby odpowiedzieć na te pytania, i nagle ogarnia go zażenowanie, że przyjechał tu węszyć jak jakiś prywatny detektyw. Jakże ma wnieść cokolwiek do śledztwa, kiedy ani nie może porozmawiać z Martinem, ani nie ma dostępu do policyjnych materiałów?

Nie mogąc się nadziwić własnej naiwności, wraca ścieżką przez las do szosy.

Kiedy dochodzi do stacji przy Brommaplan, dzwoni jego telefon.

Oddzwania projektantka labiryntu, która odsłuchiwała jego wiadomość.

– Telefonował pan do mnie.

– Tak. Zastanawiałem się, czy w Brommie nie ma więcej labiryntów.

– O ile mi wiadomo, to nie.

– A ten, który istnieje, powstał w 1982 roku, prawda?

– Tak. Wtedy wróciłam z Ameryki Południowej, gdzie natknęłam się na ten wzór. To konstrukcja sprzed trzech tysięcy lat, odnaleziona wśród pozostałości po Majach.

– Może wie pani, dlaczego interesują się nią dzieci?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ludzie niezależnie od wieku przywiązują wagę do labiryntów. Zdaje się, że ta forma jest głęboko wpisana w ludzką naturę, ponieważ występuje w skrajnie różnych kulturach. Każda społeczność interpretuje ją odmiennie, ale łączy je jedno: ciążenie do środka, do odpowiedzi.

– Fascynujące – kwituje Tom, próbując stłumić ziewnięcie.

– Czy mogę zapytać, skąd to pytanie?

– Tak... – Zdaje sobie sprawę, że zapomniał wymyślić pretekst, zanim złapał za słuchawkę. – Pracuję nad książką o labiryntach...

– Zabawne.

– Jak to?

– To jest was dwóch.

– Co pani przez to rozumie?

– Jakiś tydzień temu skontaktował się ze mną ktoś, kto również pisze na ten temat.

Wypytywał o podobne rzeczy.

– Pamięta pani jego nazwisko?

– Oczywiście, przecież media się teraz o nim rozpisują... Martin Horn.

## Martin

*grudzień 2009–luty 2010*

Na spotkaniu z autorką Martin usiłuje skupić się na rozmowie, ale obraz Christiny czekającej pod drzewem nie daje mu spokoju.

Poprzedniego wieczoru właśnie wychodził z biura i jak co dzień kierował się do samochodu, kiedy ją zobaczył: stała w strugach deszczu po drugiej stronie Sveavägen, świdrując go wzrokiem.

Od tego momentu czuł się nieswojo.

Po pierwsze wygląda na to, że jest nękany, co przeszkadza mu w pracy. Na przykład teraz: siedzi naprzeciw autorki, która przedstawia mu swój nowy projekt, i ukradkiem zerka za okno, by sprawdzić, czy jej tam nie ma.

W końcu zaciąga zasłony, aby się odciąć.

Początkowo to działa, jednak po chwili ona znów o sobie przypomina. Sposób, w jaki pisarka opowiada o swoim dziele, mimowolnie przywodzi na myśl Christinę. Coś w mimice prozaiczki oraz charakterystyczne akcentowanie pewnych słów sprawiają, że wydaje się Martinowi nieszczerą, zupełnie jak Christina podczas prezentacji s w o j e j książki. Im dłużej rozmawiają, tym bardziej irytuje go przeświadczenie tej kobiety, że można go zwieść.

Nie przywykł do tego. Zasadniczo uwielbia swoich autorów, bez względu na ich ekscentryczność. Już na początku kariery zdecydował, że będzie ich traktować jak osobny gatunek, którego charakter nie podlega ocenie wedle kryteriów stosowanych wobec innych ludzi. Teraz ma ochotę zakończyć spotkanie, ponieważ słyszy w głosie kobiety jakiś fałszywy ton, przez co jej monolog staje się nie do zniesienia. Chce, aby darowała sobie gadkę o matce chorującej na alzheimera i o tym, jakże ją to zainspirowało do napisania o swoim dzieciństwie, ale ona mości się wygodnie w skórzanym fotelu i rozwodzi o tym, jak praca nad ostatnim dziełem pomogła jej rozprawić się z przeszłością.

Po tym posiedzeniu Martin czuje się fizycznie zmęczony i postanawia wyjątkowo skończyć wcześniej.

Jazda do domu przez śniegowe błoto okazuje się męczarnią, bo różne myśli kołaczą mu się w głowie, kiedy znów docierają do niego echa słów Christiny. Dochodzi do wniosku, że najwyraźniej to, co się jej przytrafiło, poważnie zaburzyło jego równowagę, ponieważ nie poznaje siebie samego.

Przez wiele miesięcy udawało mu się utrzymywać ją na dystans, ale odkąd zobaczył, jak śmiertelnie obrażona czeka na niego wieczorem, nie potrafił już myśleć o niczym innym.

Po kolacji samotnie sączy whisky w salonie, podczas gdy Åsa zalega w wannie, a Magda bawi się na zewnątrz. Siedzi na sofie, wpatruje się w śnieg opadający na trawnik przed domem i rozmyśla o Christinie.

Wszelkie próby zbagatelizowania ich relacji, jak widać, się nie powiodły.

Pociąga spory łyk ze szklaneczki, licząc na to, że może alkohol przyniesie ukojenie, i zabiera się do lustracji samego siebie.

Być może to tylko te stare wyrzuty sumienia znowu dają o sobie znać. Chyba wie, jak do nich podejść.

Ostatecznie nie miał innego wyboru, jak się od niej odciąć. Każdy zareagowałby tak samo. Może nie? Do samego końca próbował być dżentelmenem, ale stała się jeszcze bardziej natrętna, przesadnie domagając się uwagi, więc kiedy zobaczył, jak czeka na niego przed



wydawnictwem... tego już było za wiele.

Patrzył na nią w milczeniu, oniemiały z zaskoczenia. W pewnym sensie można zrozumieć, dlaczego tam przyszła – zakazał jej przecież dzwonić na komórkę i do pracy – ale w tamtym momencie sparaliżował go strach. Wyglądała pod tym drzewem upiornie. Wielkie oskarżające oczy. Gdyby choć zawołała, skonfrontowała się z nim, zrobiła cokolwiek. Ale nie. Sterczała tam w milczeniu jak jakiś duch.

Wymierzył w nią palec i pokiwał głową, tak dla ostrzeżenia.

Tego piątkowego wieczoru rodzina jest ważniejsza niż zwykle. Albo chociaż jej wizja. Po wszystkich wątpliwościach minionego tygodnia wspaniale jest się w niej zatracić.

Spodziewają się gości. Martin nie może się doczekać wspólnej pogawędki, napomknień o pracy – o wszystkim innym, co się z nią wiąże, a nie jest uciążliwe – i poczucia normalności.

Kiedy wreszcie po południu wychodzi z biura, czuje się nadzwyczaj swobodnie. Kieruje się do domu handlowego NK na zakupy spożywcze. Ujmuje go prostota tego zadania. Chodzenie od jednego stoiska do drugiego, kupowanie składników, ważenie sztuki mięsa w dłoni, czytanie etykiet. Jazda do domu, wstawienie produktów do lodówki, przygotowanie się do gotowania. Włączenie odpowiedniej muzyki, nucenie do wtóru.

Uwielbia te godziny przed przybyciem gości. Rodzina jest wtedy w komplecie. Ładnie ubrani, ale nie przebrani, tydzień pracy mają za sobą, a w perspektywie weekend. Martin stoi przy kuchence, Magda rysuje na podłodze w salonie, a Åsa w sypialni przymierza sukienki.

Starannie zabiera się do pracy. Rozgrzewa masło, aż się zamieni w bulgoczącą złotobrazową piankę, ostrożnie wkłada kawałki mięsa, przygląda się, jak skwierczą i zaczynają parować. Porządnie sieka cebulę. Traktuje to zadanie serio, nie odpuszczając detali, potem rozgniata czosnek trzonkiem noża i wrzuca na patelnię. Zalewa czerwonym winem, obserwuje, jak ciemny płyn miesza się z pozostałymi składnikami. Przykrywa wszystko. Ma się dusić na wolnym ogniu. Jeszcze mocniej podkręca stereo. Kosztuje. Doprawia lekko przecierem pomidorowym. Uchyła okno, aby wypuścić parę, i kiedy owiewa go zimne powietrze wieczoru, uderza go bogactwo kontrastu: gorącej, zadymionej kuchni i chłodnego powiewu zimy na zewnątrz. Czuje spokój.

W tygodniu jest sam, ale w takich momentach są rodziną.

Kolacja okazuje się sukcesem. Podoba mu się towarzystwo przy stole i niewinne tematy rozmów: dzieci, praca, wakacje. Właśnie tego po całym tygodniu potrzebował.

A potem coś się dzieje. Gdy tylko za biesiadnikami zamykają się drzwi, on i Åsa z powrotem wchodzą w swoje role.

Zaczyna się już podczas porządkowania kuchni, kiedy Martin zwraca uwagę, że Magda nie odezwała się do gości ani słowem, i pyta żonę, czy ją również niepokoi to, że ich córka zrobiła się bardzo cicha.

– Ani trochę – ucina Åsa.

Bezkompromisowość tego oświadczenia działa mu na nerwy. W przeciwieństwie do niej nie zamierza akceptować braku reakcji córki, kiedy się do niej zwraca. Szczerze go martwi jej ogólna apatia. Mała albo przesiaduje przed komputerem, albo biega po dworze. Usiłuje przekonać Åsę, by zastanowiła się nad tym raz jeszcze, ale zaczyna się poddawać.

– Skoro tak cię to dręczy, to z nią o tym pogadaj – proponuje żona, co również go drażni.

Ten jej sposób mówienia: „pogadaj”... Jakby to miało wszystko rozwiązać. Nie cierpi, kiedy mu przypomina, które z nich dwojga jest terapeutą.

W drodze do sypialni rozważa, czy nie zajrzeć do córki i nie zapytać jej, jak się czuje, ale przecież zna odpowiedź: „dobrze”. I koniec.

Wchodząc do sypialni, Åsa zastaje go siedzącego na brzegu łóżka.

– Czyżbyśmy przypominali rodziców bardziej, niż nam się zdaje? – pyta Martin.  
– Nigdy nie sądziłam, że się od nich różnię. Nie to, co ty. Łudziłeś się, że w twoim przypadku będzie inaczej. Musi ci być trudno.  
– Musisz to robić?  
– Co takiego?  
– Wbijać mi szpilę. Zawsze wtedy, kiedy się otwieram.  
– Sam spytałeś.  
– Nigdy nie będę jak ojciec. – Odwraca się i obserwuje żonę, jak się rozbiera. – Uważasz, że jestem do niego podobny?  
– Spędzasz w domu równie mało czasu, a po powrocie z pracy zaszywasz się w gabinecie.  
– Tak samo jak ty – rzuca Martin i natychmiast żałuje tych słów. Zdaje sobie sprawę, jak dzieciennie zabrzmiały.  
– Mnie się przynajmniej nie boi – odparowuje Åsa i odnosi zwycięstwo.  
Martin wstaje z łóżka i zamyka się w łazience na klucz, żeby uciec.  
Mężczyzna w lustrze wygląda bardzo staro.

„A więc to tak się sprawy mają, do tego już doszło” – myśli. W mgnieniu oka rozmowa ze zwykłej wymiany zdań przerodziła się w otwartą wojnę. Czy jej to nie rusza? Przecież to widać, na pewno, takie rzeczy odbijają się na obu stronach. Będąc w związku, człowiek dochodzi do wprawy w odgryzaniu się. A także w prowokowaniu kłótni, aby spuścić z siebie trochę pary. Dlaczego o tym nie rozmawiają?

Chociaż kto wie, czy ona nie ma racji: ta ewolucja Magdy od wesołej i beztrudnej do małowój i nieufnej może być tylko etapem i nie ma powodu do niepokoju. Jeśli to prawda, będzie skakał z radości, ale nie znosi, gdy Åsa daje mu do zrozumienia, że nie ma prawa wypowiadać się o dziecku, bo za dużo pracuje.

Tak było od samego początku. Nieszczęśliwie jego awans zbiegł się z narodzinami córki i wówczas, jak przypuszcza, wykształciły się pewnego rodzaju zwyczaje. Podzielili się obowiązkami. Być może nie jakoś kategorycznie, ale jednak. Takie ciche porozumienie. I stąd jego dług wdzięczności u Åsy i to, że ociąga się z otwartym krytykowaniem jej rodzicielskich wysiłków. Jednak ubolewa nad tym, że Magda wymyka mu się z rąk. Skończy dwanaście, trzynaście, szesnaście lat i wtedy już będzie za późno.

Czy popełnił błąd, tak bardzo oddając się pracy? Nie wydaje mu się, aby to była kwestia wyboru. Zawód wymagał od niego poświęcania wieczorów na czytanie.

A jeednak to go gryzie.

Przypomina sobie, jak kiedyś huknął na Magdę, a ta zasłoniła twarz dłońmi, jakby dla ochrony. Pamięta, jak się wstydziła, kiedy podczas rozmowy ewaluacyjnej zwymyślał dyrektorke jej szkoły.

Przychodzi mu na myśl sporo innych okropieństw, ale nie ma siły ich teraz roztrząsać.

Dla zagłuszenia strachu wychodzi z łazienki do sypialni, kładzie się i gasi światło.

Tam udaje mu się skierować uwagę na coś innego.

Mianowicie widzi w ciemności, jak Åsa pochyla się i zdejmuje rajstopy. Przygląda się jej pięknym kształtom i dochodzi do wniosku, że chyba nie można mieć wszystkiego i że powinien być wdzięczny za to, co jest w porządku. Nadal uważa, że jest atrakcyjna, a to dużo znaczy. I angażuje się w wychowanie Magdy, nawet jeśli on nie zawsze popiera jej metody. Wciąż jest spragniona wiedzy i skora do dyskusji. Bez wątplenia uparta, ale przecież on ma tak samo. Chyba powinien bardziej doceniać jej dobre strony i przestać wymagać od niej doskonałości.

Kiedy żona kładzie się obok niego, głaszcze ją po plecach na znak pokoju. Ona chwyta jego dłoń i zasypiają blisko siebie.

W poniedziałkowy poranek gęsto sypie śnieg. Martin przystaje na chwilę przy Sveavägen, aby przyrzeć się płatkom. Wciąż panuje mrok, ulica jeszcze świeci pustkami. W blasku latarni śnieżynki wyglądają niczym chmary owadów. Analizując wczorajszą kłótnię, stara się być wobec siebie szczerzy. Czyżby przesadził?

Jak pięć tysięcy innych rodzin z dziećmi wybrali się na arenę Globen na przedstawienie o dinozaurach, gdzie wielkie gady przechadzały się po scenie. Zaledwie dziesięć minut od rozpoczęcia Magda zaczęła ziewać. Pozostałe dzieciaki siedziały jak zakłęte, ale najwyraźniej jej to nie interesowało i z obojętną miną zerknęła na zegarek. Wieczorem między nim a Åsą wybuchła awantura. Jego zdaniem niepotrzebnie szeptała Magdzie do ucha, że spod przebrań wystawały stopy.

– To było słabe widowisko – broniła się.  
Jego zdaniem takie szczegóły niekoniecznie wskazuje się dziesięciolatce.  
– Powinna jeszcze trochę побыć dzieckiem.  
– Magdzie się ten show nie podobał, po prostu. Ciekawe, że czujesz się osobiście dotknięty, tylko dlatego, że to ty kupiłeś bilety.  
– Zależy mi tylko na tym, aby rozwijała wyobraźnię.  
– Trzylatek by się zorientował, że to nie były prawdziwe dinozaury. Magda skończyła dziesięć!

Wieczorem kłótnia się zaogniła.

Dyskusja nie dotyczyła już spektaklu – choć to on stanowił zarzewie – lecz pytania, czy ich rolą jest osłaniać córkę przed wszelkimi możliwymi problemami, czy też aktywnie na nie wystawiać. Nie pamięta już, jak zabrnęli w takie rejony, ale wystarczyła chwila, aby poleciały wióry. Åsa krzyknęła, że dzieci należy oswajać z cierpieniem. Odparował jej, żeby przestała traktować małą jak królika doświadczalnego do testowania swoich teorii o psychologii dziecka.

Koniec końców żona zamknęła się w łazience, a on siedział na brzegu łóżka i próbował sobie przypomnieć, dlaczego tak się uniósł.

Potem kuriozalnie poczuł jednocześnie skruczę i satysfakcję, jak często po sprzeczkach z Åsą. Wyrzuty sumienia – bo wiedział, że ona teraz siedzi w wannie i pała do niego nienawiścią. Zadowolenie – bo powiedział, co mu leżało na wątrobie.

Rozpoznawał tę sytuację: po scysji często odtwarzał sam przed sobą argumenty, próbując niejako potwierdzić, że miał rację. Zwykle ponownie się przy tym ekscytował, by ostatecznie poklepać się po ramieniu: „Miałeś słuszość, trochę przeholowałaś, to prawda, ale w słusznym celu”. Gdzieś wewnątrz drzemała niepewność, dlatego potrzebował dodatkowego utwierdzenia się w przekonaniu.

Jednak następnego dnia rano pozostał już tylko strach.

Mijając latarnię za latarnią, żałuje, że podczas tego weekendu nie okazał większej uległości, co ograniczyłoby pyskówki. Miał przecież przedyskutować z Åsą rozterki dotyczące pracy.

Od niespodziewanego pojawienia się Christiny upłynął już prawie tydzień, a jego wątpliwości nie zniknęły, wręcz przeciwnie. Nie może już dłużej uciekać. Od paru dni niechętnie przyznaje przed sobą, że problem jest poważniejszy, niż na początku sądził.

Fragmenty wspomnień, poczucie winy, żal. Leży nagi w łóżku obok Christiny, tak blisko domu jego i Åsy.

– Jesteś ucieczką od codzienności, która stała się zbyt przewidywalna – wyznaje.

Drepcze w śniegu ze wzrokiem wbitym w chodnik.

Właściwie nie była wcale taka wyjątkowa. Po prostu pojawiła się w chwili jego obniżonej odporności. Kłębek nerwów, ale to go nie odstraszało – przynajmniej do pewnego momentu –

ponieważ był ekspertem w tej materii od dziecka.

Od pierwszego spotkania czuł się dobrze w jej towarzystwie dzięki jasnemu podziałowi ról. Potrzebowała go, a on lubił być potrzebny.

Kilka tygodni po przeczytaniu jej książki umówił się z nią w japońskiej restauracji Sakura, aby przekazać swoje uwagi. Zaimponowała mu wtedy szczerością. To, co ujęło go w tekście, urzekło go także w niej samej: czarny humor, pesymistyczne poglądy na większość tematów, z rodzicielstwem włącznie.

Opowiedziała mu o swoich doświadczeniach jako matki, co sprawiło, że poczuł się najlepszym ojcem na świecie. Biorąc pod uwagę, jak potraktowała swojego pasierba, nawet on nie mógł się z nią równać. Jej historia miejscami – podobnie jak w powieści – balansowała na granicy ohydly, ale otwartość Christiny nie pozostawiała Martinowi wyboru, musiał okazać jej szacunek.

Do tego dochodził jej nietuzinkowy wygląd. Choć nie należała do klasycznych piękności, jej twarz nie przestawała go fascynować. Było w niej coś z albinosa – jasne brwi i blade usta – co okrywało ją aurą tajemnicy.

Wchodząc do wydawnictwa, rozważa, czy mimo wszystko nie odezwać się do Christiny, ale nie umie się zdecydować. Podczas ich ostatniej rozmowy bardzo się zdenerwowała. Krzyczała, oskarżyła go o chłód. Nie chce znowu się na to narażać.

W pokojach jeszcze nikogo nie ma z wyjątkiem jednego czy drugiego pracusia. Aromat kawy na korytarzu przywołuje wspomnienia pierwszych spędzonych tutaj lat – dość radosnych – co rozwiewa wątpliwości.

Chyba jest po prostu przepracowany.

Zawsze się cieszy, kiedy pojawia się w biurze przed wszystkimi. Podchodzi do ekspresu, lustruje pustą biurkę za ścianą ze szkła. Czuje się wówczas silny, ma jasną wizję zadań na cały dzień. Nawet wydruki, które czyta, wydają się lepsze, kiedy jest w budynku sam. Przynajmniej czasami.

Uwielbia, kiedy mu się to przytrafia. Wie od razu. Najczęściej już po kilku stronach. Dobry tekst emanuje pewnością siebie, jeśli można tak powiedzieć, która daje czytelnikowi poczucie bezpieczeństwa.

Nalewa sobie kawy i zabiera się do lektury.

Jednak tego ranka olśnienie nie przychodzi i trudno mu się skoncentrować.

Pytania powracają.

Co miałby robić, jeśli kiedyś odejdzie z pracy?

Wychował się w rodzinie wydawcy, innego świata nie zna. Przez całe dzieciństwo towarzyszył ojcu w biurze: biegał z Erykiem po korytarzach, jako nastolatek zatrudnił się w recepcji na wakacje, przez pięć lat pracował u konkurencji jako redaktor, a w sumie stuknęło mu w wydawnictwie piętnaście lat. Niczego innego nie zna i nie ma odwagi rzucać się w nieznane.

Ogarnia go niewysłowiona tęsknota za Erykiem. Czuje zbliżający się atak paniki. Wstaje i włącza radio, aby się otrząsnąć ze wspomnień.

Ma wprawę w odpędzaniu Eryka, ale tym razem mu się nie udaje.

„I wracamy do Christiny” – myśli. Ona gdzieś go przekłuła, osłabiła, czego nie może ścierpieć. Rozpaczanie nad Erykiem jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuje.

Pierwszy dzień nauki Eryka. Przywitano ich śmiechem, kiedy maszerowali przez szkolne podwórko, trzymając się za ręce. Dzieci czarownicy.

Martin dawał mu poczucie bezpieczeństwa, którego w domu brakowało, Eryk natomiast stanowił dla niego źródło afirmacji, jakiej ten łaknął. Z nich dwóch on był tym wrażliwszym,

głośniejszym, bardziej nieprzewidywalnym. Prawdopodobnie też bardziej utalentowanym. Martin natomiast był przedsiębiorczym liderem posuwającym pracę naprzód. Razem byli nie do pokonania, jak mu się wydawało, kiedy każdego popołudnia zasiadali przed maszyną do pisania. Zaczęli już w podstawówce. Wspólnie marzyli o innej drodze życiowej niż ojca, ryzykowniejszej i nieskończenie bardziej obiecującej.

Ojciec wychowywał i utrzymywał ich sam, często więc wracał do domu późno wieczorem, a chłopcy byli zdani na siebie. Nie mieli wielu przyjaciół, ale nie zastanawiali się nad tym, bo kiedy byli razem, nie potrzebowali już nikogo.

Jeśli nie przy maszynie, to czas spędzali na dworze. Stworzyli tam sobie własny świat. Wyobrażenia Eryka nadawała wszystkiemu nowe kształty, wystarczyło, że wskazał palcem na wysuszoną, sztywną trawę za domem, a już stawała się afrykańskim stepem. Bo tak chciał. Kiedy dawał nura do granatowej wody, w której przebłyskiwały ławice rybek, okazywało się, że kąpią się w Nilu. Bo tak powiedział. Był czarodziejem. Dzięki niemu rzeczywistość nabierała barw i kusila przygodą. A kiedy we dwóch siadali do pisania na maszynie taty, znikła samotność i wszystko stawało się możliwe. Nowele, baśnie, wiersze – ojciec powielał i bindował je w pracy, by z dumą prezentować podczas proszonych kolacji.

Stanowili zgrany zespół. Eryk sypał pomysłami, Martin nadawał im styl – często siedział przy maszynie, podczas gdy młodszy brat, chodząc po pokoju, spontanicznie podrzucał koncepty.

Kiedy Eryk miał piętnaście lat, a Martin szesnaście, rozpoczęli swój największy projekt, który miał się okazać ostatnim. Zamierzali napisać powieść i stworzyć postać – kombinację ich obu, ucieleśnienie tego, czym razem byli.

Eryk miał jasną wizję pracy: nie powinni trwonić energii na tworzenie historii, lecz pozwolić tekstowi podążać za pomysłami, jakie się pojawią podczas pisania. Postulował, aby ich życie sterowało powieścią, i ostatecznie udało mu się przekonać brata do tej wizji.

Aby zebrać materiał do książki, musieli przeżyć coś poza Brommą. Latem 1984 roku wybrali się więc na wycieczkę pociągami po Europie.

Plan się sprawdzał, a strony zapełniały się same, bo gnieźdząc się na najwyższej pryczy w kuszecie, z ostrymi szczytami Alp za oknem, albo leżąc na brzuchu na rozgrzanych schodach w Rzymie i opisując doświadczenia minionego dnia, odnosili wrażenie, że stwarzają własne życie. W tekście pozwalali sobie przekręcać i zmieniać wydarzenia, by nagle nabierały dużo bardziej symbolicznej wymowy niż w rzeczywistości. To było coś magicznego, inspiracja oddziaływała zwrotnie: o ile powieść odzwierciedlała ich przygody, o tyle perypetie wpływały na przebieg wypadków w rzeczywistości. Gdy wieczorami wychodzili na ulice po intensywnej sesji poobiedniego pisania, czuli się jakby byli w fabule, równie nieskrępowani i nieustraszeni jak ich alter ego, wiedzieli bowiem, że wszelkie interesujące wydarzenia posłużą za kanwę świetnej sceny. Eryk wyraził to najlepiej pewnego wieczoru w Paryżu, gdy z wąsem piwnej piany stwierdził, że jego zdaniem stworzona przez nich postać wysłała ich na tajną misję.

Dwa lata później Martin powtórzył tę wyprawę. Wrócił do odwiedzanych wspólnie miejsc, aby przenieść się w przeszłość, uśmierzyć ból, jednak na próżno. Sierocy pobyt w paryskim hoteliku, w którym razem mieszkali, okazał się dołujący, podobnie jak samotne skoki do wody z klifów Marsylii. Doszło wręcz do tego, że im bliżej był miejsc, w których przed dwoma laty wspólnie przebywali, w tym gorszy wpadał nastrój. Nigdy nie czuł się bardziej wyłączony z życia niż tamtego lata i nigdy też tęsknota za bratem nie dokuczała mu tak mocno. Europa, która podczas pierwszej wyprawy kipiała życiem i możliwościami, samotnemu podróżnikowi wydawała się po prostu opustoszała i nieprzystępna. Zdarzały się noce, kiedy podawał w wątpliwość wszystkie wspomnienia pierwszej podróży: być może ich ukochany kontynent istniał wyłącznie w jego i Eryka wspólnych przeżyciach, a niekoniecznie

w rzeczywistości? Przechadzając się w pojedynkę po wyludnionej i dusznej Florencji, wymarłymi podczas upału uliczkami i obok cuchnących śmieci, odnosił wrażenie, jakby znalazł się za kulisami w teatrze, gdy już opadła kurtyna i ucichły brawa.

Nadszedł sierpień, kiedy z wojaży wrócili do Szwecji. Trwało lato, a im, jak się okazało, przybyła nowa sąsiadka. Sabina była śmiała, towarzyska i codziennie wpadała zapytać Martina, czy nie ma ochoty popływać. Eryk zachęcał ich do tego, sam pragnąc tylko w spokoju pisać, więc po paru tygodniach została pierwszą dziewczyną starszego z chłopców.

Początkowo niepokoił się, jak Eryk przyjmie jego częstą nieobecność, ale nic nie wskazywało na to, że się tym zmartwił. Być może od zawsze liczył się z tym, że on, jako starszy, prędzej czy później go opuści.

Poza tym młody stale przejmował się takim czy innym fragmentem powieści, którego nie udało mu się skończyć, i drżał ze strachu na myśl, jak słabo radzi sobie w szkole. Martin zarzucił wspólne pisanie i cały wolny czas spędzał u Sabiny, dlatego też w ciągu ostatniego roku rzadko przebywał z Erykiem. Kiedy się spotykali, oczywiście niepokoił się samopoczuciem młodszego brata, jego wielką przemianą, ale już na progu domu swojej dziewczyny, witającej go uśmiechem, zaczynał myśleć o czymś innym.

Po zakończeniu szkoły w czerwcu 1985 roku Eryk oświadczył, że wiosną kontynuował pracę nad ich powieścią, i wręczył bratu maszynopis. Czytając ten tekst, Martin zrozumiał, że Eryk stracił równowagę.

Akcja rozgrywała się teraz wyłącznie w myślach głównego bohatera. Niekończące się monologi wewnętrzne, kartka za kartką, w których rozważał bezsensowność wszystkich rzeczy i spraw. Tekst był niewątpliwie świetnie napisany, Martinowi imponowała też liczba stron, lecz zniknął motyw przewodni, brakowało kierunku.

Wieczorem parę dni później młodszy brat zadzwonił do drzwi Sabiny, prosząc Martina o rozmowę w cztery oczy. Był przemoczony do suchej nitki i siny z zimna, jakby godzinami włożył się w deszczu sam jak palec.

Gdy tylko wyszli na ulicę, Eryk natychmiast zaczął mówić, jednym ciągiem i bezładnie, nie można było mu przerwać. Zastanawiał się nad ich dzieciństwem i nad tym, jak go ukształtowało.

– A dlaczego to takie ważne? – zapytał Martin.

Sam przecież wielokrotnie konfrontował się z ojcem i nie miał już złudzeń. Staruszek był, jaki był, i niewiele można było na to poradzić.

– Bo chcę zrozumieć, jak sprawy łączą się ze sobą – odparł Eryk. – Staram się, ale nie potrafię tego pojąć. I nie chodzi tylko o dzieciństwo, ale o w s z y s t k o. Próbuję wyjaśnić, ale słowa nie wystarczają.

Problem w tym – jak tłumaczył – że wszystkie odpowiedzi, które sformułował, rodzą tylko kolejne pytania, a kiedy prosi o radę kogoś z otoczenia, zawsze odpowiadają mu wyłącznie frazesami. Wydawało mu się, że gdy tylko otworzy usta, to kłamie („jak wszyscy”), o pisaniu nie wspominając.

Powiedział wtedy, że język jest labiryntem. Że im więcej pisze, tym głębiej w niego wchodzi.

Później Martin miał przeklinać się za to, że nie dostrzegł powagi sytuacji i nie zaczął bić na alarm. Być może jego pasywność miała coś wspólnego z chorobą ich matki – pewnie nie miał siły się z tym zmierzyć.

Tak więc kiedy on przesiadywał u Sabiny, brzdąkając na gitarze i obściskując się z nią na piankowym materacu, czas Eryka się kończył.

Martin zamierza przeznaczyć przerwę bożonarodzeniową na obmyślenie planu ucieczki,

ale nic z tego. Przez cały ten czas towarzyszy mu nieustające przekonanie, że coś zawsze staje mu na drodze do przełomu, i to kiedy jest już blisko celu. Gdy słowa zaczynają się krystalizować, Magda w wannie domaga się ręcznika, do pokoju wchodzi Åsa z wyrzutami, że nie wysłał kartki do tego czy tamtego, albo jakiś pisarz dzwoni z prośbą o radę. I tak przerwa świąteczna dobiega końca.

Liczy, że po urlopie sprawa rozwiąże się sama.

Ale zaczyna się od tego, że prowadząc Magdę do szkoły, spotyka Christinę.

Wiedział, że prędzej czy później do tego dojdzie, mieszkają przecież po sąsiedzku. Mimo to jej widok jest jak zimny prysznic. Fakt, że fizycznie bardzo się zmieniła, nie zmniejsza wyrzutów sumienia: schudła jeszcze bardziej i wynędzniała.

Jej pasierb taszczy sanki, więc idą powoli. Martin ma czas na to, by sto razy zmienić zdanie: przywitać się, pogadać lub po prostu ją minąć. Ostatecznie, kiedy są już blisko siebie, Magda podejmuje decyzję za niego.

Niespodziewanie szarpie go mocno w prawo, byle z dala od Christiny i chłopaka. Odwraca się do córki i widzi, że jest przerażona. Martin sporo już wie o tym Johanie, czy jak też on ma na imię. Dziewczynka słusznie się go boi.

Później odczuwa niesmak, ale i zadowolenie, że zobaczył Christinę. Wlepiała w niego to samo oskarżycielskie spojrzenie co przy Sveavägen. Jest wdzięczny za przypomnienie mu o mrokach, które się w niej kryją. Spotkaniem pojedynczym raczej nic by nie wskórał.

Żegna się z małą przy furtce i niepewnym krokiem wraca do samochodu.

Jest piątek, pierwszy tydzień pracy dobiega końca. Za oknem panuje ciemność.

Martin siedzi w gabinecie, przyglądając się stosom maszynopisów przykrywającym biurko. Jest dla niego jasne, że przerwa mu nie pomogła. Jak przed świętami cierpi na brak inspiracji i nadmiar wątpliwości.

Podczas wielu rozmów z pisarzami przyłapał się na zadawaniu sobie pytania: „Co oni właściwie chcą powiedzieć?”. Åsa rzuciła kiedyś skądinąd mądre spostrzeżenie: „Opowiadać znaczy skrywać tajemnicę”.

Podoba mu się. Zaczyna w to wierzyć. Teraz widzi to dużo wyraźniej: jest coś podejrzanego w spędzaniu życia na wymyślaniu historii, co rusz to nowych. Chyba przyzna Åsie rację: te osoby prawdopodobnie coś w sobie noszą – jakiś smutek, jakąś traumę – od czego uciekają w opowiadanie.

Zdaje sobie sprawę, że sam pewnie też tak ma.

Spogląda na zegarek. Jest piąta. Pora wracać do domu, ale nie może się zmusić, żeby wstać z fotela.

Na zewnątrz lekko prószy śnieg.

Słyszając wzmożony ruch na korytarzu, zamyka drzwi i postanawia popracować jeszcze kilka godzin.

Åsa powtarza, jakie to ważne dla Magdy, aby widywali się również w ciągu tygodnia, ale jego zdaniem to wcale nie jest takie pewne. Po lekcjach i świetlicy dziewczynka jest zwykle zmęczona i albo siedzi przed komputerem, albo na dworze. Tych parę godzin, które zostają, upływa głównie na jedzeniu i zapakowaniu jej do łóżka. Rutyna. Trudno nawiązać z nią kontakt. Czasami wręcz myśli, że gdyby częściej był w domu, mała odsunęłaby się od niego jeszcze bardziej, z powodu kłótni, do których często dochodzi przy kolacji. Lepiej, aby przebywali ze sobą w weekendy, kiedy można pojechać na wycieczkę i spędzać czas jak należy.

Tyle tylko, że praca do późna zawsze kończy się tak samo, także dzisiaj. Pierwszy telefon odbiera o ósmej. Czyta w ciszy i spokoju, umoszczony w miękkim skórzanym fotelu, kiedy napada go jej przenikliwy głos. W tle słychać, jak Magda odszczekuje się Åsie.

Działa to na niego jak płachta na byka. Żona mniej lub bardziej wprost dała mu kiedyś do zrozumienia, iż to na niej spoczywa główna odpowiedzialność za wychowywanie córki, i nigdy tak naprawdę nie pozwoliła mu się w ten proces włączyć. Mimo to, gdy tylko mała wpadnie w złość, łapie za słuchawkę i wzywa go do domu. Dlatego Martin kłamie, że ma późne spotkanie z autorem.

– A z którym?

– Daj spokój – ucina i się rozłącza.

Wychodzi z pokoju, aby dolać sobie kawy, i wraca do lektury. Od czasu do czasu praca odzyskuje trochę z dawnego blasku. Wczesne poranki albo późne wieczory nadal stanowią najlepszą porę do czytania. Wpada wówczas na pomysły, które żadną miarą nie przychodzą mu do głowy w ciągu dnia. Lepiej przyjmuje tekst. Panuje wówczas taki spokój... Zapach detergentu używanego przez sprzątaczkę, odległy szum samochodów za oknem, wiązka światła przy fotelu w rogu gabinetu. Cisza. Przypomina mu się uczucie, jakie towarzyszyło mu na początku.

O dwudziestej drugiej ponownie dzwoni telefon. Jak w zegarku.

– Ach, to już ta godzina?! Jadę!

I wraca do domu na rutynowe przesłuchanie.

Åsa dopytuje się, jak mu minął dzień.

Wyszła książka pisarza, która zyskała negatywne recenzje.

– Musi ci być przykro – podsumowuje, wchodząc pod prysznic.

Martin nie odpowiada.

Zatopiony w myślach siedzi na spuszczonej klapie toalety, a ona się kąpie.

W końcu Åsa wychodzi z kabiny i podnosi ręcznik leżący na podłodze. Jej pupa odbijająca się w lustrze budzi znajome pożądanie. Kiedy pochyla się, aby wytrzeć włosy, on przygląda się miejscu między pośladkami. Zdaje sobie sprawę, że z biegiem lat stała się dla niego jeszcze atrakcyjniejsza. Może działało to w ten sposób, że im mniej ją szanował jako przyjaciółkę, tym bardziej go rozpalala.

Kiedy krótko potem, świeżo wykąpana, wślizguje się do łóżka, wystarcza mu ciepło bijące od niej pod kołdrą, aby się znowu podniecić. Przysuwa się do niej. Jej szparka przywiera do niego, krągły, miękki pośladek wtapia się w jego podbrzusze. Leżą złączeni. Na zewnątrz deszcz stuka w dachówki.

Åsa oddycha głęboko, a Martin znów nie może zasnąć, próbując dociec, co się z nim dzieje. Pierwszy raz dochodzi do wniosku, że żona mogła mieć rację, gdy mówiła, że śmierć Eryka odcisnęła się na nim głębszym piętnem, niż można by się spodziewać.

Przez te wszystkie lata wielokrotnie powtarzała, że kiedyś go to dopadnie. Tej nocy długo leży w łóżku, rozważając, czy to się właśnie stało. Gapi się w sufit, śledzi szlaczki rzucane przez światła przejeżdżających samochodów, muskające delikatnie rodzinne fotografie na ścianach.

Pewnego skwarne go dnia do Sabiny zadzwonił ojciec i kazał mu wracać do domu.

Nie miał ochoty. Akurat oglądali koncerty *Live Aid* i zgodnie doszli do wniosku, że pierwszy raz w życiu biorą udział w historycznym wydarzeniu. Było to dla nich nowością. W okresie dorastania nasłuchali się głędzenia rodziców o wspaniałości lat sześćdziesiątych i żalowali, że nie urodzili się w równie dramatycznych czasach. Kiedy więc po raz pierwszy poczuli, jak na ich oczach dzieje się historia, nie mogli oderwać wzroku.

Tato jednak nalegał: ma wracać do domu. Natychmiast. Coś się stało.

Od razu się zorientował, że to coś poważnego, bo staruszek czekał na niego w przedpokoju. Nigdy wcześniej tego nie robił.

– Eryk nie żyje. Utonął. Wyszedł wczoraj i wpadł do wody przy skałkach na Fredhäll. Jakiś przechodzień wyprowadzający psa znalazł w sitowiu ciało...



To wydarzyło się tak szybko. Jakby gilotyna opadła. W okamgnieniu życie stało się inne. Zaobserwował to już tego samego wieczoru. Telewizja nadal transmitowała *Live Aid*, ale teraz to już był zupełnie inny koncert. Dwadzieścia pięć lat później na dźwięk *We are the world* nadal robi mu się słabo.

Następne tygodnie spowiła mgła. Ojciec do niczego się nie nadawał. Martin chciał go wypytać, co tam właściwie zaszło, ale nie otrzymał odpowiedzi. Mimo że jako oficjalny powód śmierci podano przypadkowe utonięcie, chciał drażnić temat. Przecież, czysto teoretycznie, mogło to być również samobójstwo. Ta niepewność napawała go lękiem. Istniały trzy możliwości: samobójstwo, wypadek albo morderstwo. To ostatnie można było raczej wykluczyć, ponieważ nie znaleziono śladów przemocy.

Martin na początku zachowywał się jak opętany. Odwiedził miejsce na Fredhäll, gdzie znaleziono Eryka. Rozmawiał z ludźmi, którzy tamtego dnia byli w pobliżu, a w nocy, zamiast spać, wszystko analizował.

Jesienią rozstali się z Sabiną. Zaskorupił się w żalu, a ona nie była gotowa wejść w rolę terapeutki i wyciągać go z kryzysu. Tak więc został sam na sam ze swoimi refleksjami i teoriami. Nie przyjmował do wiadomości, że nie ustalono przebiegu wydarzeń. Ojciec błagał go: „Zostaw to za sobą”, ale on odmawiał. Nocami słyszał czasem szloch staruszka. A jednak, choć musiał stawiać sobie te same pytania co on, nie podejmowali tematu.

Byli we czworo. Potem we trzech. Teraz we dwóch. Okazało się to nie do zniesienia. Zbyt trudne. Wyłączył się.

Ich ostatnia kłótnia wybuchła zaraz po tym, jak Martin postanowił złożyć wniosek o przeszukanie domu przez policję, a ojciec odmówił podpisania formularza.

– Dlaczego nie możesz tego zostawić w spokoju?

– Sam też nie potrafisz! Słyszałem, jak płaczesz!

Ojciec zamyka się w pokoju, trzaskając drzwiami.

Następnego dnia rano Martin opuścił dom i przeprowadził się do kolegi. Później przez kilka miesięcy podróżował samotnie po Europie. Na koszt ojca, który płacił z poczucia winy.

Po powrocie do Sztokholmu podejmował się prac dorywczych. Próbował pisać, ale jakoś mu nie szło. Zajął się fotografowaniem, ale z marnym skutkiem. Aspiracje artystyczne wydawały się naiwne. Wszelkie marzenia umierały w zarodku: zdjęcia (co było do sfotografowania, już sfotografowano), dzieła sztuki (co było do namalowania, już namalowano), literatura (co było do napisania, już napisano).

Bez Eryka Martin istniał tylko w połowie.

W tamtym okresie zupełnie zarzucił czytanie powieści, ponieważ po tym, co przeszedł, wszystkie zdawały mu się zmyślane. Do najgorszych należały fabuły, w których bohaterowie doświadczali żaloby, bo teraz potrafił ich przejrzeć na wylot: znał to uczucie i wiedział, że nie da się go przelać na papier.

Zniechęcony do beletrystyki uznał zawód ojca za absurdalny: podjudzanie pisarzy do przedstawiania smutku. Nie pojmował, jak ojciec z własnej woli mógł uczestniczyć w takim przekręcie, i spotykał się z nim coraz rzadziej. Nie cierpiał jego zrządzenia, aby poszukał sobie jakiejś pracy.

W końcu się poddał. Kiedy w 1992 roku skończył dwadzieścia pięć lat i poczuł się za stary na życie bankruta, przyjął propozycję staruszka – zajął się redakcją książki, którą wydawnictwo ojca planowało opublikować.

*Koniec niepewności* forsował tezę, że nauki przyrodnicze w zasadzie odkryły już wszystko. Zrobił furorę, skutkiem czego Martin rychło otrzymał ofertę pracy u konkurencji przy Sveavägen i ją przyjął.

W wieku dwudziestu sześciu lat ostatecznie porzucił więc próby zerwania z rodzinnym przekleństwem i został redaktorem. Wybierając rywala, chciał się zdystansować od ojca, ale rewolta niezbyt mu się powiodła, ponieważ sam wybór profesji automatycznie stawiał go w cieniu rodzica.

Zresztą jego bunt wcale nie rozzłościł ojca. Raczej ucieszył.

Kiedy w Boże Narodzenie wznosił toast za jego nową posadę, Martin wyczytał z jego twarzy, że jest naprawdę szczęśliwy – ze względu na siebie, ma się rozumieć. Ład został przywrócony. Syn marnotrawny powrócił. Gdyby to od niego zależało, Martin pracowałby oczywiście w jego wydawnictwie, ale i tak było nieźle. Chłopak wszedł do branży. Zapewne też mniemał, iż prędzej czy później syn nabierze rozumu i wróci na łono rodziny.

Martinowi jednak było przy Sveavägen całkiem dobrze. Szybko zrozumiał, czego od niego oczekują. W dzieciństwie obserwował ojca przy pracy, stąd wiedział o tym zawodzie całkiem sporo. Poza tym udowodnił, że ma do tego smykałkę.

Wiele lat później, wspominając połowę lat dziewięćdziesiątych, ma przed sobą dwa obrazy: pierwszy to radosne spacerunki rankiem do biura, świeże powietrze, rosnąca pewność siebie. Drugi to uśmiechnięta twarz Åsy, kiedy wracał po pracy do domu.

Istnieli oni dwoje i reszta świata. Leżąc wieczorami w łóżku, opowiadali sobie szeptem o żalonych przełożonych i marzeniach o awansie. Åsa długo frustrowała się swoją sytuacją zawodową, ponieważ uważała, że jej kwalifikacje wykraczają poza etat szkolnej psycholożki, ale z czasem znalazła posadę w Szpitalu Świętego Jerzego.

Miała się zajmować członkami rodziny chorych, potrzebujących pomocy w przepracowaniu straty, jednak wzięła pod opiekę również pacjentów doświadczających traumy i psychozy – i szybko zaczęła zarabiać dużo lepiej niż Martin.

Okazało się to tylko chwilowe, bo i on dostał dużą podwyżkę.

Pracował w firmie już kilka lat, gdy wydawca Bengt zapukał do jego drzwi. Powiedział, że zgłosił się do nich znany aktor z zamiarem wydania książki, w której przyzna się do alkoholizmu, i zlecił Martinowi dopilnowanie, by tamten na pewno napisał tekst.

Ten obowiązek początkowo wydawał się przyjemny, gdy w mieszkaniu gwiazdy przy Grevegatan młody redaktor przysłuchiwał się anegdotom o branży filmowej lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kiedy jednak się zorientował, że facet nie skrobął właściwie ani słowa, wpadł w popłoch i skończyło się na tym, że sam spisał niemal całą książkę podyktowaną przez aktora.

Åsa skarżyła się na jego późne powroty do domu, lecz szybko wpadł na pewien trik: ze strategicznego punktu widzenia opłacało mu się przyjeżdżać wcześniej, jeść kolację i markować obecność, aby wrócić do pracy, kiedy ona się położy. W ciąży i tak zasypiała o dziewiątej.

*Monolog o butelce* zdobył uznanie zarówno krytyków, jak i czytelników, a po ogłoszeniu nominacji do Augustpriset coś się wydarzyło: jakiś miesiąc później Bengt poprowadził Martina przez korytarz – skrzypiała podłoga, ściany zdobiły okładki pierwszych wydań Ivara Lo-Johanssona oraz Augusta Strindberga – i zatrzymał się przed jednymi drzwiami.

– Oto twój nowy gabinet – oznajmił.

– Czy to nie pokój Eskila?

– Teraz należy do ciebie.

Martin opadł na sofę pod ścianą. Nie zdobył się na zajęcie dawnego fotela kolegi.

– Posiedź tu sobie i oswój się z tym miejscem – skwitował Bengt, wręczając mu kartkę. – Masz tu coś do poczytania.

Kiedy za wydawcą zamknęły się drzwi, Martin spojrział na pismo. Była to robocza wersja wewnętrznego okólnika, w którym oznajmiano, iż Bengt przyjmuje stanowisko szefa działu

literackiego, w związku z czym nie zdoła wykonywać swoich obecnych obowiązków. Dlatego też zostają powołani dwaj nowi wydawcy. Jednym z nich jest Martin Horn. Od kilku już lat pracował z Bengtem, zna się z jego autorami, w związku z czym gładko wejdzie w tę rolę.

Stresował się przed spotkaniami z pisarzami, po raz pierwszy w roli wydawcy, lecz przebiegły one zaskakująco bezboleśnie. Większość autorów zaufała Martinowi i zdecydowała się z nim współpracować. Być może zaważyło na tym pokrewieństwo z najbardziej szanowanym wydawcą w kraju. „Jabłko raczej nie pada daleko od jabłoni” – stwierdził jeden z autorów.

W następny weekend wybrali się z Åsą samochodem do Brommy, aby obejrzeć domy.

– Zamieniamy się w Svenssonów, rodzinę z obrazka – powiedziała to ironicznie, on jednak ucieszył się na te słowa.

Bez wątpienia nadchodził nowy czas.

Jego obecny gabinet był duży, z dużymi oknami wychodzącymi na Sveavägen.

– Im lepszy widok, tym większa władza – zażartował kiedyś Bengt, zaglądając do niego.

Po dwóch miesiącach od spotkania z Christiną na ulicy Martin odnotowuje, że powoli, ale konsekwentnie powraca do stanu względnej równowagi.

Niepokój o jego relacje z Magdą jednak pozostaje i kiedy pewnego lutowego wieczora wraca z pracy, kieruje się prosto do jej pokoju, aby powiedzieć jej dobranoc.

Otwiera drzwi i się cofa.

Jest tam jak w zamrażarce.

Lodowato.

Szybko podchodzi do córki, która zasnęła nieprzykryta, i opatula ją kołdrą oraz wszystkimi kocami, jakie może znaleźć, po czym zbliża się do otwartego na oścież okna, aby je zamknąć.

Zatrzymuje się przy nim i wygląda na zewnątrz. Działkę za domem przykrył śnieg.

Za skrzącą się bielą rozciąga się las – milczący i ciemny. Przechodzi go dreszcz. Wysokie świerki wyglądają groźnie, choć sam nie wie dlaczego. Zamyka okno i spuszcza żaluzje.

Jeszcze ciaśniej opatula małą.

Przygląda się dziewczynce, przypominając sobie, że kiedy była mniejsza, robił to stale. Codziennie, zanim się położył, zaglądał do niej i patrzył, jak śpi.

Dlaczego przestał?

Wpatrując się w jej twarzyczkę, ma ochotę obudzić córkę i za wszystko przeprosić.

W trakcie romansu z Christiną był jeszcze gorszym ojcem niż zwykle. Dręczony poczuciem winy, miewał gwałtowniejsze wybuchy gniewu, zarówno w pracy, jak i w domu. Sen malujący się na jej buzi przywodzi na myśl wspomnienia, od których łzy napływają mu do oczu – jak bardzo się go bała, kiedy wpadał w furię.

Miała tę samą minę, tak samo wykręconą strachem twarz, jak na widok zbliżającego się pasierba Christiny. Na samą myśl o chłopcu krew się w nim burzy. Magda ścisnęła jego dłoń z całej siły, jakby próbowała dać mu coś do zrozumienia.

Żałuje, że nie wypytał jej wówczas, co też takiego zrobił ów Johan, że ją to tak przeraziło. Nie powinna mieć powodów do lęku.

Jej delikatny uśmiech przez sen interpretuje jako znak, że śni o czymś pięknym. Ale co on tak naprawdę może o tym wiedzieć? Czy on w ogóle ma pojęcie o jej obecnym życiu?

Odpowiedzi na takie pytania sprawiają ból, gasi więc lampę, głaszcze córkę po policzku i wychodzi z pokoju.

Pogrążone we śnie dziecko trąca w nim jakąś strunę. Zagląda do sypialni. Åsa na łóżku rozczesuje mokre włosy, a on wyraźnie wzrusza się na ten widok. Studiuje jej rysy, ich linie i formy. Widzi spokojną inteligencję, kobiecą siłę. Jest świeżo wykąpana i Martina owiewa

zapach jej rozgrzanej skóry i szamponu.

Gdy kończy szczotkować włosy, on kładzie jej ręce na barkach, tak jak lubi. Rozczapierza palce najmocniej jak się da, aby maksymalnie zwiększyć ciepłą powierzchnię dłoni. Czuje, że żona się rozluźnia, kiedy schodzi coraz niżej.

Sygnaly między nimi są subtelne, ale nie do pomylenia. Mimo iż masaż trwał tylko parę sekund, Martin wie, że za chwilę zaczną się kochać.

„Seks z Åsą nadal jest podniecający” – myśli, przesuwając ręką po jej krzyżu i naciskając lekko. Być może dlatego, że na początku dosyć trudno ją namówić, stąd każdy stosunek wydaje się pierwszy. Gdyby to ona inicjowała, szybko by się znudził. Jest tak, jak gdyby ogarniało ją pożądanie nie do powstrzymania. Jakby coś silniejszego od niej rozlewało się między nogami wbrew jej woli. On to uwielbia: patrzeć, jak się przemienia, jak opuszcza gardę.

Po wszystkim nie może zasnąć. Czuwa i przygląda się żonie pogrążonej we śnie.

Od dawna nie zachwycał się jej urodą, ale teraz ją widzi, w pełni dostrzega jej piękno, co przepełnia go zarówno szczęściem, jak i trudnym do wytłumaczenia smutkiem.

Dostał jej numer od koleżanki. W kryminale, o którego korektę merytoryczną ją poprosił, sprawcą był szkolny psycholog. Chce się upewnić, że opis jest zgodny z prawdą. W pierwszych latach śmiertelnie bał się o błędy rzeczowe, dlatego miał w zwyczaju podrzucać maszynopis osobom, które mogły pomóc w ich wyszukaniu.

Nigdy nie zapomni, jak tego dnia wyglądała. Siedzieli w jej szkolnym gabinecie. Miała na sobie jasnobłękitną sukienkę, a jej blond włosy lśniły na tle materiału. Zauważył też, że skrupulatnie przeczytała wydruk, bo spod prawie każdej kartki wystawała żółta samoprzylepna karteczka, a na co drugiej stronie widniały notatki naniesione ozdobnym i drobnym pismem. Przejście przez wszystkie uwagi zajęło jej z pewnością ze dwie godziny, a on ani przez chwilę się nie nudził. Przeciwnie, ku swemu zdumieniu odkrył, że jej analiza zainteresowała go dużo bardziej niż sama książka.

Zdawała się oddalona od jego świata, w którym wielu udawało głupszych, niż byli w rzeczywistości, aby uchodzić za czarujących. Ona wywodziła się z innej sfery. Wyrażała się, jak mówią, książkowo, i chociaż powinno go to odpychać, to po spotkaniu nie przestawał o niej myśleć. Za kontrolowaną elokwencją kryło się coś jeszcze, pewna wrażliwość, jakiś ogień, którego błysk w jej oku za każdym razem przyprawiał go o drzenie.

Chciał się z nią znowu spotkać.

Ona również chciała, więc szybko odwiedziła jego małe mieszkanie na Vasastan.

Przez trzy dni nie wychodzili z łóżka. Jego fascynacja Åsą szybko stała się obsesją, mimo to nigdy nie poznał tej kobiety do końca. Była wyrafinowana, nie przeklinała, nie jadła mięsa. Formalnie wszystko nie tak, a jednak okazało się to wielkie zakochanie, dla nich obojga.

Przez cały pierwszy tydzień nie spali. Postanowili, że oni – i tylko oni – unikną błędów popełnianych przez innych i że jeśli się tylko wysilą, stworzą związek nieśmiertelny i wiecznie szczęśliwy. I tak sobie marzyli, czuwając co noc: ona w majtkach i koszulce, on w bokserkach. Energiczni, szczupli i młodzi, pochyleni nad otwartym notatnikiem jak krawiec nad robotą, tworzyli listy reguł, których zamierzali się trzymać. Strona za stroną zapełniały się obietnicami. Nigdy nie podnosić na siebie głosu, nigdy się nie okłamywać, nigdy... Pełno takich deklaracji. Ich szczęście miało się nie skończyć, jeśli tylko będą się trzymać tych prostych z pozoru zasad. Kartkę za kartką zapisywali planami, imionami przyszłych dzieci i gości na ślubie, listami miast i miejsc, które chcieli odwiedzić. I za każdym razem, gdy odkrywali podobieństwo, kolejny punkt na mapie albo imię dla dziecka, które im się podobało, padali sobie nad zeszytem w ramiona. Jego dłoń wślizgiwała się pod jej koszulkę, gładziła jej ciepłą skórę i już po chwili znów byli nadzy. Z jakiegoś powodu czuł się przy niej bezpiecznie i nigdy się nie zastanawiał,

jak wypada jako kochanek. Pierwszy raz ktoś działał na niego w ten sposób.

Tydzień po ich spotkaniu Åsa wprowadziła się do niego.

Kilkanaście dni później on opowiedział jej o Eryku i mamie, gdy leżeli w łóżku, spokojni i zmęczeni miłością. Po raz pierwszy zwierzył się drugiej osobie ze wszystkiego. Prawie. Nie zdobył się na wyjawienie, jak bliska więź łączyła go z bratem, bo myśl o tym była zbyt bolesna. I ciągle zbyt świeża, choć upłynęło już niemal dziesięć lat.

W późniejszej fazie ich związku żałował, że nie ujawnił wtedy wszystkiego, ponieważ Åsa nie zdołała zrozumieć w pełni roli Eryka w jego życiu. Imię brata wypływało wyłącznie podczas kłótni, kiedy twierdziła, że Martin powinien pójść na terapię.

Ale to później. Na początku byli zgodni i zgrani.

Dopóki nie zaszła w ciążę i coś się zmieniło.

Magda na USG. Drobny pulsujący duszek. Åsa szybko zaczęła rościć sobie pretensję do rozumienia nienarodzonego dziecka. Tłumaczyła mu, dlaczego aż tyle kopie – reagowało na emocje matki. Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak zaprotestować i oznajmić, że ma zupełnie inną wizję rozwoju i wychowania dziecka: jego zdaniem osobowość człowieka była wrodzona, więc można powiedzieć, że jako rodzice niewiele mieli do zrobienia ponad zapewnienie potomkowi utrzymania i dachu nad głową. Ona tymczasem żywiła przekonanie, że dziecko jest produktem rodzicielskich wysiłków.

To, że podchodzili do tego tematu tak odmienne, dla obojga okazało się szokiem. Nigdy przedtem nie mieli sposobności przedyskutować kwestii wychowania, więc okres ciąży okazał się bardzo wybuchowy. Pamięta, że dał sobie czas do porodu, aby przekonać żonę do zmiany podejścia. Uparcie powoływał się na argument, że świat Zachodu zbyt dużą wagę przywiązuje do zapobiegania różnym rzeczom, zamiast po prostu pozwolić dzieciom dorastać, skupia się na rozkładaniu i analizowaniu ich życia kawałek po kawałeczku. Po raz pierwszy przyznał, że w gruncie rzeczy nie wierzy w psychologię dziecka, ponieważ z takim zapałem zabiera się do rozwiązywania tego, co uważa za problem, że nie pozwala życiu toczyć się własnymi torami. Krzyknęła w odpowiedzi, że sam kiedyś oświadczył, iż tak właśnie postępuje wobec swoich autorów. Na co on odparł, że pisarze – w odróżnieniu od dzieci – są dorośli i wystarczająco dojrzały, aby się formować samodzielnie. To jest zupełnie co innego.

Nie dogadali się w sprawie wspólnego planu i na porodówkę pojechali bez dojścia do zgody. Być może rozłam między nimi przyczynił się do szczególnie dramatycznej akcji porodowej. Widok Åsy, jak jeden jedyny raz traci kontrolę, był dla niego szokujący. Jej krzyki i wykręcona bólem twarz, dłoń zaciśnięta na jego ramieniu tak mocno, że chodził z siniakami przez tydzień – to wszystko było zarówno piękne, jak i przerażające.

Później zauważył, że żona również była wstrząśnięta tym zachowaniem podczas rozwiązania. Próbował podjąć temat, ale nie chciała o tym rozmawiać, co więcej, schowała zdjęcia, które tamtego dnia zrobił.

Pod koniec lutego Martin i pięcioro pozostałych wydawców zbierają się w sali konferencyjnej, aby przedyskutować zbliżające się targi książki w Londynie. Za oknem śnieg sypie tak gęsto, że kościoła po drugiej stronie ulicy prawie nie widać.

Horn kontempluje wielkie płatki. Nie słucha dyskusji, zmęczony długim czuwaniem w nocy. Nie potrafi się zmusić do zaangażowania w tytuły, które są przedmiotem dysputy. Po tylu latach w wydawnictwie brzmią w jego uszach jak parodia, bo odnosi wrażenie, jakby słyszał je już wcześniej, jeden za drugim. „Wszystko zatacza krąg” – myśli.

Dociera do niego tylko jedno zdanie.

– Czy ktoś mógłby polecieć tam już w niedzielę? – pyta Bengt.

Wcześniej dbał o to, aby spędzać na targach zagranicznych jak najmniej czasu – miał za

dużo roboty, poza tym nie lubił tej atmosfery – jednak teraz perspektywa wcześniejszego wyjazdu i złapania dystansu nagle wydaje mu się kusząca.

– W poniedziałek rano mamy ważne spotkanie z Penguinem, a ja w tym czasie jestem umówiony z agentem, więc nie mogę – ciągnie Bengt.

– Ja pojadę – zgłasza się szybko Martin.

– Świetnie. Kajsza ci wszystko przekaże.

– W porządku.

Po powrocie do domu oświadcza:

– Lecę do Londynu w niedzielę.

Åsa przygląda mu się bez słowa.

– O co ci chodzi? Myślisz, że chce mi się jechać?

– Nie rozumiem, dlaczego tego nie rzucisz, skoro źle się tam czujesz.

– Gdzie?

– W pracy. Myślisz, że tego nie widzę?

– A co innego miałbym robić?

– Powiedziałam tylko, że praca przestała cię uszczęśliwiać.

– Ciekawe, komu ona sprawia radość...

Zastanawia się, dlaczego po prostu jej nie wyjaśni, jak kiepsko się od paru miesięcy czuje.

Samotność, brak osoby, z którą można dzielić swoje troski, to część tej sytuacji. I nie powinien mieć trudności, by wyłączyć Christinę z tej historii, jednak coś mu podpowiada inaczej. Może chodzi o to, że musiałby definitywnie jej wyjawic stałą obecność Eryka, aby zrozumiała.

Tymczasem mówi tylko:

– Nie każdy ma tyle szczęścia co ty.

Na targach jak zwykle panuje tłok i zaduch. Pełno ludzi z branży: modnie ubranych agentów i wydawców. Dobrze mu tam, czuje się wybrany, przechadza się między stoiskami dużych oficyn, mija wysepki okrągłych stolików, przy których ludzie gestykują i prowadzą rozmowy sprzedażowe. Ku jego zdumieniu rozpiera go energia. Prawie każda kobieta, którą tu widzi, wydaje mu się atrakcyjna. Elegancja i luksus tworzą pewnego rodzaju wspólnotę: jesteśmy świetnie ubrani, zamożni, zatrzymujemy się w obcym mieście w hotelu. Wyjazdowe bzykanko wisi w powietrzu. Szara wykładzina i jasne oświetlenie. Kolorowe szkła kontaktowe, gdziekolwiek spojrzeć.

Przyglądając się wielkiemu oprawionemu zdjęciu pisarza przy stoisku Random House, zauważa kawałek dalej czarnoskórą kobietę. Przystanęła i czyta.

Taksuje ją wzrokiem.

Babki z innych krajów zawsze wydają się piękniejsze niż miejscowe. Są takie egzotyczne. Ta jednak kryje w sobie coś więcej: Martin ma ochotę jej dotknąć, poczuć ją. Przyciąganie jest tak silne, że niemal przerażające.

Zatapia spojrzenie w jej twarzy – wysokich kościach policzkowych, czarnych oczach – i fantazjuje na jej temat. Wyobraża sobie, jak w wiosenny wieczór ta kobieta wsiada do pociągu do Brixton. Bierze szybki prysznic, wychodzi z łazienki i daje się przelecieć swojemu chłopakowi. Potem rozmyśla w ciemności, czy nie przeprowadzić się do centrum. Najbliżej są dumni z córki, która złamała rodzinną klątwę i awansowała do branży wydawniczej. Facet zostaje w podmiejskiej miejscowości i już niedługo będzie porzucony dla apartamentu w Financial District.

Być może. Nigdy nie wiadomo. I stąd właśnie to mrowienie.

Po pewnym czasie kobieta opuszcza stoisko, skręca w prawo za Harvard University Press i znika za rogiem.

Impuls każe mu pójść za nią. Nie przywykł do tego typu cielesnych i nagłych imperatywów, ale cieszy go ta intensywność. Przyjechał do Londynu, aby się odnaleźć, zamierza więc hołubić wszystko, co daje mu poczucie wolności. Przyznaje się do pożądania, węszy za jej piękną sylwetką przesuwającą się w tłumie, musi się na nią napatrzeć.

Śledzi ją aż do wyjścia.

Na dworze pada deszcz. Kobieta, osłaniając się gazetą, przemyka truchtem pod ścianą budynku. Martin porusza się szybko i zdecydowanie, aby nadążyć.

Znów w środku, w innej części hali, ustawia się w kolejce, a on zaraz za nią. Pewnie to wypieki z budki obok tak pachną, a może to ona: słodkawa nuta cytrusowa ze szczyptą czegoś podobnego do curry. Świeży napływ sił. Niespodziewana żądza. Zna to uczucie, choć nie doświadczał go od lat.

Związek z Christiną nie zasadzał się na szczególnie silnym pociągu fizycznym, chodziło raczej o dwoje samotnych ludzi szukających u siebie nawzajem pocieszenia.

Wyciąga się ponad ramieniem czarnoskórej piękności, aby odczytać tytuł wydruku, który ona dzierży, jakby liczył na trop zdradzający jej tożsamość.

Z powodu tłumy spokojnie może się jej przyglądać niezauważony. Przez cały czas trzyma się kilka metrów za nią, chłonąc wzrokiem jej drobną sylwetkę sunącą przez morze ludzi.

W sali konferencyjnej leci jakiś film. W ciemności traci ją z pola widzenia. Przystaje koło ekranu, skąd widzi, że usiadła na końcu pomieszczenia pod ścianą. Dyskretnie prześlizguje się w jej stronę i zajmuje krzesło za jej plecami.

Znajdują się teraz nie więcej niż metr od siebie i Martin konstatuje, że to ona roztacza zapach, który wcześniej zarejestrował. Zastanawia się nad pożądaniem: to fascynujące, że budzi się tak nagle i błyskawicznie nadaje życiu sens. W ciągu pięciu minut rutynowy wyjazd w interesach przerodził się w zapierającą dech w piersiach przygodę. Dopóki ma ją w zasięgu wzroku, wszystko wydaje się ekscytujące.

Wtem kobieta zaczyna płakać. Łzy jak perły spływają jej po policzkach i zatrzymują się tuż nad górną wargą. Siedzi bez ruchu przez dłuższy czas. Następnie delikatnie wyciera twarz, wstaje i wychodzi.

Martin zostaje. Tyle się w nim teraz kotłuje, że nie jest w stanie za nią podążyć.

Niewykluczone, że powstrzymuje go myśl o Ásie. Ale nie wyrzuty sumienia – całkowicie się do nich przyzwyczyił – a raczej wspomnienie, że kiedyś to do niej czuł coś takiego, i smutek, że to już minęło. Był taki okres na początku, kiedy patrzył na nią tak jak na tę czarnoskórą kobietę. Niczym opętany studiował ją ukradkiem, kiedy szcztokowała włosy przed lustrem, a kiedy spała, podziwiał jej twarz w świetle poranka. Obecnie rzadko zwraca uwagę na jej rysy, nawet kiedy ona pyta, jak wygląda, co robi niemal codziennie przed pracą albo przygotowując się do wyjścia na kolację. Nie patrzy na nią. Niemal demonstracyjnie odwraca wzrok, odpowiadając, że chyba dobrze. Jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, że przeszkadza mu, gdy zajmują się czymś tak banalnym jak recenzowanie swojego wyglądu.

Ma wrażenie, że jego nogi są z ołowiu, siedzi więc dalej, aż pojawiają się napisy końcowe i ludzie zaczynają wstawać.

Dopiero wtedy wraca do chaosu. Opuszcza halę, bierze taksówkę do hotelu i natychmiast zasypia.

Po przebudzeniu staje przed oszkloną ścianą, podziwiając widok: czerwoną łunę zachodu słońca, światła miasta jak rozżarzone węgielki rozsypane u stóp. Spotkanie tej kobiety sprawiło, że coś się uwolniło i zostało wprawione w ruch.

Bierze szybki prysznic i ubiera się elegancko, jakby dla uczczenia swoich doznań, a potem wsiada do windy i wjeżdża do restauracji na trzydziestym drugim piętrze.

Sala nie jest duża. Panorama Londynu z tego miejsca nie ma sobie równych. Niebo przybrało kolor głębokiego granatu. Migoczą małe świecek ustawione przy oknach, pomieszczenie wypełniają brzęk sztućców oraz szum dyskretnych rozmów. Miękość i spokój. Żeby się tym podelektować, postanawia zatrzymać się przy barze i zamówić whisky.

I nagle ją dostrzega.

Siedzi przy kontuarze jakieś trzy metry dalej i spogląda przez okno, trzymając w dłoni coś, co jego zdaniem wygląda na dzin z tonikiem.

Uczucie z seansu filmowego powraca, tym razem łatwiejsze do opanowania, choć równie intensywne. Z jakiejś przyczyny jej obecność nie wydaje się niespodziewana, przeciwnie – jest spójna z całym wieczorem.

Znów uderza go myśl, na którą wpadł już wcześniej: pojawienie się pięknej osoby potrafi w okamgnieniu pobłogosławić pomieszczenie. Ogarnia go podniecenie, jakie towarzyszy dobrej lekturze: czeka go coś intrygującego.

Długo jej się przygląda. Zmieniła sukienkę i założyła małe kolczyki z perłami.

Kiedy wreszcie się odwraca i na niego spogląda, jej wzrok zatrzymuje się o kilka sekund dłużej, jak gdyby chciała powiedzieć, że zwróciła na niego uwagę.

Nieśmiałość, która zwykle by mu towarzyszyła, zniknęła bez śladu. Nie ma żadnych oporów, aby porozmawiać z tą kobietą. Związek z Christiną zakończył się katastrofą, pamięta o tym, ale pociąg jest zbyt silny, aby zdołał się oprzeć.

Dziewczyna zagląda do szklaneczki, przez co ustawia się do niego półprofilem, co przyprawia go o zawrót głowy. Siedząc w tej pozycji, daje mu do zrozumienia, iż podoba jej się to, że on na nią patrzy, i pragnie kontaktu. Jeśli ktoś szuka towarzystwa w barze, w obcym mieście, wszelkie reguły przestają obowiązywać i wszystko jest możliwe. Jego zdaniem.

Podchodzi do niego szef sali z informacją, że stolik już czeka. Martin na chwilę się opanowuje.

Później, powracając myślami do tego momentu, nie będzie miał wątpliwości, że znalazł się na rozdrożu.

Wielokrotnie przyjdzie mu się zastanawiać nad tym, co się wydarzyło, a jeszcze bardziej nad tym, co by się nie wydarzyło, gdyby nie to, że po drodze przystanął obok niej i rzucił szeptem:

– *My room number is 411*[4].



## Katja

luty 2010

Pada śnieg. Katja staje przed szkołą i patrzy na dzieciaki bawiące się na podwórku. Chyba niewiele się zmieniło: osiedle willowe i niski budynek podstawówki wyglądają dokładnie tak, jak je zapamiętała. Szkołę pewnie wyremontowano od czasów, kiedy do niej chodziła. Nie może sobie przypomnieć, jaki w latach osiemdziesiątych miała kolor, ale jest prawie pewna, że nie była biała. Za to zabawy dzieci ciągle są takie same. Jedne stawiają latarnię ze śnieżynek, inne bawią się w berka, kilkoro leży w śniegu i robi anioły.

Kiedy zadzwonili do niej z kuratorium z informacją o wolnym stanowisku w Brommie, w szkole, do której w dzieciństwie uczęszczała, zareagowała sceptycznie, ale odmowa na podstawie abstrakcyjnej niechęci, której źródła nie знаła, wydawała się tchórzostwem, dlatego przyjęła propozycję.

Otwiera wielkie stalowe drzwi i wchodzi do ciepłego wnętrza, gdzie powracają wspomnienia. Nawet ciężki zapach ze stołówki okazuje się równie duszący jak dwadzieścia lat temu.

Tymi korytarzami chadzała przez sześć lat i jej mięśnie to pamiętają: coś się z nią dzieje, jakby na powrót stawała się dzieckiem. Przerazonym i bezbronnym, jak wtedy.

Bierze głęboki oddech i kieruje się do pokoju nauczycielskiego – kiedy była mała, okrywała go aura tajemnicy, a uczniowie mieli tu prawo wstępu tylko przy szczególnych okazjach: spotkania rady uczniowskiej, ocena kwartalna lub kiedy pedagog potrzebował pomocy nad jakimś materiałem. Pachnie tam jak dawniej: pokój przesiąkł aromatem miliona filiżanek kawy wychylonych przez pokolenia nauczycieli, dyskutujących o uczniach i ich rodzicach od lat pięćdziesiątych aż do dziś. Pomieszczenie jest równie ciemne jak to we wspomnieniach, wyposażone ponadczasowo, z wyjątkiem nielicznych oznak nowoczesności. Powielacz z niebieskim atramentem plamiącym dłońe wymieniono na kopiarkę i każdy nauczyciel chodzi teraz z własnym laptopem.

– Katja? – Rudowłosa kobieta koło sześćdziesiątki wyciąga do niej rękę. – Jestem Gunnel. Cieszę się, że przyszedłaś.

– Dzień dobry.

Do Katji dociera, że to dyrektorka szkoły, z którą rozmawiała przez telefon. Zwraca uwagę na subtelne, acz jasne sygnały: broszkę i fryzurę na pazia. W podstawówkach symbole władzy się powtarzają.

– Kawa? – pyta szefowa.

– Nie, dziękuję.

– To może od razu pokażę ci gabinet?

– Dobrze.

W drodze do pokoju kobieta tłumaczy, jak bardzo się cieszą z dyżuru higienistki trzy razy w tygodniu. Poprzednia przychodziła tylko w poniedziałki i wtorki.

– Raczej mamy tu spokój, odpukać. Czasami jakiś wypadek na podwórku, ale to rzadkość. Są oczywiście szczepienia, to właśnie ich pora. Powinnaś zacząć w przyszłym tygodniu od klas piątych i szóstych. Podamy też uczniom do wiadomości, że przyjmujesz od ósmej do dziesiątej, żeby mogli przychodzić z własnej inicjatywy.

Katja rozważa, czy nie powiedzieć przełożonej, że uczyła się kiedyś w tej szkole, ale nie przechodzi jej to przez gardło. Istnieje bezpośrednie ryzyko, że kobieta zechciałaby doprowadzić

do spotkania z jej dawnymi nauczycielami, co brzmi mało zachęcająco. W dłuższej perspektywie ich drogi muszą się kiedyś skrzyżować, ale na tę chwilę przeszłość przypomina o sobie wystarczająco intensywnie.

Kiedy stają pod drzwiami z napisem „Gabinet zabiegowy”, Gunnel wyciąga z kieszeni ogromny pęk kluczy i otwiera pokój.

Pomieszczenie wygląda niemal kropka w kropkę tak samo jak w innych szkołach, w których pracowała. Zielone linoleum, parę planszy prezentujących ciało nastolatka i znaczenie zbilansowanej diety.

– Myślisz, że ci się tu spodoba? – pyta szefowa.

– Oczywiście.

– Świetnie. Czuj się jak u siebie w domu. Na przerwie o dziesiątej przedstawię cię reszcie kadry.

Kiedy zamykają się za nią drzwi, Katja podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Dzwonek wzywa na lekcję. Przez na wpół otwarte żaluzje widać, jak dzieci biegną do swoich klas. Poczucie dyskomfortu nie mija. Może popełniła błąd, przyjmując tę posadę?

Chyba że to zupełnie naturalna reakcja, która zniknie, kiedy już się zadomowi. Ostatnio była w pracy rok temu, odzwyczyła się. Poza tym jeszcze dwa tygodnie wcześniej spodziewała się zostać na urlopie znacznie dłużej.

Plan był w każdym razie taki, że pieniądze Toma ze sprzedaży strony internetowej wystarczą do sierpnia, a ona do tego czasu skończy tomik poezji.

Tyle że środki wyczerpały się wcześniej. Zresztą na jedno wchodzi. Po odmownej odpowiedzi wydawcy i tak się zastanawiała, czy nie porzucić pisania na dobre. Więc kiedy zadzwonili do niej z kuratorium, zgodziła się bez wahania.

Wstydzi się teraz za ten optymizm, z jakim wysyłała ten wydruk. Próbuje sobie przypomnieć, skąd u niej to przekonanie, że napisała coś dobrego. Może w porównaniu do jej debiutanckiego ten nowy tekst wydał jej się dojrzały?

Zainspirowana pracą jako higienistka i codziennym kontaktem z dziećmi z problemami spisała migawki z własnego dzieciństwa. Eseistyczno-liryczna mozaika układająca się w obraz samotności małego człowieka.

Skromna oficyna, w której ukazał się jej debiutancki tomik, zbankrutowała, więc kiedy prace nad kolejnym zbiorem zaczęły dobiegać końca, musiała rozejrzeć się za nowym wydawcą. Przeszło jej przez myśl, aby podesłać tekst do Gunnara Horna, ale ponieważ nie miała ochoty publikować w tym samym wydawnictwie co rodzice, stanęło na Martinie, synu Gunnara, bo nie знаła nikogo innego.

Aby nie skojarzono jej z nimi, dla pewności posłużyła się panieńskim nazwiskiem matki. Stała się Katją Stenholm.

W styczniu przyszła odpowiedź. Martin Horn nie był zainteresowany. Nie dlatego, że tekst jest zbyt słaby, ale dlatego, że jest „zbyt abstrakcyjny”.

Zdenerwował ją jego dobór słów. Im częściej wracała do listu, tym bardziej rosła jej irytacja.

Horn wyjaśniał, że tekst się kiepsko rozwija i brakuje w nim niespodzianek, a na końcu udzielił jej rady. Pisał, że wyczuwa jakiś smutek i zachęca ją do jego zgłębienia, jeśli powróci do pracy nad materiałem.

Oburzyła się, że jego pierwszą reakcją po lekturze było drażnienie osobistej traumy, lecz doszła do wniosku, że tak to obecnie musi funkcjonować: aby tak trudny do sprzedania gatunek jak poezja zauważono, nie może się koncentrować na wysublimowanych tematach, takich jak rezygnacja czy melancholia.

Na szczęście nie pisnęła Tomowi ani słowem, że wysłała wiersze do Horna, więc otrzymaną rekuzę mogła pominąć milczeniem. Oznajmiła mu tylko, że chwilowo odkłada nowy tomik na bok i wraca do pracy. Ponieważ ich konto świeciło pustkami, nie zaprotestował, a zamiast tego skwitował ze śmiechem:

– Czas, żebyś wróciła do rzeczywistości.

Jest sobota. Katja ma za sobą pierwszy tydzień pracy. Siedzą w Rosendals Trädgård. Śnieg topnieje. Wyzierają spod niego glina i poszarzała trawa.

Patrzy na Toma. Wygląda nadzwyczaj dojrzałe, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Pewny siebie i dla odmiany spokojny, w czarnym płaszczu Hugo Bossa kupionym w czasach prosperity, zaśmiewa się nad czymś, co akurat czyta. Tak blisko, a jednak tak daleko.

Przypomina sobie, jak się poznali. Był tak zakręcony na punkcie technologicznych nowości, że seks z nim przypominał pieprzenie kosmity. Teraz jego zamiłowanie do Apple'a nie wydaje się już takie oryginalne, a wiara w zbawienie ludzkości przez media społecznościowe – tak wyjątkowa. Dorastała wśród tego typu pompatycznych rozważań, rozpoznaje ten pęd do bezkompromisowego objaśniania rzeczywistości u ludzi, którzy łudzą się, że przyszłość można łatwo podsumować. Zastanawia ją, jak to się właściwie stało, że znowu znalazła się w takim środowisku.

W gorszych momentach odnosi wrażenie, że on z tą swoją wiarą w istnienie odpowiedzi ucieleśnia całe ich pokolenie – i czuje się wówczas wykluczona, ponieważ oni, w odróżnieniu od niej, wmawiają sobie, że zrozumieli już wszystko. Internet karmi ich iluzją, że każdą rzecz da się wyszukać, każdą sprawę przewidzieć. Jednocześnie to, czego nie da się wygooglować, przeraża ich i odbiera im chęć do podejmowania ryzyka w realu.

Tom na przykład ubzdurał sobie, że wie, co to znaczy być rodzicem. Ona ma kontakt z dziećmi u siebie w pracy i zdaje sobie sprawę, że dobrego rodzicielstwa nie da się nauczyć przez internet.

Jednak do pewnego stopnia rozumie jego krótkowzroczność. Nie spotkał dziesięcioletniej dziewczynki trzęsącej się od płaczu, bo ktoś ją wyzwał od grubasek. Nie widział trzynastolatka wnoszonego do karetki, bo próbował odebrać sobie życie, skacząc z mostu.

Kiedy zaczęła go tak po cichu punktować? Chciałaby się cofnąć do czasów, gdy uważała, że jest niezwyknięty. Wtedy wszystko było łatwe.

Miała dwadzieścia trzy lata, kiedy o nim usłyszała. Ludzie opowiadali o nim niestworzone historie. Stał się swego rodzaju gwiazdą, jaka pojawia się od czasu do czasu w każdym kręgu znajomych, kimś, kto dopiero do nich dołączył, kogo nie każdy zdążył poznać, ale o kim wszyscy gadają. Sprawdziła jego stronę internetową. Owszem, nieźła. Sam też był niczego sobie, taki jednoznacznie przystojny. Właściwie typ niezależny wcale jej nie kręcił, ale Tom miał w oczach coś mrocznego, czym ją zaintrygował. „W głębi duszy jest samotny” – pomyślała i wezbrała w niej czułość. No i jeszcze to, że wszyscy przynudzali, że powinna go poznać. Ktoś mówił, że jest hakerem. Że „Wired” przeprowadził z nim wywiad. Że wychowywał się w sekcie. Lecz przede wszystkim opowiadano o tym, że stworzył jakąś tajną stronę, która jest tak genialna, że zbije na niej miliony.

W końcu więc doszło do ich spotkania w Spy Barze, w tłumie, więc przenieśli się w róg sali, żeby pogadać. W okamgnieniu weszli na temat, który – jak później odkryła – należał do jego ulubionych. Wygłosił monolog o tym, dlaczego ich pokolenie ma szczęście. Sieć – wyjaśniał – jest jeszcze w powijakach, właściwie to załedwie zapowiedź tego, co pewnego dnia nastanie. W ciągu najbliższych lat przeobrazi się w miejsce spotkań i dopiero wtedy naprawdę odmieni ludzkie życie. Bo kiedy się uspołeczni, świat błyskawicznie się skurczy, padną granice kultur i państw. Popijając drinka przez białą słomkę, przekonywał, że to nieunikniony kierunek rozwoju

i pociągnie za sobą ofiary, których nie da się uniknąć. Kultury na przykład powoli, lecz nieodwołalnie zbiją się w jedną, globalną, w miarę jak wszelkie lokalne środki wyrazu staną się ogólnodostępne.

Nie mogła się zdecydować, czy jest naprawdę mądry, czy po prostu szalenie przekonujący.

Nie obchodziło jej, rzecz jasna, czy miał rację, czy nie. To się nie liczyło. Patrząc na niego, zastanawiała się raczej, skąd u niego tak naturalnie czerwone usta i czy te oczy, wpatrzone w nią intensywnie i bez przerwy, są zielone czy szare.

Lubiła również to, że okazywał jej niepodzielną uwagę. Bez wątpienia był gadułą, ale potrafił słuchać w skupieniu, kiedy zadawała pytania, wielokrotnie doceniając jej przenikliwość.

Kiedy potem gadali w łóżku, okazał się bardziej małomówny i skory do refleksji niż w klubie. Ujęło ją to. Została u niego na noc.

Dwa tygodnie później nadal u niego mieszkała. Raz tylko pojechali we dwoje do jej mieszkania po trochę rzeczy. Poza tym prawie nie wychodzili z łóżka.

Po trzech tygodniach zdradził jej swoją wielką tajemnicę. Leżeli w pościeli, oglądając jakiś reality show, kiedy odwrócił się do niej i powiedział:

– Chcę ci coś pokazać.

Po sześciu latach wspomnienie tej sceny nadal wywołuje wzruszenie. Denerwował się i wyglądał tak bezbrinnie, że przez sekundę nawet myślała, że zaraz się oświadczy. Tymczasem on z czarującą egzaltacją wyjawiał, że kilka lat opracowywał stronę, która być może zmieni sposób korzystania z internetu.

Poczuła się wybrana, wtajemniczona. Zawieszał głos, akcentował słowa, przez co wypadł bardzo sugestywnie. W tamtej chwili naprawdę mu uwierzyła, kiedy oznajmił, że witryna uczyni z nich milionerów.

Tak, nie ulega wątpliwości – na początku byli szczęśliwi. Wyraźnie pamięta.

Nie miała porządnego wytłumaczenia, dlaczego tak się stało, że po kilku latach na oddziale opieki prenatalnej jej pociąg do niego przygasł. Przed Tomem tłumaczyła się zmęczeniem – często wracała o piątej nad ranem i właściwie padała z nóg. Ale kryło się za tym coś więcej.

Z jednej strony chodziło o to, że po doświadczeniach z pracy seks zaczął jej się kojarzyć z aktywnością kontemplacyjną. Wracając do domu i kładąc się spać z głową pełną obrazów zapłakanych rodziców i martwych, jakby ptasich ciałek, nie miała ochoty przyjmować na siebie nagiego ciała. Z drugiej strony pewna myśl zaczęła w niej zapuszczać korzenie – mianowicie, że Tom stał się bezpłciowy. Był przyjacielem, w którym coraz rzadziej dostrzegała kochanka.

Szczęśliwym trafem on również zdawał się mniej napalony. Jak gdyby ekran wysysał z niego całą energię, z pożądanym włączeniem.

Przez osiem godzin, które spędzała poza domem, on siedział bez ruchu, odbierając wrażenia tylko przez komputer. Odbijało się to na wielu poziomach: zaczął na przykład pachnieć elektrycznością, a jego twarz nabrała sinawej bladeści, jak gdyby po tych wszystkich godzinach spędzonych przed ekranem emanował jakimś światłem.

Wracając po pracy, nie mogła nie zauważyć tego głodu międzyludzkich bodźców. Jego potrzeby towarzyskie były nie do zaspokojenia. Chciał dyskutować o przeczytanych artykułach, podczas gdy ona marzyła tylko o tym, aby włączyć telewizor i zapomnieć o wydarzeniach na oddziale.

Jego potrzeba zrozumienia stawała się dla niej coraz bardziej obca, w miarę jak sama skłaniała się do zarzucenia tej ambicji.

Wiązało się to z jej profesją. Załamani rodzice w poczekalni rzadko kiedy zachowywali

się w sposób, który da się wytłumaczyć albo ukoić. Przyszłości dziecka prawie nigdy nie dało się przewidzieć. Noworodek wyglądający zdrowo czasami nagle umierał, a inny, na wpół martwy, w cudowny sposób żył dalej. Czuła, że nie ma sensu spekulować, dlaczego tak się dzieje. Jej praca polegała na maksymalnym zwiększaniu szans na szczęśliwe rozwiązanie.

W końcu doszła do wniosku, że jest to zajęcie zbyt wyczerpujące, i postanowiła zatrudnić się jako higienistka.

Jednak przepaść już się otworzyła. Dostrzegła w Tomie coś, co ukazało jej go w innym świetle.

Kto wie, czy on nie przeżywał w tym czasie czegoś podobnego.

Kiedy wiele lat później siedzą w Rosendals Trädgård, już ma go to zapytać, ale coś ją powstrzymuje.

Tom znowu spogląda na ekran.

– Pójdę po kawę – rzuca Katja, aby dać sobie chwilę oddechu.

Wstając, uświadamia sobie, że zeszywniała. Widać odzwyczała się od pracy. Po tygodniu w szkole bolą ją wszystkie stawy. Czuje ociężałość ciała i lekkość myśli. Zagadkowa słoneczna mgiełka rozciąga się dzisiaj nad całym miastem. Jak na luty jest zadziwiająco ciepło, bo zimowe mrozy zaczęły się już w październiku. Cisza pod ogołoconymi jabłoniami – chce ją jakoś wykorzystać.

Z daleka obserwuje, jak Tom uśmiecha się do czegoś, co wyczytał w komórce.

Zawsze online. I on chce mieć dziecko.

Im dłużej się nad tym zastanawia, tym bardziej ją to irytuje. Dlatego wracając do stolika, oznajmia:

– Chcę wrócić do pigulek.

Tom podnosi wzrok znad telefonu.

– Słucham?

Katja nie odpowiada. Wie, że słyszał.

– Mamy po trzydzieści lat. Prawie trzydzieści jeden – mówi Tom.

– I co, pora się zapłodnić?

On wzdycha, po czym zadaje pytanie:

– Dlaczego tak bardzo chcesz się wyróżniać?

– Nie wiem.

Z jakiegoś powodu ociąga się z udzieleniem szczerzej odpowiedzi. Chce się rozeznąć w swoich uczuciach, zanim podejmie decyzję.

– Uważam, że dziecko by nam pomogło.

– Chcesz powiedzieć, że coś jest z nami nie tak?

Patrzą na siebie bez słowa.

Katja – rozczulona jego nieruchomym spojrzeniem – już chce go chwycić za rękę, kiedy on rzuca niespodziewanie twardo:

– Kiedy się poznaliśmy, mówiłaś, że założymy rodzinę w ciągu kilku lat. Upłynęło już sześć.

Nie odpowiada od razu. Sięga po komórkę, sprawdza SMS-y, aby kupić sobie kilka sekund.

Diskusje o dziecku, hipotetycznym dziecku, to niekończące się wyzwanie, do którego przestała już mieć emocjonalny stosunek. Została już tylko próba sił.

– Nie wiem, ile jeszcze dam radę czekać – odzywa się Tom.

– Ojej. Stawiasz mi ultimatum?

– Dlaczego odpowiadasz tylko pytaniami?

– Może przypomnisz mi zasady.

Tom wzdycha i wstaje.

– Wracamy do domu?

– Przemyśl to – ostrzega Katja. – Nie wydaje mi się, abyś miał ochotę, w głębi duszy.

W każdej chwili możesz wpaść na pomysł nowej strony, a wtedy znów będziesz zavalony robotą od rana do nocy.

– Czasami się zastanawiam, czy do ciebie dociera, czym ja się w ciągu dnia zajmuję...

– Wytłumacz mi.

– Mam teraz dwa tysiące czytelników dziennie.

Zastanawia się krótko, czy zdemaskować jego blef – chodzi przecież o dwa tysiące wyświetleń, a nie odbiorców – ale zanim zdąży się zdecydować, on łapie ją za rękę.

– Prędej czy później tobie też zachce się dziecka. Chyba muszę poczekać. I tyle.

Ciepło jego dłoni jest cudowne. Obejmują się.

Podczas jazdy powrotnej autobusem nie odzywają się ani słowem. Katja próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego stale kwestionuje ten związek. Zmusza się do czułości wobec niego i obejmuje go ramieniem. Gładzi go po karku, jak dawniej.

Kiedy pojazd przystaje na czerwonym świetle koło teatru Dramaten, opuszkami palców wyczuwa znamię na jego szyi i doznaje olśnienia. Jego kark przywodzi jej na myśl kogoś innego, znanego jej aż za dobrze. Pospiesznie cofa dłoń.

Zyla złudzeniem, że związała się z przeciwieństwem swego ojca, ale widzi teraz, ile ich łączy. Media społecznościowe wcale nie są nowatorskie, to najmniej postępowe zjawisko ery innowacyjności. Opierają się na starej, znanej logice i zastanej strukturze. Jej rodzice posługiwali się maszyną do pisania i gazetami, Tom używa laptopa, lecz ich praca zawodowa wygląda w zasadzie tak samo: czytać, czytać, czytać, po czym skrobnąć parę słów komentarza do lektury.

Spogląda na Toma pochłoniętego artykułem w telefonie i widzi to jasno jak na dłoni. Czy na wycieczki do Skansenu w latach osiemdziesiątych nie jeździli przypadkiem tym samym autobusem? Ona rozmarzona zajmowała miejsce przy oknie, ojciec siedział obok. Z nosem w dziale kulturalnym dziennika.

Zerka na Toma. Nawet nos ma podobny.

Zirytowałby się, gdyby mu to powiedziała. Nie cierpi jej ojca, zawsze go nie lubił, czego nie ma mu za złe. Przecież ona też nie przepada za jego religijną mamusią. „To chyba naturalny bieg rzeczy w większości związków – uznaje. – Człowiek prędzej czy później rozwija w sobie pewną pogardę do teściów, ponieważ to oni zepsuli partnera”.

– Chodź ze mną do taty w poniedziałek – prosi. – Zaprasza mnie już od paru dni. Nie mogę się dłużej wykręcać.

– Mam robotę.

Powstrzymuje się od pytania.

Wie, co się kryje za tą robotą: dodawanie opinii pod debatą w „Dagens Nyheter”, rzucanie się na jakieś okienko komentarza, snucie planów o stronie WWW, która w s z y s t k o zmieni, zamieszczanie złośliwych postów na blogu modowym. Zawsze zsynchronizowany ze znajomymi w sieci, mimo gadki o wielowymiarowości i tolerancyjności tego medium. Już to słyszała.

– Proszę cię. Nie chcę iść sama. – Próbuje jeszcze raz, choć zdaje sobie sprawę, że go nie przekona.

W poniedziałkowy poranek akurat przecina szkolne podwórko, gdy zauważa, że Martin Horn zmierza w jej stronę.

Niewątpliwie przyszło jej do głowy, że ponieważ on mieszka w Brommie, mogą na siebie

wpaść, mimo to czuje ucisk w żołądku.

Prowadzi dziewczynkę, na oko dziesięcio- lub jedenastoletnią, która, jak się spodziewa, jest jego córką. W okamgnieniu Katja zmienia kierunek – raczej za podszeptem instynktu niż z powodu ryzyka, że skojarzyłyby ją z odrzuconym tomikiem.

Przecież on nie ma pojęcia, jak ona wygląda.

Mimo to Katja odwraca się dopiero za rogiem składziku. Przystaje i ostrożnie zerka.

Zaczyna się w niej gotować. Chyba głównie dlatego, że przez niego czuje się winna.

Proszę bardzo, ukrywa się za szopą przy szkole, ponieważ jemu nie spodobały się jej wiersze...

To, że zobaczyła Martina, rzuca się cieniem na cały dzień.

Nieprzyjemne uczucie z zeszłego tygodnia znowu daje o sobie znać i nie pozwala jej się skoncentrować.

Przedpołudnie spędza na szczepieniu szóstoklasistów i trochę się spieszy, aby z wszystkimi zdążyć. Nieustannie zerka na zegarek i stara nie dopuścić do ataku paniki z powodu wszystkich tych dwunastolatków przewijających się przez gabinet. Są bardzo pobudzeni, niepewni, tyczkowaci, z wąsem sypiącym się nad wargą. Dotykają jej wbrew jej woli.

Wchodzą jeden po drugim i dostają zastrzyk. Przy każdym uczniu Katja zagląda do karty, aby się upewnić, że nie jest uczulony na któryś ze składników wakuiny.

Po obiedzie przychodzi kolej na piąte klasy i w stosie kart Katja dostrzega jedno nazwisko.

Magda Horn.

– Proszę wejść! – woła wyczekująco.

Wchodzi dziewczynka, którą widziała rano z Martinem. Śliczna jak z obrazka. Długie blond włosy, blade ramiona.

– Dzień dobry – wita ją z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiada mała i przez chwilę stoi bez słowa.

– Jak ci na imię?

– Magda.

– Usiądź, Magdo.

Dziecko nie reaguje, więc Katja w końcu mówi:

– Zostań tam, gdzie stoisz.

Cisza.

Coś się dzieje. Coś w spojrzeniu tego dziecka do niej przemawia. Rozpoznaje to uczucie – z niektórymi dziewczynkami tak bywa. Coś znajomego.

Podjeżdża do niej na taborecie na kółkach.

– Odkryj prawe ramię.

Magda odwraca się i ostrożnie podciąga sweter, żeby się nie obnażyć.

Na widok siniaków Katja aż się wzdryga. Mała dokładnie zakrywa ramię, aby ukryć przed nią sine plamy na rękach i plecach.

Wyglądają na świeże.

Stara się nie dać po sobie poznać, jak bardzo nią to wstrząsnęło. Waha się, czy się odezwać, czy nie. Ostatecznie nie może się powstrzymać. Wskazując na wybroczynę w kształcie kwiatka na ramieniu, pyta:

– Jak to się stało?

– Uderzyłam się.

Katja podjeżdża na stołku do biurka, zakłada rękawiczki i kładzie przybory na tacy. Następnie wraca do Magdy, zwilża wacik płynem dezynfekującym i przeciera skórę. Czuje, że mała drży.

- Jak się uderzyłaś? – pyta, siląc się na spokój.
- Przewróciłam się na lodzie. Czy to już wszystko?
- Jeszcze chwilę.

Katja jest specjalistką w tej dziedzinie – w skłanianiu młodych dziewcząt do tego, aby się otworzyły, ale coś jej podpowiada, że tym razem się nie uda. Jest jasne jak słońce, że mała się jej nie zwierzy, a naciskanie na nią byłoby niewłaściwe.

Wbija igłę. Opróżnia strzykawkę. Przykleja plaster.

- Gotowe.
- Dziękuję.

Magda ubiera się i kieruje do wyjścia.

- Uważaj na siebie.
- Słucham?
- Żeby się znowu nie poślizgnąć.

Mała spuszcza wzrok i opuszcza gabinet.

Katja podchodzi do okna i odprowadza ją wzrokiem. Dziewczynka wkłada ręce do kieszeni i drepcze przez opustoszałe podwórko.

W pokoju nauczycielskim Katja trzyma się na uboczu. W kącie pałaszuje obiad, który przyniosła z domu, ze wszystkich sił starając się nie irytować prowadzonymi obok dyskusjami.

Zna te tematy z poprzednich miejsc pracy. Rutynowa krytyka ministerstwa edukacji i nowego planu nauczania. Do tego niekończące się analizowanie uczniów i ich rodzin. Zupełnie jakby jadła śniadanie u rodziców zaczytanych w dzienniku „Dagens Nyheter” i wygłaszających raz po raz swoje opinie.

Cóż, sama również zaprzęta sobie głowę pewną uczennicą i jej opiekunami.

Rozgląda się po pokoju.

Szuka osoby, która mogłaby jej pomóc, ale bez skutku, wstaje więc i wychodzi na korytarz. Wszędzie pałętają się dzieci, więc porusza się ostrożnie, żeby uniknąć stłuczki.

Zaraz koło biblioteki widzi znajome drzwi. Puka.

W tym momencie przychodzi jej do głowy, że psycholożka, do której sama chodziła, może tu jeszcze pracować. Nie ma nic przeciwko spotkaniu, ale nie jest w nastroju do streszczenia dwudziestu lat życia, co – jak sądzi – byłoby nie do uniknięcia.

- Proszę! – dobiega ze środka.

Katja otwiera drzwi i oddycha z ulgą: za biurkiem siedzi wysoka, grubsza kobieta w jej wieku.

Pomieszczenie jest mniejsze, niż zapamiętała, i oszczędniej urządzone. Biurko, dwa tapicerowane fotele i niewielka piaskownica.

Tego ostatniego elementu nie pamięta, więc przygląda mu się z zainteresowaniem.

W piasek są wetknięte plastikowe laleczki, którymi, jak się domyśla, bawią się dzieci.

Przedstawiają się sobie. Katja tłumaczy, że wpadła się tylko przywitać. Jest nową higienistką, z pewnością przyjdzie im w niektórych sprawach współpracować, na co psycholożka odpowiada, że to świetny pomysł.

- Usiądź, proszę.
- Dziękuję.
- Odnajdujesz się tutaj?
- Tak. Zaczynam się zaznajamiać z uczniami.
- Rozumiem.
- Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi czegoś o niektórych opowiedzieć.
- Oczywiście.



– Jest taka dziewczynka w piątej klasie, Magda Horn. Co wiesz na jej temat?

Lekarka mruży oczy.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic. Po prostu chcę poznać dzieciaki.

Kobieta wstaje i zamyka drzwi.

– Magda Horn. Zamknięta w sobie, typ samotniczki. Mieliśmy trochę problemów z rodzicami.

– Jak to?

Psycholożka ścisza głos.

– Rok temu wychowawczynie zaprosiła mnie na rozmowę ewaluacyjną. Ja, ona oraz rodzice Magdy. Ojciec zachowywał się bardzo agresywnie. Krzyczał i się odgrażał.

– Naprawdę?

– Nazywa się Martin Horn i chyba pracuje w branży wydawniczej. Poznałaś go?

– Nie.

To nie była cała prawda. Jako nastolatka widziała go z daleka na imprezie z okazji wydania jednej z książek ojca.

– Opowiedz mi o nim.

– Zorganizowałyśmy to spotkanie w zeszłym roku, ponieważ wyglądało na to, że mała nie czuje się tutaj dobrze. Tyle tylko, że do niego nic nie docierało. Walił pięścią w stół, był napastliwy.

– W jaki sposób?

– Nie pamiętam szczegółów, ale powiedzmy, że nie zdziwiłabym się, gdyby Magda pewnego dnia przyszła do szkoły posiniaczona.

Katja usiłuje sobie przypomnieć, czy ojciec nie wspomniał czegoś o młodym Hornie, ale nic jej nie przychodzi do głowy. Nagle pomysł, aby zajrzeć do niego po pracy, wydaje się całkiem na miejscu.

Idąc o zmroku do domu ojca, Katja, mimo wysiłków, nie może zapomnieć widoku posiniaczonej Magdy.

Chciałaby zrozumieć, dlaczego wstrząsnęło nią to tak bardzo.

Z jakiegoś powodu od samego początku z niechęcią odnosiła się do powrotu do Brommy. Przez incydent z Hornówną zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie.

Kto wie, czy to niezwykle poruszenie nie wynika z tego, że spędziła rok na pisaniu o sobie w jej wieku. A może to dlatego, że otrzymała właśnie zjadliwy list odmowny od mężczyzny, który najprawdopodobniej jest za te siniaki odpowiedzialny.

A może jest jeszcze głębszy powód?

Tego nie wie. Nie pamięta. O swoim dzieciństwie myśli wyłącznie obrazami. Dlatego napisała tomik poezji, a nie powieść.

Martin zachęcał ją do kopania głębiej, „odnalezienia sceny kluczowej”, lecz taka nie istnieje.

Mogłaby oczywiście zebrać garść wydarzeń i złożyć z nich jakąś historię, ale po co?

Już jako dziewczynka sceptycznie podchodziła do tezy, że osobowość jest wyłącznie produktem środowiska. Gdy jako „zdeprymowana” (tak określała ją mama) jedenastolatka zwróciła się do szkolnej psycholożki, modele teoretyczne przytaczane w tym ciasnym i dusznym pokoiku brzmiały banalnie, choć musi przyznać, że terapeutka spełniła inną ważną funkcję: jako pierwsza niezależna i dorosła osoba potwierdziła, że jej rodzice są egocentryczni.

Od ostatnich odwiedzin w domu rodzinnym musiały upłynąć co najmniej dwa lata. Tutejszy śnieg nie jest brudny, lecz biały. Przyprószone dachy willi i małe trawniki pokrywa

skrząca się biel. Idzie powoli, aby dokładnie przyjrzeć się okolicy. Wspomnienia wiążą ją z każdym domem, z każdym skrzyżowaniem, z każdym drzewem, a wszystko to razem wygląda piękniej, niż zapamiętała.

Chciałaby, aby Tom to zobaczył – na tę myśl czuje klucie w piersi. Jego nieobecność jest symboliczna.

Może powinna częściej tu być?

Do piętnastego roku życia prawie w ogóle nie jeździła do centrum Sztokholmu, chyba że od czasu do czasu z rodzicami do teatru Dramaten albo na jakąś demonstrację. To było oszałamiające: światła miasta po zmroku, połączone ozdoby w foyer, elegancko ubrani widzowie. Albo tłumy, hasła skandowane przez sfatygowane megafony, wspólnota w grupie.

W klubach i nocnej iluminacji zakochała się, kiedy jako nastolatka zaczęła wypuszczać się do miasta sama. W otoczeniu koleżanek czuła się nieustraszona i wolna. Uwielbiała jazdę metrem do stacji Centrum, siedzenie jakiemuś chłopcu na kolanach i pociąganie gorzkiego piwa. Do miasta, do ludzi takich jak ona, ku hordom nastolatków przelewających się przez Kungsträdgården albo Rålambshovsparken. Przez całe weekendy snuły się po nich. Przymierzały ubrania, podkładały żelki na wagę, spotykały się z chłopakami. Wciąż jeszcze potrafi przywołać to uczucie, kiedy po raz pierwszy weszła do przymierzalni w H&M... Te zapachy, muzykę sączącą się z głośników, tłumy na Drottninggatan. Czasami znowu czuje jak szesnastolatka, kiedy w przebieralni ocenia w lustrze swój biust i tyłek. Jasne, że „odbiło jej na punkcie seksu” (jak Tom ujął to na początku), gdy nagle zaczęła uchodzić za piękność. Trudno było się oprzeć zainteresowaniu, jakie wzbudzała, spojrzeniom chłopaków i dziewczyn. Brzydkie kaczątko wyrosło na najseksowniejszą dziewczynę na Plattan. To nic, że dłonie chłopców dotykały jej niezdarnie – pragnęli jej, wchodzili w kontakt fizyczny, co było podniecającym odkryciem.

Chyba to właśnie wtedy, mając piętnaście czy szesnaście lat, przestała postrzegać siebie jako outsiderkę. Spodobała jej się ta nowa osoba. Zachwycała się jej ciuchami i pewnością siebie.

Zapewne dlatego tak łatwo przychodziło jej pisanie, kiedy już się do tego zabrała. Nie zawracała sobie głowy pytaniem, czy to coś dobrego. Słowa po prostu płynęły, wypełniając jeden notatnik za drugim. Nosila przy sobie jakiś zeszyt bez przerwy, nawet do stołu didżejskiego, kiedy zaczęła mikсовать. Zaledwie w parę lat zebrała wystarczająco dużo materiału na debiutancki tomik.

Zatrzymuje się przed furtką, bierze głęboki oddech i naciska klamkę.

Tata siedzi w fotelu, spowity dymem. Odpala zapalniczkę i przykłada do fajki. Katja zna ten gest na pamięć.

Od śmierci matki trudno jej się przyzwyczaić do myśli, że on jest tą samą osobą, przy której się wychowywała. Rodzice stanowili jedność. Kiedy połowa tej jedności zniknęła, ojciec wydał jej się pusty.

Najpierw obowiązkowo streszczają sobie, co się ostatnio wydarzyło – niewiele – po czym Katja może wreszcie zapytać:

– Znasz Martina Horna?

– Tak, redagował przecież *Koniec niepewności*. Od wieków się z nim nie widziałem.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie jestem pewien, co jeszcze pamiętam.

– Postaraj się.

– Trudno powiedzieć... Bez wątplenia utalentowany, choć ma w sobie coś mrocznego.

Może to z powodu śmierci brata.

– Jego brat nie żyje?

– Tak, zginął, kiedy byli nastolatkami.

Ojciec znowu przypala gasnącą fajkę, wydmuchuje gęstą chmurę białego dymu i rzuca:

– Zabawne, że pytasz o Martina akurat dzisiaj.

– Dlaczego?

– Ponieważ nalegałem, żebyś przyjechała, bo *Koniec niepewności* czeka nowe wydanie i w związku z tym podejmę ostatnią próbę sprzedania praw za granicę.

Pochyla się po skoroszyt leżący na biurku. Gdy go podnosi, córka dostrzega, że bardzo opadł z sił. Trzęsące się dłonie zaciśnięte na segregatorze sprawiają, że przypomina kogoś, kto tonie i kurczowo trzyma się boi.

– Zbliżają się targi książki w Londynie. Gunnar zorganizował mi spotkanie z jednym z największych domów wydawniczych.

– Nie może sam pojechać?

– On już nie jeździ na targi, a młodzież z agencji twierdzi, że nie ma na to czasu. Chyba są zbyt zajęci sprzedawaniem kryminałów. W każdym razie Gunnar załatwił mi termin... Jak myślisz, dałabyś radę?

Katja zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nie wiem, jak to się robi...

– Chodzi tylko i wyłącznie o gest. O nawiązanie kontaktu. Wszystko, co musiałybyś zrobić, to tam pojechać i uścisnąć parę dłoni. Sam pokryłem koszty przekładu pierwszego rozdziału.

Katja nie wie już, czy przyjmować jego przesadną wiarę w międzynarodowy sukces piętnastoletniego gniota z podziwem czy z zażenowaniem.

– Słono zapłaciłem, ale tłumacz wykonał kawał dobrej roboty – ciągnie ojciec, podając jej plik kartek. Na pierwszej stronie widnieje tytuł: *The End of Uncertainty*.

Katja wertykuje tłumaczenie. Pamięta, jak nad tym pracował. Od chwili, w której doszedł do wniosku, że nadszedł kres niepewności, był w euforii. Rozpierała go energia, jakby był na haju. Jeszcze bardziej niedostępny niż zwykle.

Jako nastolatkę niewiele ją to obchodziło. Gorzej, kiedy była mała. W tamtych czasach widziała w książkach rodziców bezpośrednie zagrożenie. Przyrodnie rodzeństwo, z którym konkurowała o ich uwagę. Z drugiej strony, kiedy już były gotowe, pękała z dumy.

Niejednokrotnie bywało, że nauczyciele zaczynali dzień od pochwały artykułu w „Dagens Nyheter” autorstwa jej mamy czy taty. Mówili to ze szczególnym błyskiem w oku, patrząc na Katję, jak gdyby to ona napisała tekst. Dawało jej to ochronę przed mobbingiem, jakiej nie miały pozostałe dzieci. Ciągnęło się to również przez całe liceum. Belferki kazały jej zostawać po lekcjach tylko po to, żeby pokazać, że noszą w torebce książkę jej matki czy ojca i prosić o przekazanie rodzicom, że są genialni.

Ojciec trzeci raz zabiera się do przypalenia fajeczki, lecz dygoczące dłonie mu na to nie pozwalają. Naprawdę się postarzał.

Nagle Katja odkrywa inny powód tego, że sam nie może się wybrać do Londynu.

Bierze głęboki oddech, aby się przygotować na jego odpowiedź, a potem pyta:

– Dlaczego sam nie pojedziesz?

– Jestem chory. Nowotwór. Rak trzustki.

Patrzy na córkę, studiując jej reakcję.

Katja patrzy na niego i nagle ogarnia ją dawno zapomniane uczucie. Czyżby czułość, mimo wszystko?

Ojciec wstaje i znika w gabinecie, zamykając za sobą drzwi. Katję dobiega jego płacz. Ale nie taki zwyczajny. To atak paniki. Ze strachu przed śmiercią, jak przypuszcza. Czuje się dziwnie obojętna i usiłuje odgadnąć, dlaczego taka wiadomość nie wywołuje u niej większych

emocji. Może po prostu dlatego, że odbiera to jako prowokację. Życie nigdy nie doprowadziło go do łez – dlaczego roni je w obliczu śmierci?

Zostaje w salonie sama i uderza ją symbolika tej sceny. Dokładnie w tym miejscu zwykła czekać na niego jako dziewczynka, kiedy kończył artykuł albo pracował nad książką. Patrzy na siebie w różnym wieku: dziesięcio-, piętnasto-, siedemnasto- i trzydziestolatkę, siedzącą w fotelu, czekającą. Zawsze to ona czeka na niego.

Po chwili ojciec wraca do pokoju. Opanowany, bez śladu łez.

– No tak. A co poza tym słyhać? – pyta.

Jest jasne, że nie zamierza więcej mówić o raku. Robi to, co zwykle, to się nigdy nie zmieni.

– Dobrze. Świetnie.

Ojciec znów nabija fajkę. Wyraźnie zadowolony ze zmiany tematu.

W oczekiwaniu na taksówkę, która ma ją zawieźć na lotnisko, wygląda przez okno i wpatruje się w wyludnione ulice w zimowy poranek o siódmej rano. Zaczyna wątpić, czy słusznie postąpiła, godząc się na ten wyjazd.

Jaki jest właściwie jej plan?

Nawet nie ma pewności, czy on też tam będzie. A nawet jeśli, to czy ona naprawdę sobie wyobraża, że uda jej się wyczytać z jego oczu, czy znęca się nad dzieckiem, czy nie?

I co pocznie, jeśli uzna, że tak?

Nie ma pojęcia.

Mimo to coś każe jej jechać. Odszuka go i mu się przyjrzy, a potem – cóż, to nie jest jeszcze ostatecznie ustalone.

Do Toma chyba nie dociera, że wybiera się w podróż. Gapi się w ekran komputera, jak zwykle.

– Wychodzę – oświadcza, a on nagle wstaje z miejsca i obejmuje ją nadzwyczaj czule.

– Dlaczego nie zapytałaś, czy nie mam ochoty jechać?

Oswabada się z jego uścisku, wyjmuje lusterko i maluje usta. Chce zyskać na czasie, aby znaleźć wytłumaczenie, które dobrze zabrzmi.

Ale zwleka za długo i tym się zdradza.

Tom wzdycha.

– Po prostu chcę wyjechać i przemyśleć parę spraw. – Odwraca się i spogląda na niego.

Widzi, jak on kręci głową.

– Nie chcesz mieć ze mną dziecka, nie masz ochoty jechać ze mną do Londynu. Nie rozumiem, co się dzieje!

Nie wie, co ją podkusiło, ale odpowiada mu głośno i wyraźnie:

– Ani ja.

Natychmiast żałuje tych słów, choć jej zdaniem sam jest sobie winien. Skąd ona ma wiedzieć, jak funkcjonuje ludzka psychika? Przecież nie ona ją wymyśliła. I nie ma zamiaru posiłkować się teoriami, w które nie wierzy.

Słyhać, że podjechał samochód, więc Katja się podrywa.

– Muszę już iść.

– Zadzwoń.

– Dobrze.

Wychodzi. Na zewnątrz dopadają ją znajome wyrzuty sumienia, że tak go zostawiła, ale w sumie się cieszy, że uniknęła dalszego przepytywania.

W taksówce mimo wszystko żałuje, że tak się rozstali. Szkoda, że nie zdobyła się na większą szczerść. Przecież on nie wie, jak bardzo zasmuciła ją odmowa wydawnictwa ani jak

stresuje ją powrót do dawnej szkoły – nawet nie ma pojęcia o nowotworze jej ojca. Nie może oczekiwać od niego szczególnej troski, nie ma prawa.

Jest po prostu tym, kim zawsze był. Nigdy nie miał pretensji, aby zostać kimś innym niż marzycielem. Nie umie inaczej. Zatem pogardzanie nim za to, że buja w obłokach, byłoby małostkowe. W zasadzie nie zasługuje na to, aby go dręczyła. Taka prawda.

Za oknem pada deszcz ze śniegiem. Zostawia brudne marginesy wzdłuż autostrady.

Katja sięga po komórkę i widząc, że Tom nie wysłał żadnego SMS-a, czuje ukłucie. Ulgi? Smutku?

Wchodząc do hali lotniska, nie ma już wątpliwości, że podróż w pojedynkę była słusznym wyborem. Tęsknota za partnerem, która męczyła ją w samochodzie, zniknęła bez śladu. Teraz samotność oznacza swobodę. Może pokręcić się przy stoisku z prasą bez wyliczanki Toma, który z jego starych znajomych coś napisał i do którego dziennika. Może w ciszy i spokoju zjeść kanapkę z krewetkami bez relacji z polemicznych tweetów minionego dnia.

Kiedy poprosiła o nocleg w tak drogim hotelu, ojciec trochę się wahał, ale w końcu dał za wygraną. Taki ma sposób okazywania wdzięczności. Pokój mieści się na dwudziestym trzecim piętrze i cała dłuższa ściana jest przeszklona, z widokiem na Hyde Park.

Znów się zastanawia, co w nią wstąpiło. Co ona tu robi?

Rzuca torbę na podłogę i siada.

Panorama za oknem działa na nią uspokajająco.

Z dwunastokilometrowym polem widzenia łatwo wpaść w filozoficzny nastrój. Chyba już opanowała się na tyle, aby przeczytać książkę, którą – jakkolwiek patrzeć – przyjechała tu sprzedać.

Kładzie się do łóżka i zabiera do lektury.

*Koniec niepewności* okazuje się bardziej interesujący, niż przypuszczała, lecz nie ze względu na tezę, co do której nigdy nie była szczególnie przekonana, ale dlatego, że stanowi niespodziewanie intrygujący portret jej ojca.

Jednak w końcu nie wytrzymuje i odkłada wydruk. Za dużo kaznodziejskiego tonu. Chyba z przyzwyczajenia rozważa, czy zadzwonić do Toma, się ale powstrzymuje. Po co się dołować.

Wcześniej zapada w głęboki sen.

Rankiem bierze prysznic i spokojnie celebryje śniadanie w hotelowej jadalni na parterze. Później taksówką udaje się na spotkanie w hali targów.

Jest spóźniona, więc przemyka truchtem przez tłumy odwiedzających.

Z planem w dłoni znajduje drogę do stoiska brytyjskiego wydawcy, przedstawia się, po czym zostaje zaprowadzona do stolika.

Rozgląda się. Wokół odbywa się z tuzin spotkań i przelatuje jej przez myśl, że ma raczej marne szanse, aby oficyna skusiła się na dzieło jej ojca. Wielkie portrety na ścianie przedstawiają autorów kryminałów, z wszystkich okładek wзира mroczne tło z jakąś sylwetką w cieniu. Ludzie chcą zagadki morderstwa, są spragnieni tajemnicy, nie poradnika, który by im mówił, że wątpliwość jest iluzją.

Po pewnym czasie podchodzi do niej wydawca, Brytyjka koło czterdziestki, z naręczem segregatorów i papierzysek. Za nią podąża asystentka taszcząca co najmniej drugie tyle szpargałów. Redaktorka opada na krzesło i nakręca zegarek, jak gdyby włączała stoper. Potem zwraca się do Katji z przesadnie szerokim uśmiechem.

Stolik jest bardzo mały, siedzą więc nieprzyjemnie blisko siebie.

Kobieta mówi bardzo szybko:

– Przeczytaliśmy próbkę tłumaczenia, ale zanim podzielimy się naszą opinią, może

opowiesz w kilku słowach o książce?

Katja nie zgadza się z ani jednym słowem zawartym w dziele ojca, ale rozumie, że nie ma wyboru. Czas głośić tę osobliwą ewangelię taty. Oddycha więc głęboko i zabiera się do roboty. Mówi wszystko, w co sama nie wierzy: że *science is near its end station* i *we know almost everything there is to know* oraz *there are only minor discoveries left to discover*[5]. Sekretarka agentki robi notatki.

Gdy kończy perorować, wydawca kwituje cierpko:

– Brzmi to raczej negatywnie.

Po czym zapada cisza.

– Chyba w tym rzecz, jak sędzę – rzuca Katja po chwili kłopotliwego wyczekiwania.

– Obawiam się, że nie mamy już dziś więcej czasu. Mój kalendarz pęka w szwach.

Dziękuję pani za spotkanie – podsumowuje kobieta, zerkając na zegarek i wstając z krzesła. – Zastanowimy się i odezwiemy do pani.

Uścisk dłoni i już ich nie ma.

Katja czuje się skołowana wynikiem rozmowy i rozczarowana ze względu na ojca. Jednocześnie napięcie narastające przed spotkaniem opada i ogarnia ją lekka euforia. Postanawia pokręcić się po halach wystawowych, pozaglądać do książek i podelektować się samotnością.

W środku, co dziwne, czuć powiew świeżości. Fascynują ją zdjęcia autorów na ścianach. Dziesiątki tysięcy tytułów. „Czego to ludzie nie wymyślą?” – myśli w duchu. Z kubeczkiem kawy w dłoni przygląda się wszystkim tym wydawcom, pisarzom i odwiedzającym, którzy z zainteresowaniem wertują książki i angażują się w dyskusje. Być może w dziele ojca kryje się jakaś prawda. Dlaczego nie potrafimy zaakceptować życia takim, jakie jest? Dlaczego do przodu popycha nas ta szalona potrzeba poznania?

W drodze do wyjścia natyka się na zorganizowany przez niemieckie wydawnictwo pokaz filmu, który jest adaptacją książki o drugiej wojnie światowej. Wiedzioną instynktem wchodzi na seans.

Siada w pustawej sali i zaczyna oglądać. Szybko się wciąga w akcję, mimo że śledzi ją od połowy. Nie rozumie, dlaczego tak się tym wzrusza, bo filmowi naprawdę daleko do arcydzieła, a jednak w pewnym momencie zaczyna płakać. Była kapo z obozu próbuje ułożyć sobie życie na nowo na południu Francji. Dręczą ją wspomnienia z wojny. Siedząc na plaży, obserwuje męża kąpiącego się w morzu i rozważa, czy go nie zostawić. Mężczyzna jest prostym rolnikiem, którego ona zarówno kocha, jak i nienawidzi za jego niewinność. On nie wie, przez co przeszła podczas wojennej zawieruchy, ona zaś ma świadomość, że bez sensu byłoby mu to wszystko tłumaczyć. Właśnie bije się z myślami, czy go opuścić, ale ma wątpliwości: nie chce pozwolić, aby przeszłość krzywdziła ją jeszcze bardziej, a jednocześnie brak jej sił, aby się temu przeciwstawić.

Twarz tej kobiety, kiedy siedzi na plaży, porusza w Katji jakąś strunę. Jej reakcja jest fizjologiczna i nie do powstrzymania.

Nie przywykła do przesiadywania w ciemności sama. Oczywiście cieszy ją ta możliwość, dobrze jest się wypłakać. Słone, ciepłe łzy spływające po policzkach wprawiają ją w nostalgiczny nastrój, ale z drugiej strony odzywa się samotność. Nieznośna pojedynczość.

Jakiś głos w środku powtarza: „Nie pozostało jej już nic, co miałoby znaczenie”.

Zaszokowana nagłym wybuchem emocji wychodzi z sali. Wraca taksówką do hotelu przez okolicę pogrążającą się w zmierzchu.

W pokoju czuje się jak w bunkrze. Kładzie się na białej kołdrze. Czystość tego pomieszczenia jest dokładnie tym, czego potrzebuje. Bezosobowość, świeżość i chłód szarego wystroju pomagają jej dojść do siebie. Leżąc na łóżku, zastanawia się, czy można by wyposażyć

przestrzeń domową w takie bodźce jak tutaj. Jej mieszkanie zajmują Tom i jego bezczynność.

Dzwoni telefon. To ojciec.

– Jak poszło?

– Dobrze – odpowiada bez wahania.

Jeszcze w samolocie do Londynu postanowiła, że niezależnie od wyniku, przekaże mu dobre wiadomości. Nie ma powodu, aby zrzucić na niego ciężar odmowy, kiedy choruje.

– W porządku – kwituje ojciec głosem jeszcze bardziej matowym niż ostatnio.

Wzrusza się jego słabością, nadal ogłuszona własną reakcją podczas seansu. Nie chorobą, lecz niezdolnością do okazywania wdzięczności. Posiadanie tak wąskich kanałów emocjonalnych musi kosztować sporo energii.

– To w porządku – powtarza ojciec.

Katja przez sekundę odnosi wrażenie, że dobre wieści ostatecznie skłonią go do poddania się, że przestanie walczyć i umrze pogodzony, wierząc, że sprzeda swoje dzieło za granicą.

– Jak się czujesz? – pyta.

Ale on już odłożył słuchawkę.

Wstaje i podchodzi do okna. Chłonie miasto, światła zapalających się lamp.

Ten widok coś w niej porusza.

Trochę dla zabawy ubiera się ładnie i wyjątkowo zakłada kolczyki.

Podoba jej się własne odbicie w lustrze. Nadal jest zadowolona ze swojego ciała i ta myśl wprawia ją w dobry nastrój. Zwykle nie grzeszy pewnością siebie, ale za wygląd może być wdzięczna.

Około dwudziestej pierwszej wchodzi do baru. Jest mały, ciemnawy i wypełniony głuchym szumem biznesmeńskich kolacji.

Właśnie tego jej potrzeba.

Usadawia się przy kontuarze i zamawia dżin z tonikiem.

I wtedy go dostrzega.

Nie jest pewna, czy ją pamięta z imprezy, na której lata temu się widzieli. Niewiele się zmienił. Przybyło mu parę kilogramów, ale w ciemnym garniturze nadal prezentuje się niczego sobie.

Przeszkadza jej, że jest taki przystojny. To niesprawiedliwe, aby natura nagradzała kogoś tak okropnego.

Patrzy w jej stronę, może ją rozpoznał?

Uśmiecha się, co ona przyjmuje z zakłopotaniem. Świdruje ją oczami, przez co ona czuje się w tym barze naga i bez możliwości ucieczki.

Czy wie, kim ona jest? Czyżby stąd to spojrzenie i ten uśmiech? Czy zdaje sobie sprawę z tego, że napisała tomik poezji, który w styczniu odrzucił? Czy skojarzył ją z jej ojcem albo zauważył w szkole, kiedy odprowadzał Magdę?

Żałuje, że przyjechała. Chyba wypłynęła za daleko od brzegu. Obcy kraj, nieprzemyślany plan, facet potencjalnie znęcający się nad córką, za którym przyleciała do Londynu. W co ona się pakuje?

Wreszcie do niej podchodzi.

Szeptuje coś po angielsku. Numer pokoju.

Katja może odetchnąć.

Nie ma pojęcia, kim jest.

Z wielu powodów nie podaje mu swojego prawdziwego nazwiska. Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie ma ochoty rozmawiać o swoich wierszach. Nie po to się tu znalazła. Po drugie, uważa, że prędzej się otworzy, nie wiedząc o ich powiązaniach.

Kiedy pyta ją, czy poszłaby z nim do pokoju, twierdząco kiwa głową.  
Dopiero w windzie zdaje sobie sprawę, na jakie ryzyko się naraża.  
Przecież nie ma o nim bladego pojęcia, nie licząc podejrzenia, że bije córkę. Jeśli zechce czegoś spróbować, niewątpliwie będzie zdana na jego łaskę.

Mimo to postanawia, że się nie cofnie.

Martin nalewa drinki z minibaru. Katja siada na fotelu w kącie pokoju i stara się wyglądać na rozluźnioną.

– Nie wiedziałem, że jesteś Szwedką.

Nie odpowiada.

– Co cię sprowadza na targi? – ciągnie Martin.

– Zrelaksujmy się i nie rozmawiajmy o pracy. Podoba mi się, że nic o sobie nie wiemy.

– Spoko – uśmiecha się i siada na kanapie. – Taka zabawa.

– Nie, po prostu wydaje mi się, że to może być interesujące.

– Okej, niech będzie. Bez nazwisk.

– Dobrze.

– Jestem wydawcą.

No tak, dziesięć sekund udało mu się pozostać anonimowym.

– Na zdrowie!

Katja unosi kieliszek w jego stronę.

Piją.

– O czym będziemy rozmawiać, jeśli nie o sobie?

– Sam zdecyduj.

Długo jej się przygląda.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznaje wreszcie.

– To nie mów nic.

Martin pociąga łyżek whisky.

– Nie chcę, żeby panowała cisza.

W jego głosie słychać szczyry strach. Jego oczy wydają się wilgotne.

– Źle się czujesz? – pyta Katja.

Kręci głową bez słowa. Siada na brzegu łóżka i chowa twarz w dłoniach.

– Coś cię gryzie?

Długa pauza. A potem szept:

– Moja córka.

W tym momencie powietrze z niego uchodzi. Opada na pościel.

Katja czuje, jak serce bije jej w piersi. Pochyliła się ku niemu i nasłuchuje. Jednocześnie obawia się słów, które padną. Nie jest już taka pewna, czy chce usłyszeć to wyznanie.

Z oddali dobiega odgłos policyjnej syreny.

Martin zastyga na łóżku w bezruchu, wpatrzony w sufit. Długo się nie odzywa.

– Zrobiłem coś głupiego – wyznaje wreszcie.



## Åsa

styczeń–luty 2011

Zapada już zmrok, kiedy Åsa kończy przeglądać karty pacjentów.

Siedzi przez chwilę przy zgaszonym świetle, aby dojść do siebie.

Wzbiera w niej rozczarowanie – przygotowuje się, by dać mu odpór. Ciemność się zagęszcza i zalewa pokój, trzeba zapalić lampę. Choć nabrała już wprawy w powstrzymywanie ataków paniki, dzisiaj z trudem jej to przychodzi.

Naprawdę liczyła, że ten trop dokąds ją doprowadzi, że w tych papierzyskach jest jakaś informacja wskazująca kierunek poszukiwań.

Owszem, doszukała się przynajmniej trzech osób, które w jej mniemaniu były na tyle niestabilne, aby – teoretycznie – skrzywdzić dziecko, jednak nadal brakowało konkretnych dowodów.

Poza tym, przystępując do tej lektury, nie myślała trzeźwo.

A to dlatego, że każda kolejna notka zastępującego ją kolegi irytowała ją coraz bardziej.

Bardzo swobodnie postępował z chorymi – z j e j pacjentami. Wyglądało na to, że podczas jej nieobecności przepisywał im końskie dawki leków i stawiał diagnozy na lewo i prawo. Aż się w niej zagotowało.

Zszokowała ją odkrycie, że niemal we wszystkich przypadkach bez mrugnięcia okiem zakwestionował jej orzeczenia. Jeden chory cierpiał „najprawdopodobniej na autyzm”, drugi „chyba na ADHD wieku dorosłego”.

Tętno jej skacze, idzie więc do łazienki, aby ochłonać. Opłukując nadgarstki zimną wodą – ten odruch pozostał jej z czasów szkolnych: robiła to zawsze przed egzaminami, żeby się uspokoić – czuje, że wraca na ziemię, zaskoczona skalą wściekłości, jaka trawiła ją przez cały dzień. Nie jest pewna, czy to, że odzywają się w niej jakieś uczucia, wróży dobrze czy źle.

Otwiera okno. Świeży chłód wypełnia pomieszczenie. Ktoś pali ognisko, rozpoznaje woń smoły i dymu.

Obserwując, jak ciemność z wolna, ale zdecydowanie rozciąga się nad sąsiednimi willami, Åsa stara się przyjąć swój gniew jak coś pozytywnego, ale nie jest to łatwe. Kiedy otrząsa się z myślenia o czymś, co na parę minut kazało jej zapomnieć o Magdzie, zalewa ją fala wstydu, że zainteresowała się jakąś blahostką, kiedy dziecko potrzebuje jej skupienia i pomocy.

Wraca do pokoju, w którym na biurku zostawiła dokumentację chorych, i długo wpatruje się w nią, stojąc bez ruchu.

Zamierza tak tkwić, dopóki czegoś nie wymyśli.

I słusznie.

Po chwili dochodzi do wniosku, że jej zastępca – pomijając to, jak niepoważny – powinien być lepszym źródłem informacji niż karty pacjentów.

Martin wraca do domu o jedenastej, po kolacji z jakimś autorem, i natychmiast kładzie się spać. Åsa nie zagląda do niego nawet po to, aby się przywitać. Dalej przesiaduje w gabinecie i na stronie [www.svaren.se](http://www.svaren.se) wyszukuje posty na temat Pera-Olofa Lindströma.

Jest od niej dwa lata starszy. Psycholog i lekarz zatrudniony wcześniej w Szpitalu Uniwersyteckim w Uppsali. Nie ma zdjęcia. Dokopuje się za to do jego artykułu w branżowym czasopiśmie „Läkartidningen”, w którym żarliwie broni farmakologicznego leczenia dzieci z ADHD. Zarzuca czytanie, aby się znowu nie denerwować.

Artykuł opatrzony jest zdjęciem i Åsa natychmiast sobie przypomina, kto to taki.

Zna go. Pera-Olofa nazywano na wydziale psychiatrycznym Peo.

Nie uchodzi jej uwagi, że całkiem niezłe się trzyma. Blond włosy, wyraziste brwi, uśmiech wyrażający spokój i pewność siebie. Kilkudniowy zarost tu i ówdzie przyprószony siwizną. Długo wpatruje się w fotografię, a nienawiść do niego ulatuje z niej, w miarę jak powracają wspomnienia.

Już jako dwudziestolatek Peo był d o r o s ł y. Niektórym kolegom z roku działało to oczywiście na nerwy, szczególnie te jego głośne wypowiedzi na temat konieczności zreformowania opieki psychiatrycznej, uważali je bowiem za podlizywanie się wykładowcom. Jednak ona wiedziała, że jego zaangażowanie jest szczere, ponieważ oboje mieszkali na Gärdet i często jeździli razem autobusem. Słuchając jego opinii w stylu „społeczeństwo zaniedbuje chorych psychicznie”, doszła do wniosku, że ma on sporą skłonność do przesady. Ona sama, podobnie jak większość studentów z jej roku, wybrała psychologię z pobudek osobistych. Peo był chyba jedyną osobą na wydziale naprawdę zaangażowaną politycznie, kiedy z iskrą w oku wygłaszał swoje przemowy na tyłach autobusu, który wieczorami przedzierał się przez miasto. Budził jej zazdrość i podziw. To, że godził studia psychiatryczne z psychologicznymi, przydawało mu aury tajemniczości, po części dlatego, że najwyraźniej udawało mu się podolać podwójnemu obciążeniu. Z drugiej strony zawsze miał przewagę w dyskusjach, w których neurologiczne uzasadnienie okazywało się pomocne.

Za jej plecami odzywa się głos:

– Co robisz?

Åsa pośpiesznie opuszcza ekran laptopa, co prowokuje Martina do dalszych pytań.

– Jakies tajemnice?

Czuje, że jej policzki oblewają się rumieńcem, pochyla się więc nad biurkiem, udając, że sortuje papiery w szufladach.

– Po prostu przygotowuję się do powrotu do pracy.

Podchodzi i kładzie jej dłonie na ramionach.

Ona wysila się, aby przyjąć tę bliskość.

– Chodź spać – prosi czule mąż.

Wyczuwa od niego woń alkoholu i oddycha z ulgą. Robi się sentymentalny, kiedy pije.

– Za chwilę do ciebie dołączę – odpowiada.

Martin wzdycha i wychodzi.

Słyszając, że się położył, ponownie otwiera laptopa i spogląda Peo w oczy.

Jeszcze niedawno miała ochotę pociągnąć go do odpowiedzialności, ale gdy już wie, że to on, trudniej jest go nie lubić. To znajomy. Rozumie, skąd się bierze jego zamiłowanie do rozwiązań farmakologicznych.

Kto wie, czy nie pomoże jej zidentyfikować pacjentów, na których powinna się skoncentrować, oczywiście o ile uda jej się zapanować nad własną irytacją.

Nie jest to jednak takie proste. Wciąż jeszcze czuje się ogłuszona kategorycznością wykrykników w jego notatkach.

Staje się dla niej jasne, dlaczego szef był jej zastępcą tak zachwycony.

Lars, populistą.

Wie, że uważa się ją za nienowoczesną, ponieważ dobrowolnie wybiera trudniejsze rozwiązania. I nawet to jest najwidoczniej zagadnieniem klasowym. Wszyscy z rozpieszczonej klasy wyższej: Peo, Lars, Martin. Gdziekolwiek spojrzeć, stale ją otaczają – mężczyźni z prestiżem. Ależ by się tatuś ucieszył, nieszczęśliwie zakochany we wszystkich klasach, z wyjątkiem własnej.

Zerka na jego zdjęcie na ścianie.

Cokolwiek by powiedzieć, miał charakter. Jaki był, wiadomo. Stary prawicowiec. Najbiedniejszy obrońca praw mieszczańskich w kraju. Kogo próbował oszukać? Bankrutujący dostawca papieru z Alby. Musiał poczuć się silny, kiedy z pochodnią w dłoni skandował na Drottninggatan hasła przeciwko zniechęconemu Palmemu. Wychowała się na tej jego zgniłej pogardzie politycznej. Wcześniej się zorientowała, że konieczna jest amputacja – musiała usunąć ze swojego życia zarówno mamę, jak i tatę. I zrobiła to w wieku dwudziestu czterech lat, czysto i profesjonalnie, po terapii. A potem poszła dalej. W przeciwieństwie do Martina, który niemal hobbystycznie pieklił się na ojca. Taka luksusowa rozrywka inteligenckiej klasy wyższej: długo i rozwlekłe burzyć się przeciwko rodzicom, mając tym samym pożywkę do samoumartwiania na całe dekady.

Ona odcięła się szybko i nieodwołalnie, we właściwym momencie. Już jako dziecko rozumiała, że mało ich łączy.

Po śmierci obojga rodziców w odstępnie zaledwie pół roku przeszły z Karin, jej siostrą, przez pudła na strychu ich domu. W kartonach zalegały głównie śmieci, ale w tych za sofą znalazły wreszcie coś interesującego: segregatory i różne papiery. Większość należała do ojca, który w typowo męski sposób zbierał wszystko dla potomnych.

Na ich widok Karin pokręciła głową i wróciła do kuchni, by zwinąć kolejny serwis, podczas gdy Åsa zajrzała do środka ciekawa, czy nie skrywają jakichś nowych informacji o staruszku. To, co znalazła, potwierdziło tylko jej dotychczasową wiedzę: setki niedokończonych artykułów polemicznych, pełno wersji roboczych, nic skończonego. Abstrakcyjny gniew, z którego nie można ulepić przekonujących argumentów, a już tym bardziej przedzierzgnąć go w tekst prasowy.

Oraz, rzecz jasna, tuziny skrzynek z materiałami o morderstwie Palmego. Przez lata próbował rozwiązać tę zagadkę i zgromadził gigantyczne archiwum wycinków z gazet oraz transkrypcji z przesłuchań. Klęcząc na stryszku i kartkując to wszystko, nie mogła się zdecydować, czy uznać to prywatne dochodzenie za projekt chory czy też godny podziwu. Było coś szalonego w jego podejściu: na serio wierzył, że ma szansę rozwikłać tę sprawę, skupiając się na analizie szczegółów dochodzenia publikowanych w mediach. „To jest tak, że dokładasz kolejny element układanki i sprawdzasz, których jeszcze brakuje” – tłumaczył jej pewnego razu, kiedy zastała go przed mozaiką wycinków prasowych na wielkiej tablicy. Z drugiej strony chyba jej imponowało, że w odróżnieniu od swoich rówieśników próbował, że walczył i z tą ambicją bez granic głowił się nad rozwiązaniem prawdziwej tajemnicy zamiast krzyżówki.

Psycholożka, do której uczęszczała w latach dziewięćdziesiątych, podczas studiów, przekopywała się oczywiście przez to zagadnienie.

– Podobnie jak ojciec nie potrafisz zaakceptować, że na niektóre pytania nie ma odpowiedzi, prawda? – zagadnęła, na co Åsa błyskawicznie odpowiedziała:

– To znaczy na które?

Terapeutka nie potrafiła sprecyzować.

Åsa zawsze wyprzedzała ją o krok i w mig się zorientowała, co kobieta stara się jej uświadomić: że jej zamiłowanie do modeli psychologicznych wynika ze zmienności jej matki i ojca.

Pozwoliła jej mówić. Znała przecież właściwą odpowiedź. To nie impulsywność rodziców popchnęła ją ku psychologii, lecz ich bezradność. Chciała pomagać takim jak oni. Nie konkretnie im, oni muszą radzić sobie sami. Dla nich było już za późno. Ale tym, dla których istniała jeszcze nadzieja.

Tak to przynajmniej tłumaczyła, kiedy ktoś pytał.

Wychodzi do łazienki.

Kolejny raz przystaje przed lustrem.

Często jej się to zdarza: zatrzymać się i tak tkwić, jakby mogła wyczytać odpowiedź z własnych oczu.

Przyglądając się teraz swojemu odbiciu, myśli o Peo. Zastanawia się, jak by ocenił jej wygląd.

W minionych latach sporadycznie sobie wyobrażała, co by było, gdyby się z nim spotkała. Zupełnie niewinna fantazja, która łaskocze, ponieważ jest tylko fantazją. Teraz się denerwuje, że może go jednak wreszcie zobaczyć, mimo wszystko. Nurtuje ją, czy uzna, że się postarzała.

Zdaje sobie sprawę z tego, że przez ten rok straciła na wadze. Właściwie nie ma co na siebie włożyć, a nowych ubrań nie kupi. Zapomniała już, jak to się robi.

Nie może na siebie patrzeć. Wychodzi z łazienki.

Szuka w domu takiego miejsca, które zapewni jej spokój, ale to nie takie proste. Każde pomieszczenie wypełniają wspomnienia, stąd też pogoń za neutralną przestrzenią, gdzie mogłaby odetchnąć, nie ma sensu.

Ostatecznie opada na krzesło w przedpokoju, licząc na to, że tutaj zagłuszy myśli.

Jednak zdarzenia z przeszłości szybko dają o sobie znać.

Zaskakuje ją obraz – szlochający Martin tydzień po zaginięciu osuwa się na dywan.

Rzadko wraca do okresu, kiedy ich oboje uznano za podejrzanych i poddawano wielogodzinnym przesłuchaniom, po czym ją puścili wolno i skoncentrowali się tylko na nim.

Oczyrna pamięć widzi, jak Martin mocuje się z zamkiem, ten jeden raz zapłakany, zaraz po tym, jak wreszcie udało mu się wyrzucić rozwrzeszczanych dziennikarzy za drzwi i zamknąć je za nimi na klucz.

I jak opada na wycieraczkę, mały, samotny, opuszczony i zalany łzami, podczas gdy ci na zewnątrz nie przestają się dobijać.

Widzi też siebie na balkonie – spogląda w dół na dziennikarskie sępy krążące po ulicy. Oni wszyscy próbowali zrozumieć, co ona czuje. Zależało im. Opinia społeczna wydała już wyrok na nią i Martina. Internet aż roił się od postów komentujących jej chłód. Ponad dwa tysiące wpisów na YouTube pod filmem, w którym apelowała do porywacza, a wszystkie podobne: tak zimna kobieta musi być winna.

Co za ironia losu, że padła ofiarą znajomości tematu. Nikt poza mężem i policją nie miał pojęcia, że ich wystąpienie zostało pieczołowicie wyreżyserowane. Znała przecież sytuację bardzo dobrze, przynajmniej w teorii – na uniwersytecie napisała nawet pracę o psychopatii – miała więc świadomość, jak istotne jest, aby krótko po porwaniu powściągnąć emocje i nie prowokować sprawcy do pochopnego działania. Jej chłód był wyrachowany.

Idzie na górę do sypialni.

Martin zasnął na wznak, kołdra osunęła się na bok.

Stracił na wadze. Ma teraz sylwetkę jak wtedy, kiedy się poznali. Jego klatka piersiowa znowu prezentuje się pięknie. Tylko on potrafi tak wyglądać nago.

Zrzuca ubranie i kładzie się obok. Pogrążony we śnie przewraca się i całym ciężarem łąduje na niej. I wtedy coś się dzieje. Jego ciało staje się ciałem mężczyzny. Åsa czuje coś jakby podniecenie. Postanawia się upewnić. Ostrożnie przywiera do męża, dociskając jego biodra do swoich. On budzi się i orientuje w sytuacji. Jednak kołdra stanowi przeszkodę i ona pod jego dotykiem czuje się nieswojo. W ciemności poruszają się niezdarnie, szukając siebie nawzajem, lecz ich ciała nie pasują do siebie.

Wreszcie Åsa wstaje i wychodzi do łazienki.

Martin, najbliższa jej osoba, zostaje w sypialni sam. Martin, najbliższa jej osoba, z którą

nie potrafi się już porozumieć, czeka w pokoju, kiedy ona naga przed lustrem zastanawia się, czy zdołają jeszcze rozbudzić swoje życie erotyczne.

Po każdym stosunku ma wrażenie, że popełniła błąd. W trakcie jest bezbronna i obnażają się jej wszystkie lęki. Otrząśnięcie się z tego zajmuje nawet kilka dni.

Martin nigdy nie pyta, dlaczego ani jak to dalej będzie.

Ona też nie.

Czeka teraz w toalecie przy zgaszonym świetle, obserwując przez okno przejeżdżające samochody.

Próbuje sobie przypomnieć Martina, jaki był przed zaginięciem Magdy, ale to jak zwykle trudne.

W ostatnich latach stawał się coraz bardziej zmęczony, tego jest pewna. Zupełnie inny, niż kiedy się poznali.

Pewnego razu zagadnęła o to, oznajmiając, że go nie poznaje.

Dwudziestoosmioletni Martin słuchał tego, co miała do powiedzenia, i lubił toczyć dyskusje. Jako czterdziestopięciolatek ociężałe przytakiwał skinieniem głowy i przyznawał jej rację.

Pamięta, jaki był na początku. Romantyczny. Niezaprzeczenie zagubiony, ale czarujący w tym swoim dążeniu do przypodobania się autorytetom. Dorastanie u boku dominującego ojca mocno go naznaczyło. Åsa do dziś pamięta jego minę, gdy wracał do domu po niezwykle udanym dniu w pracy. Kiedy wpadł na sposób, jak uratować niechlujnie napisaną powieść, miał błysk w oku, zmieniał mu się głos. Chaos pod kontrolą.

Z czasem ten jego głód zaczął zanikać. W pewnym sensie na szczęście – zmęczyła się nieco tym naiwnym romantyzmem – ale z drugiej strony trudno było patrzeć, jak to światło gaśnie.

Jeszcze w 2005 czy 2006 roku emanowała z niego jakaś figlarność. A potem poszło jak z górki. Usztywnił się, przestał opowiadać, co się wydarzyło w biurze, zapuścił brodę i wyhodował brzuszek. Coraz mniej interesował się seksem, czym oczywiście dopiekl jej do żywego.

Z wolna, lecz nieuchronnie wspomnienia ich wspólnych początków stawały się serią odległych obrazów – jak kadry z filmu. Sporadycznie tylko ożywały w pamięci intensywne i wzruszające, rozbłyskały feerią kolorów, a po chwili znów blakły.

Zwykle przywołuje w pamięci pierwsze wspólne miesiące, noce w jej mieszkaniu, gdzie nie przepuszczali żadnej okazji, by pokotłować się w pościeli. Budzili się w środku nocy, pałaszowali kanapki z serem i nienasytzeni zakopywali się pod kołdrą. W weekendy wstawali późnym popołudniem i szli na długi spacer. Spotykali się z przyjaciółmi – na brunchach i pogaduszkach o niczym. Także towarzysko bardziej się udzielali. Ich wspólny świat był wyraziście i zgodnie wytyczony przez znajomych i ulubione restauracje.

Zamyka oczy i pozwala przeszłości zawładnąć sobą. Dopiero co się poznali. Martin jest młody i żądny przygód, całuje jej piersi. Przewraca ją na brzuch, szepcząc, że jest piękna i że nie doświadczył dotąd niczego podobnego.

Wtem coś jej przerywa. Jakby Magda nagle znalazła się z nią w tej łazience.

Pochyla się nad umywalką i obmywa twarz zimną wodą.

Do urodzin córki pozostało czterdzieści osiem godzin, dlatego cały dzień zalega w łóżku przy zaciągniętych zasłonach. Nie ma zamiaru wychodzić z domu. Boi się, chce się ukryć. Wyjmuje dwa albumy, kładzie obok siebie na pościeli, ale ich nie otwiera. Zasypia około dwunastej, ale mniej więcej o drugiej z drzemki wrywa ją okno otwarte podmuchem wiatru. Jest zimno. Pokój zalewa światło. Åsa leży odkryta, bo wykopała się spod kołdry. Nie czuje własnego ciała, jakby należało do kogoś innego. Sięga po sznur rolety. Później siedzi w ciemności,

z nogami przyciągniętymi do mostka i wzrokiem utkwionym przed siebie. Czy Magda pamięta o tej dacie? A jeśli tak, to czy zwierzy się sprawcy, że ma urodziny. Czy będą je świętować?

To okropne tak myśleć – wyobrażać sobie ich codzienność. Magdy i porywacza. Stara się tego unikać, ale czasami się poddaje. Jej misja tego wymaga.

Siada na łóżku i wraca do dawnego pomysłu. W przededniu urodzin córki ktoś w Brommie może zachowywać się inaczej niż zwykle. Kto wie, czy nie kupi tortu, baloników i prezentu. Szansa jedna na tysiąc. Setki dzieci w okolicy świętują tego samego dnia i skąd ma wiedzieć, którego nabywcę ciasta powinna podejrzewać? Nie można ich przecież legitymować za drałowanie po tort z przybraniem z zielonego marcepanu.

No ale szansa jedna na tysiąc też jest szansą. Åsa zamiera w bezruchu, maksymalnie skupiona, analizując po kolei różne plany postępowania. Mogłaby stanąć na czatach pod cukiernią albo sklepem z zabawkami i wypatrywać samotnika na zakupach, który wybierze coś odpowiedniego dla jedenastoletniej dziewczynki. Albo... Nie, Magda nie kończy jedenastu, ale dwanaście lat. Upłynęło już osiem miesięcy. Sięga po buteleczkę z walerianą i dwadzieścia minut później wypływa na ciepłe i mroczne wody snu. Godzinami unosi się na nich, odpływając myślami coraz dalej.

Gdy Martin wyrывa ją z drzemki, na dworze panuje już zmrok. Ujmuje jej twarz w dłonie i głaszcze po włosach.

– Nie możesz tak tego ciągnąć – szepcze. – Załatwię ci trochę prawdziwych leków, co?  
Åsa nie odpowiada.

– Jutro wezmę wolne... – mówi mąż.

– Dobrze – przytakuje i znów zapada w sen.

Śni, płacze. Płacze, śni.

Budzi się o świcie.

Spogląda na szparę między roletą a ścianą. Słyszy szum wiatru.

Martin śpi. Åsa siada w pościeli.

Wyraźnie wyczuwa to ssanie. Nigdy dotąd nie było tak wyraźne. Musi tu gdzieś być, najwyraźniej w pobliżu. Dziura jako środek wszechświata, która połknęła wszystko i która robi to bez przerwy, lecz mimo swej mocy pozostaje niewidoczna. Przez dłuższy czas tkwi na brzegu łóżka, odbierając przyciąganie tej próżni, próbując zidentyfikować, skąd pochodzi, ale bezskutecznie. Zgaduje, że spędziła tak dwie godziny, ale równie dobrze mogły upłynąć trzy lub cztery, bo nagle jest rano i Martin wstaje.

Spogląda na zegar, uznaje, że nadeszła już odpowiednia pora. Kiedy mąż bierze prysznic, telefonuje do inspektora Rotha. Wie, że on wcześniej zaczyna pracę. Dzwoniła do niego ponad dwa tygodnie temu w sprawie tej furgonetki, która rzuciła jej się w oczy. Opowiada mu teraz o swoim planie: należy obdzwonić dziś wszystkie cukiernie w Brommie i poprosić o zwrócenie uwagi na zamówienia tortu z dedykacją dla Magdaleny albo Magdy. A właściwie dlaczego nie sprawdzić wszystkich z napisem „12 lat”? Albo może należałoby objąć poszukiwaniami cały zachodni Sztokholm?

Mężczyzna zachowuje się, jak to mówią, profesjonalnie i obiecuje się nad tym zastanowić, ale po jego głosie Åsa poznaje, że nie zamierza nigdzie dzwonić. I że nie podejmie żadnej innej znaczącej akcji, bo przecież jest przekonany, że znalazł już winowajcę, i koncentruje się tylko na gromadzeniu dowodów wystarczających do postawienia mu zarzutów.

Gdy tylko Martin wychodzi do pracy, ona wraca do gabinetu.

Peo odpowiedział na jej wiadomość.

Pisze, że chętnie się z nią zobaczy, dlatego Åsa w oczekiwaniu na spotkanie – aby odsunąć od siebie myśli o urodzinach – ponownie wertuje karty pacjentów. Poukładała je

w teczkach i opisała okładki nazwiskami chorych.

Pierwsza należy do Emilie Ask, lat trzydzieści cztery, która po śmierci córki na białaczkę w 2002 roku długo i opornie dochodziła do siebie. Podczas sesji potrafiła robić nagłe i bardzo osobiste wycieczki pod adresem terapeutki.

– Co ty wiesz? Twoja córka ma dopiero cztery lata! – prychnęła pewnego razu.

Albo:

– Za kogo ty się właściwie masz, że się odzywasz. Pewnie nigdy w życiu nie miałaś doła!

Nie tyle odpowiedzi jako takie – to normalne, że pacjenci odbierali psychologa jako zagrożenie i przechodzili do werbalnego ataku – ile raczej nienawiść w jej oczach, niespotykana u innych, przyprawia ją o dreszcze na samo wspomnienie.

Na ostatniej stronie historii choroby Emilie znajduje karteczkę z uwagą, pewnie autorstwa Peo, i szybko zamyka teczkę, aby tego nie czytać. Mimo to kątem oka dostrzega, że zakwestionował jej opinię.

Z całych sił stara się nie poczuć zraniona. Wie, że niejednej osobie pomogła. Widziała to w ich spojrzeniach. „Tego się nie da z niczym pomylić” – przekonuje się w myślach. Tego momentu, w którym po latach poszukiwań pacjent dociera do siebie. Widywała to już i rozpoznaje sygnały. Sylwetka prostuje się, a twarz rozświecila, gdy wieloletne wysiłki zaczynają procentować i chorzy mają odwagę się obnażyć. Uwielbiała obserwować, jak opada maska i pacjent doznaje ozdrowienia.

Podbudowana zagląda do następnejteczki.

Christina Eklind, lat czterdzieści cztery, dwukrotnie przywieziona na oddział psychiatryczny, niezwykle małomówna.

Liczne nawroty głębokiej depresji, które przechodziła jako dwudziesto- oraz trzydziestolatka.

Pamięta twarz tej kobiety. Pustka w oczach i smutek. Przypomina sobie, co odpowiedziała na jednej z ostatnich sesji przed zaginięciem Magdy, gdy miała sobie wyobrazić życie, jakiego pragnie. Åsa często uciekała się do tej techniki, aby precyzyjnie określić terapię i jej cele. Usłyszała wtedy:

– Może twoje. Powinnam chyba wieść twoje życie.

Zwróciła wówczas Christinie uwagę, że przecież ona nie ma pojęcia o jej codzienności i że nie mogłaby wieść jej życia, bo są dwiema różnymi osobami, lecz na nic się to zdało.

Pacjentka powtórzyła:

– Masz to, czego ja pragnę.

Czyżby Christina coś o niej wiedziała? A może miała po prostu bujną wyobraźnię? To, że pacjenci projektowali na nią marzenia i plany, nie było niczym niezwykłym, ale ta kobieta wpatrywała się w Åsę tak twardo, że aż nieprzyjemnie.

Próbowała jej pomóc w przepracowaniu przeszłości, sięgając do czasów dzieciństwa, ale kobieta zachowywała sekrety dla siebie i odmawiała współpracy. Na drodze do odpędzenia traumy, której nigdy nie udało jej się zwerbalizować, piętrzyły się przeszkody nie do pokonania.

Gdzie teraz jest Christina?

Zagląda do dokumentacji, ale nie znajduje tam żadnych zapisków swojego zastępcy. Ostatni zostawiła ona sama, 25 kwietnia 2010 roku: „Tel. pac. o 9:30 z atakiem paniki. Prośba o diazepam. Odrzucona. Zaprop. Atarax”.

Zamyka teczkę i wpisuje Christinę na listę podejrzanych, o których musi pomówić z Peo. Ocieężała nie rusza się z krzesła.

Mimo że przeglądanie kart trwało jedynie kwadrans, czuje się zupełnie wyczerpana. Odzwyczała się od takiego wysiłku. Poza tym zbliżają się urodziny jej dziecka, musi przed nimi

odpocząć.

Zbiera wszystkie teczki i chowa do szuflady biurka.

Peo, tak jak się umówili, czeka pod więzami. Nawet z daleka widać, że nadal świetnie wygląda, co ją trochę onieśmiela, ponieważ sama czuje się bardzo zaniedbana.

Mężczyzna na jej widok macha. Ona odpowiada tym samym, na co on uśmiecha się od ucha do ucha.

Od razu przejmuje kontrolę. Zarezerwował dla nich stół w Operakällaren i nie zdążyła nawet zajrzeć do menu, a on już zamówił lunch biznesowy dla siebie i dla niej. Teraz zabiera się do analizowania, na co nie była przygotowana.

– Przeczytałem niemal wszystko, co napisałaś o naszych wspólnych pacjentach – zaczyna. – Ależ to była fascynująca lektura!

– Dziękuję, nawzajem.

– Taaak, słyszałem, że dostałaś zgodę na wgląd do kart.

Åsa pociąga łyk wody mineralnej, aby wymigać się od odpowiedzi.

– Mówiłem poważnie, przeczytałem twoje opinie z dużym zainteresowaniem. Jesteś jedną z ostatnich wojujących przeciwniczek farmakologii i nie sposób cię za to nie podziwiać. Co za upór. Jakie to nieszwedzkie, ta twoja determinacja... Ale też trochę przerażające.

Åsa się uśmiecha. Brak jej słów na taką bezczelność.

– Skoro już tylko ja się ostałam, cóż we mnie takiego strasznego?

– A czy ja to powiedziałem?

– Owszem.

– No tak, uważam przecież, że niektórym pacjentom leki pomagają.

– Niektórym? Może chcesz powiedzieć „wszystkim”?

– Wielu.

Åsa już żałuje, że doprowadziła do tego spotkania.

– Czego się napijemy? – pyta.

Wstrząśnięta jego szczerością, nie jest sobą. Potrzebuje krótkiej pauzy, aby się opanować.

Peo lustruje menu, nucąc pod nosem piosenkę Everta Taube'a – czyżby *Flickan*

i *Havanna*? – i wydaje się pełen animuszu.

– Odważymy się na piwo do obiadu? – zastanawia się głośno.

– Czemu nie – odpowiada Åsa, choć trudno jej się skupić na liście napojów.

Pałą ją skronie, przeprasza więc na chwilę i wychodzi do toalety.

W łazience przegląda się w lustrze.

Powinna była ufarbować włosy. Są gęsto poprzetykane siwizną. I na dodatek bardziej oklapłe niż zwykle. W odruchu paniki związuje je w kucyk, po czym wraca do restauracji.

Kiedy idzie przez salę, Peo śledzi ją wzrokiem. Tak obserwowana czuje się naga, a on przez całą drogę do stolika nie spuszcza z niej oczu. Wreszcie może usiąść.

– To naprawdę ty – odzywa się do niej z uśmiechem.

– Tak.

– Czy wolałabyś, żeby zamiast mnie był tu ktoś inny?

– Tego jeszcze nie wiem.

– Pewnie przekonamy się po lunchu.

Patrzy na niego, próbując pogodzić się z myślą, że to jednak on. Zna ten stan: zawsze ma ten sam problem, kiedy spotyka kogoś ze studiów. Jakby nie mieściło się jej w głowie, że ci ludzie nadal istnieją i równolegle do niej wiodą własne życie. Zwłaszcza teraz, po zaginięciu małej.

Lubiła go na uczelni. Stale trzymał się na uboczu, ale kiedy już wdawali się w rozmowę,



zawsze miał sporo do powiedzenia. Pewny siebie, wiedział, czego chce, a przy tym nie był ani trochę nudny. Pamięta, że mnóstwo osób na roku zazdrościło mu relacji z wykładowcami. Chodziły słuchy, że spotykał się z dziesięć lat starszą dziewczyną, zatrudnioną jako chirurg w szpitalu Södersjukhuset. Podkochiwały się w nim chyba wszystkie laski z ich grupy.

– Nadal jesteś z... z tą, z którą byłeś na studiach?

– Z Eryką? – Peo zaczyna się śmiać.

Goście w restauracji się na nich oglądają. Åsę fascynuje, że jego najwyraźniej wcale nie obchodzi, jak głośno się zachowuje.

– Nie – odpowiada. – Zerwaliśmy jakieś osiemnaście lat temu.

Widząc, jak się uśmiecha, pociągając łyk piwa, Åsa zastanawia się, czy pamięta ich wspólną noc. Był duży, tyle sobie przypomina. Czuła się pod nim taka drobna. Jak zwykle, gdy wspomina tamte czasy, frustruje ją własna towarzyska nieśmiałość i to, jak mało korzystała z życia. Na przykład tamtą noc naznaczyła zamartwianiem się o to, co zrobiłaby jego partnerka na wieść o niewierności. Zamiast rozkoszować się chwilą, roztrząsała w myślach uczucia drugiej osoby. Idiotyzm.

– Kurde, fajnie cię widzieć – rzuca Peo, znowu szczerząc zęby.

Trudno go rozszyfrować. Wszystkie jego sygnały świadczą o ogromnej pewności siebie: nieschodzący z twarzy uśmiech, promienny wygląd, ciuchy. Z drugiej strony zdradza też pewną wrażliwość – w spojrzeniu i sposobie, w jaki na nią patrzy, skupiony na rozmowie.

Kiedy tego wieczoru udaje się na rutynowy obchód okolicy, uświadamia sobie, że trudno jej się skoncentrować, ponieważ myśli krążą wokół spotkania z Peo. Nie ma pojęcia, o co tu chodzi, ale nie potrafi wyrzucić go z głowy. Być może po prostu przypomina jej o szczęśliwych latach studiów albo tak diametralnie różni się od Martina i przez to wydaje się pociągający. To prosty facet – podsumowuje – ale nie głupi. Zwyczajnie unika niepotrzebnego komplikowania spraw. Chociaż nie widzieli się od dwudziestu lat, gotowa była opowiedzieć mu wszystko o swoim obecnym życiu, ale oczywiście tego nie zrobiła.

Zaprosiła go na obiad, aby wypytać o wspólnych pacjentów, ale nie poruszyła tego tematu. Nie zająknęła się nawet o Magdzie. Z dużą ulgą rozmawiała z osobą, która dla odmiany nie traktowała jej jak ofiary. Pod koniec spotkania odpuściła mu nawet gadkę o jej „metodzie”.

W trakcie posiłku nie wychodziła ze zdumienia nad jego talentem do sprawiania, że wszystko wydaje się prawdopodobne. Nawet jeśli to, co mówił, graniczyło z szaleństwem, brzmiało wiarygodnie. Nie umiała tego wytłumaczyć. Możliwe, że jego sposób wypowiedzania się był po prostu miły dla ucha. Na przykład uzasadniając faszeringowanie swoich podopiecznych lekami, zachowywał taki spokój i rozsądek, że nie dało się na niego gniewać.

Åsa schodzi na drogę.

Gdy tylko dociera na miejsce, dzieje się to, co zwykle: na chwilę wznieca się nikły płomień nadziei, że tym razem, być może zaraz, wpadnie na jakiś ślad. Na jakiś szczegół, który wyparła, albo pomysł, jak połączyć ze sobą dwa elementy układanki i odnaleźć Magdę. Standardowo na tym się kończy. Długo jeszcze trwa w bezruchu, a mrok gęstnieje.

Zaczyna się śnieć, ale powietrze pozostaje ciepłe i aksamitne. Czuje dziwne podniecenie. Przechodnie zerkają na nią i szepczą coś do siebie.

Ma ich w nosie. Żyją w innym wymiarze niż ona.

Wraca do domu o północy.

Martin już śpi, więc ostrożnie porusza się po pokoju.

Znowu wyjmuje album z czasu studiów.

Zdjęcia z tamtego okresu zawsze poprawiają jej nastrój. To były wspaniałe chwile. Nowo narodzona istota myśląca uśmiecha się na imprezowych fotkach, z nieodłącznym kieliszkiem

czerwonego wina w dłoni.

Spogląda na Peo. Elegancki i dorosły, już wtedy.

Kartkuje dalej.

Ona w ciąży.

Próbuje przywołać wspomnienia, jak to było spodziewać się dziecka, ale bez skutku.

Jedno w każdym razie pamięta wyraźnie: nie wykrzykiwała tego całemu światu jak inne kobiety. Lubiła wspomnieć o tym od niechcenia, jak opowiada się o kupnie malaksera, aby podkreślić, że nie uważa się za wyjątkową. Nie znosiła, kiedy inni robili wokół ciąży tyle hałasu. Jakby zaliczyli jakieś zaskakujące osiągnięcie. Niektóre jej przyjaciółki wręcz wybuchały płaczem, kiedy przyszło im to oznajmić, i używały słów takich jak „cud” i „zrządzenie losu”. Takie matki boskie...

Podobnie rzecz się miała z porodem. Miliardy kobiet przeleżały już z nogami w powietrzu, a mimo to kolejne godzinami i w szczegółach zdawały relację z tego wyczynu.

Ona sama podczas rozwiązania nie uroniła ani łezki, ale rozplakała się po powrocie do domu. Po wejściu z noworodkiem do cichego i mrocznego korytarza poczuła się lekko oszołomiona. Dziecko w foteliku, świadomość, że teraz tutaj będzie mieszkać. Szlochała z bezsilności, tulona przez Martina. Nie mogła przestać.

Kiedy odstawia album na półkę, wypada zeń powiększona odbitka i wirując, opada na podłogę.

Podnosi ją. To zdjęcie córki z drugiej albo trzeciej klasy. Åsa pochyla się, aby się przyjrzeć małej. Jak zwykle z poważną miną, stojąca tylko nieznacznie obok grupy, ale wyraźnie poza nią.

Pewnie powinna była odebrać te niepokojące sygnały i nie naciskać tak bardzo na pozostawianie jej tyle przestrzeni, której sama jako dziecko nie miała.

Ciemność zaczyna przesączać się do pokoju, zatrząskuje więc album, idzie do salonu i włącza telewizor. Mrok nie odstępował jej ani na krok. Usiłuje skupić się na tym, co mówią w telewizji, ale to niemożliwe. Wokół słyszy tylko szum.

Dokąd popołudniami i wieczorami chadzała jej córka, kiedy uciekała na dwór, by się „bawić”? Nie miała przecież przyjaciółek do towarzystwa.

Niekiedy całymi godzinami przebywała poza domem i wracała uwalana ziemią i złana potem. Być może trzeba było zaproponować, że się z nią wybierze, ale oczywiście wychodziła z założenia, że Magda nie ma ochoty ciągnąć jej za sobą.

Powinna była posłuchać nauczycielek, kiedy wezwały ją na rozmowę i oświadczyły, że w szkole trudno do małej dotrzeć, że często buja w obłokach i nie udziela się na lekcjach.

Åsa już przez telefon zwróciła im uwagę, że gwoli wyjaśnienia pracowała kiedyś jako psycholog, notabene w ich szkole, i może omówić z córką te sprawy w domu, jednak wychowawczynie nalegała na spotkanie.

Poszła wtedy bez Martina. Jego jak zwykle pochłonęła praca, dziecko zostało więc w domu samo. Usiadły w pokoju nauczycielskim i przy lurowatej kawie rozmawiały o zachowaniu dziewczynki. Nauczycielki dopytywały się, czy nie zdradza jakichś oznak depresji. Następnie napomknęły o innym uczniu, który – odkąd przeszedł na antydepresanty – stał się „zupełnie inną osobą”. Wobec takiej niekompetencji Åsa musiała się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć. Rekomendować faszeringowanie dziesięciolatków pigułkami tylko po to, aby chwilowo poprawić im samopoczucie... Czy nie docierało do nich, że długofalowe skutki mogły okazać się fatalne? Rozważała postraszanie ich pozwem, ale się opanowała. Poszła tam dla Magdy i nie chciała uchodzić za histeryczkę.

– Czy córka ma jakieś koleżanki na osiedlu? – dopytywała się nauczycielka, na co Åsa

odparła, że bawi się na dworze co wieczór, więc na pewno tak.

Następnie indagowały na temat Magdy: czy ma jakieś zainteresowania, co zmusiło ją do zastanowienia się. Przez pewien czas miała chomiki, ale ostatecznie Åsa musiała je oddać pewnemu dzieciakowi z sąsiedztwa. Po powrocie z pracy na ich widok – przestraszonych, opuszczonych i niedożywionych – robiło jej się słabo. Wreszcie ostro nakazała córce, że ma się nimi zajmować. Nie pomogło.

– Nie ma żadnych – przyznała krótko.

Dalsza rozmowa ją zirytowała, ponieważ odnosiła wrażenie, że nauczycielki raczej chciały z niej wyciągnąć informacje, niż rozmawiać o szkole. Jakby w domu upatrywały wytłumaczenia swoich zawodowych niepowodzeń.

Zszokowana niskim poziomem dialogu zasugerowała, że pora go zakończyć, na co jedna z kobiet przyniosła pracę Magdy – obrazek przedstawiał mroczny las bezlistnych drzew. Amatorskie interpretacje psychologiczne, które potem nastąpiły, doprowadziły Åsę do wściekłości. Obie panie twierdziły, że przerażający gąszcz mógł być wołaniem o pomoc i że mała najprawdopodobniej czuje się zagubiona.

Gdy po powrocie z wywiadówki ujrzała córkę pochyloną nad lekcjami, wezbrała w niej czułość. Biedna mała codziennie jest narażona na podejrzliwość tych ludzi. Zdaniem Åsy, dziewczynka po prostu górowała dojrzałością nad kolegami i koleżankami z klasy, stąd jej małomówność – skoro inne dzieci miały ochotę jedynie się huśtać albo skakać po drzewach. Szkoła powinna promować uczniów, którzy odstają od reszty, zamiast zaczynać od alarmowania rodziców i straszenia wyobcowaniem. To przecież jej, a nie rodziców obowiązek, zapewnić uczniom takie poczucie bezpieczeństwa, by się otworzyli.

Kilka tygodni później dyrekcja poinformowała Åsę i Martina, że zorganizowała im spotkanie ze szkolną psycholożką.

Kiedy opowiedziała o tym Magdzie, ta śmiertelnie się przestraszyła. Martin oczywiście nie mógł się powstrzymać od rzucenia komentarza:

– Chodzić do psychologa w wieku dziesięciu lat? Co to za wariactwo?

Åsa przypomniała mu, że sama pracowała w takiej roli, a w prowadzeniu z dziećmi terapii poprzez rozmowę nie ma nic szalonego. Naturalnie zgadzała się z nim, że akurat ich córka takiej pomocy nie potrzebuje. Już w drodze do szkoły zorientowała się po jego zachowaniu, że spotkanie może się źle skończyć. Doskonale знаła jego huśtawki nastrojów i widziała, że nakręca się przed konfrontacją. Przypuszczenia się potwierdziły. Nie minął nawet kwadrans, gdy mąż zaczął krzyczeć na terapeutkę. Åsa kopnęła go w kostkę, aby się opanował.

Jej zdaniem kobieta była niegroźna. Poznała to, jak tylko tamta pojawiła się w pokoju: zagubiona i tym samym podatna na manipulację, nerwowo uśmiechnięta, w zbyt obszernym ubraniu i drewniakach. Ponadto gruba – niemal wylewała się z krzesła. Opuchnięta twarz utraciła rysy już dawno temu i wyglądała niemal trupio. Cere kobieta miała poślódką od tytoniu. Sapała. Wstawała z trudem, ponieważ wałki tłuszczu zahaczały o podłokietniki.

Mąż nie mógł znieść, że ośmieliła się sugerować, iż oboje za dużo pracują. Walnął pięścią w stół i podniósł głos. Gdyby nie Åsa, która wezwała wszystkich do zakończenia tego spotkania, mogło się zrobić bardzo nieprzyjemnie.

Paradoksalnie, wracając spacerem do domu, pękali ze śmiechu – było to jedno z nielicznych wspomnień o ich trojgu zjednoczonych jako rodzina. Ramię w ramię dreptali pod górkę w stronę Willi. Martin i ona głośno rozprawiali z Magdą i tłumaczyli jej, jak ważny jest sceptycyzm wobec autorytetów. Córka się uśmiechała – być może dlatego, że wyjątkowo skupiła na sobie uwagę rodziców.

Åsa leży w wannie, rozmyślając o Peo, kiedy dzwoni telefon. Wyciera ręce i sięga po

komórkę.

Po głosie Martina poznaje, że stało się coś ważnego.

– Adwokat twierdzi, że prokuratura ma problem z udowodnieniem winy.

– Co to oznacza?

– Że być może zamkną sprawę.

Chciałyby odpowiedzieć czymś krzepiącym albo wesołym, ale czuje się wyprana z emocji i nie potrafi się zbyt długo nowiną ekscytować. Już tyle razy robili sobie nadzieje, a poza tym nie do końca ocknęła się z fantazji o Peo.

– Co się z tym wiąże? – pyta.

– Nie wiem.

– Może w takim razie skupią się na poszukiwaniach Magdy.

– Pewnie tak.

Po odłożeniu słuchawki uderza ją, jak bardzo inaczej przebiegłaby ich właśnie zakończona rozmowa, gdyby byli sobą, a nie tylko cieniami dawnych siebie.

Najprawdopodobniej godzinami snuliby teorie o tym, co się obecnie dzieje, o strategii oskarżenia, kompetencjach prawnika i o wszystkim, co dotyczy śledztwa.

Ten lekki, niewymuszony sposób komunikacji, który ich kiedyś łączył, wydaje się tak odległy.

Spogląda na wannę. Woda wygląda na brudną.

Wyciąga korek, zakłada szlafrok i wychodzi do sypialni.

Chciałyby, ale nie potrafi szczerze się ucieszyć oświadczeniem Martina.

Wszystko jest możliwe.

Nie wierzy już, że rzeczywistość zachowuje pozory realizmu.

Na przykład wieczór, w którym przewieziono ich na posterunek, był tak niewiarygodny, że osiem miesięcy później pamięta z niego tylko strzępki. Tych dwóch gliniarzy z obyczajówki jednak nie zapomniała. Już od progu widziała, że są dyletantami.

Zaczęli od wypytywania o to, jak spędzili dzień.

– Wynocha! Weźcie się do szukania! – wrzasnęła.

Poprosili wówczas, aby ona i Martin udali się z nimi na przesłuchanie.

Początkowo przyjęła to z dużym spokojem, przekonana, że to część standardowego postępowania. Nie dbała więc o to, co mówi. Nie miała najmniejszej ochoty zwierzać się z prywatnych spraw obcym osobom.

W kółko odpowiadała na te same pytania. Dlaczego – jej zdaniem – w samochodzie znajdowały się ślady krwi? Co dokładnie powiedział jej mąż, kiedy zatelefonował o szesnastej czterdzieści jeden? Czy kiedykolwiek podnieśli na Magdę rękę?

Była w szoku i niezbyt dobrze to wszystko pamięta.

Dużo wyraźniej przypomina sobie nagłą zmianę taktyki i skupienie całej uwagi na Martinie.

I tak oto kolejny raz musiała wejść do pokoju przesłuchań i poddać się maglowaniu na temat swoich i męża poczynań w czasie zniknięcia ich córki. Tym razem detektywi zachowywali się agresywniej, jakby coś wiedzieli.

Niekończące się przepytanie, podczas którego nawijali o huśtawce nastrojów Martina. Skąd się tego dowiedzieli? „Czy nie jest prawdą, że mąż znęcał się nad dzieckiem?” To pytanie przewijało się nieustannie, a ona za każdym razem mówiła, że nie. „Czy mógł to zrobić bez pani wiedzy?” Zapytała ich, jak ma odpowiedzieć na takie pytanie. A oni nie dawali za wygraną.

– Co według pani robił mąż 3 maja przez dwie godziny, między piętnastą piętnaście a siedemnastą piętnaście?

Nie zliczy, ile razy kategorycznie tłumaczyła, że nie ufa relacji czasowej sąsiadów i dlatego nie widzi najmniejszego powodu, aby podawać w wątpliwość zeznanie Martina. Następnie zagadnęli ją o rysunki. Drugi raz skonfrontowano ją z pracami przedstawiającymi mroczny las – najwidoczniej wciągnęli w to psycholożkę ze szkoły. Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Wreszcie się poddali, wyłącznie ze zmęczenia, i odeskortowali ją do samochodu.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

Zorientowała się, że zmierzali do Brommy. Gdy zaparkowali, otoczyło ją sześciu albo siedmiu roślących mundurowych. Jakby zamierzała się z nimi siłować. Poprowadzili ją pod górkę do lasu, na polankę z kamiennym labiryntem, do którego raz podczas poszukiwań dotarła, kilka dni po zaginięciu. Kiedy zobaczyła to miejsce, przypomniało jej się, jak krążyła po nim po paru nieprzespanych nocach.

– Zastanawiamy się, czy Magda przychodziła się tutaj bawić. Coś się pani kojarzy?

Nie chciała zdradzać, że nie wie, gdzie zniknęła jej córka, wychodząc na dwór, więc potwierdziła:

– Tak, oczywiście, że tak.

– Myśli pani, że z kimś się tu spotykała?

– Niby z kim?

– Nie wspominała o kimś? Może umawiała się tu z jakimś dorosłym?

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Czy przychodziła tu z pani mężem?

Spojrzała na nich i potrząsnęła głową.

– On wraca z pracy o dziesiątej wieczorem!

Kiedy zapytała Martina o labirynt, okazało się, że był równie niedoinformowany jak ona. Wierzyła mu. Nie dlatego, że był szczery, ale ponieważ wiedziała, iż nigdy nie skrzywdziłby córki. Nie miał powodu. Przecież prawie wcale jej nie znał.

O dziesiątej klakson samochodu wyrывa ją ze snu. Wychodzi na podjazd, by się przekonać, że to Peo. Trzaska drzwiami auta i zdecydowanie zmierza w jej stronę.

– Co ty tutaj robisz?

Ignorując jej pytanie, mężczyzna zadaje swoje:

– Co ty wyprawiasz?

– Nie rozumiem.

– Zadzwoił do mnie eksmąż Christiny Eklind. Był oburzony.

– Kim jest Christina Eklind?

– Daj spokój! To twoja pacjentka. Powiedział mi, że wczoraj wysłałaś do niej e-mail z zapytaniem, gdzie przebywała 3 maja zeszłego roku.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, jak się czuje.

– A ja zastanawiam się nad t w o i m stanem zdrowia!

– Niby czemu?

– Gdy zaginęła twoja córka, Christina już nie żyła. Zmarła kilka dni wcześniej.

– Nie wiedziałam.

– Mam taką nadzieję. Tak czy owak, jej byłym poważnie to wstrząsnęło. Zamierzał skasować jej konto i natknął się na kilka wiadomości od ciebie.

– Ja po prostu chciałam się z nią spotkać...

– Insynuowałaś, że miała coś wspólnego ze zniknięciem twojego dziecka! Wyobrażasz sobie, jakie to dla niego okropne?

– Chciałam tylko porozmawiać.

Peo wdycha.

– Nie wolno ci się kontaktować z pacjentami, żywymi czy umarłymi, w sprawach wykraczających poza służbowe. A już na pewno nie po to, aby oskarżać ich o ciężkie przestępstwa. Poza tym formalnie znajdują się teraz pod moją opieką.

– Przepraszam.

– Czy ty na serio uważasz, że któryś z pacjentów uprowadził ci córkę?

Åsa jest bliska płaczu.

– Nie wiem – duka. I w tej chwili to prawda. – Musisz myśleć, że oszalałam.

– Nie. Lubię cię. Znam twoje diagnozy. Z żadną się nie zgadzam, ale uważam, że są dobrze napisane. Nie wiem, czy znam drugą osobę równie oddaną swoim pacjentom.

– Wybacz mi – szepcze Åsa.

Po policzkach spływają jej gorące łzy. Nie chce szlochać przy nim, ale zaczęła i nie może przestać.

– No chodź – mówi Peo i przyciąga ją do siebie.

W jego ramionach jest jej ciepło i bezpiecznie. Czuje, że on gładzi ją po karku. Zamyka oczy i wtula się w niego. Nie protestuje, kiedy przyciska ją do siebie jeszcze bliżej. A gdy zaczyna ją całować, wydaje z siebie cichy, nieznany jęk. Jego język jest miękki, gorący i porusza się inaczej niż język Martina. Zdaje się ostrożniejszy, bardziej czujny, choć tak samo wypełnia jej usta. Szybko robi jej się ciemno przed oczami.

Nagle dociera do niej, co się dzieje.

Odpycha go od siebie i zwrócona do niego twarzą cofa się, wchodzi do domu i zamyka drzwi na klucz.

Z zewnątrz słychać, jak woła ją po imieniu, idzie więc na górę i puszcza wodę do wanny, aby go zagłuszyć. Odkręca też prysznic – dla pewności.

Tego poranka wielokrotnie czyta e-mail od Peo. Za każdym razem, gdy dochodzi do ostatniego zdania, łzy napływają jej do oczu. Nie rozumie, co on w niej widzi. Mimo to cieszy ją bardzo, że znowu chce się z nią spotkać.

„Nie mogę przestać o tobie myśleć” – wyznaje mężczyzna w ostatnim wersie.

Dzwoni też do niej, około południa, ale ona natychmiast się rozłącza, tak jak postanowiła.

Wówczas wysyła jej SMS z adresem.

Przez pół godziny Åsa snuje się po domu z telefonem w dłoni, niezdolna odłożyć go na bok. Co rusz wraca do tej wiadomości.

W końcu doprowadza się do porządku i do niego jedzie.

Siedząc za kierownicą, ma wrażenie, jakby patrzyła na siebie z zewnątrz. Coś nakazuje jej to zrobić – nacisnąć pedał gazu i udać się do mieszkania Peo – lecz nie ma pojęcia, co to takiego. Brakuje jej uzasadnienia, ale może właśnie dlatego musi brnąć w to dalej. Pustka wokół stanowi swego rodzaju ochronę.

On mieszka w bloku w Solnej.

Witają się w drzwiach. Pośród płaszczy i kurtek padają sobie w ramiona. Åsa tłumii łzy, nie wiedząc, czego się spodziewać. Jeśli się rozplacze, coś może w niej pęknąć. Peo ujmuje jej twarz w dłonie.

– Tęsknię za nią.

– Wiem.

I to wystarcza, aby pozbyła się wszelkich zahamowań.

Biją od niego siła i ciepło, w milczeniu gładzi ją po włosach. Jest mu wdzięczna za tę ciszę i za to, że pozwala jej się wypłakać bez przeszkód.

Potem ją całuje, gorącym językiem rozwiera jej wargi, a ona słyszy własny jęk.

Nie jest przyzwyczajona do spokoju, jakim emanuje ten mężczyzna. Do wielkiej

rozgrzanej dłoni na plecach pod swetrem, tak po prostu.

Rozpina mu rozporek.

– Nie ma pośpiechu – szepcze do niej.

– Owszem, jest.

Dobrze się składa, że jest duży. Ciężki, wielki, bezpieczny.

Kładzie się na jego wąskim łóżku, rozkłada nogi, a kiedy wchodzi w nią, zamyka oczy i widzi już tylko rozpalone czerwien i czerń.

Orgazm rozrywa ją na kawałki.

Kiedy układają się potem na łyżeczkę, Åsa próbuje doszukać się w sobie oznak zakochania, ale na próżno. Może na to za wcześnie. On jest przede wszystkim siłą, bardziej ochronną mocą niż osobą z krwi i kości.

– Nie brakuje ci pracy? – zagaduje ją.

Sili się na odpowiedź. Właściwie chciałyby tylko poleżeć w milczeniu.

– Czasami.

– Myślisz o pacjentach po godzinach?

– Nie, nie powiedziałabym. A ty?

To trochę dziwne, odpoczywać w tak intymnej pozycji – z jego penisem między pośladkami – i toczyć tak chłodną rozmowę.

Czuje na karku ciepło jego oddechu, kiedy zaczyna opowiadać.

– Kilka dni temu odwiedził mnie pewien dwunastolatek. Kiedy miał dwa lata, jego rodzice się rozwiedli, przytłoczeni obowiązkami. Siedem lat później sytuacja się powtórzyła. Tym razem rozeszli się ojciec i macocha. Ona już chyba nie dawała rady. Życie chłopaka wypełniały kłótnie, obrzucanie się winą i nie wiem, co jeszcze. W pięć minut się zorientowałem, że ma ADHD, i bezzwłocznie zleciłem badanie. Krótco potem został zdiagnozowany i rozpoczął leczenie.

– Czy nie wspomniałeś, że przeszedł przez dwa rozwody?

– Zgadza się. Dlatego przeoczono jego chorobę. Każdy wychodził z założenia, że to one go zniszczyły. Ale nie o tym chciałem mówić... Dwa dni temu wpadł do mnie z wizytą i, cóż, wspaniale było go zobaczyć. Spokojny, skoncentrowany... Radosny. To było cudowne spotkanie. Pogadaliśmy sobie o piłce, Harrym Potterze i o przyszłości.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Bo zapytałaś.

– Doprawdy?

– Zadałaś mi pytanie, czy myślę o pacjentach po pracy, i odpowiedź brzmi: nie, zazwyczaj nie, ale o tym chłopaku owszem. Zastanawiałem się nad tym, że uznano go za straconego, podczas gdy tak naprawdę cierpiał tylko na zaburzenia funkcji. Dzięki medycynie stał się najszcześniejszym i najspokojniejszym dzieciakiem pod słońcem.

– Chyba bardzo ci zależy na przekonaniu mnie, że jestem do niczego.

– Nie, dzielę się tylko moim przeżyciem.

– Oraz kolejny raz starasz się podkreślić, że poświęciłam karierę dla przegranej sprawy.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Nie zapominaj, że jestem terapeutką. Potrafię czytać między wierszami.

Peo siada na łóżku.

– Może to wszystko było pomyłką.

– Daruj sobie ten melodramatyzm.

– Ty chcesz się tylko kłócić.

– A dlaczego tak się tego obawiasz? Skoro jesteś taki pewien swego, broń się, przekonaj

mnie.

Peo długo jej się przygląda.

– Sądziłem, że się zmieniłaś. Wydawałaś się delikatniejsza. Poza tym odnoszę wrażenie, że to nie ze mną się sprzeczasz – mówi i wstaje.

– Ojej. Nie przyszło ci nigdy do głowy, aby zostać psychologiem?

– Wychodzę. Zatrzaśnij za sobą drzwi.

Przygląda mu się w świetle wpadającym przez okno. Podnosi z podłogi ubrania, co przypomina jej, jak inaczej to wyglądało, kiedy zrywali je z siebie niespełna pół godziny temu. Ogarnia ją strach przed rozstaniem. Chce prosić, aby został, położył się obok, przytulił, pobyl z nią przez chwilę w milczeniu, ale nie potrafi się przemóc.

Siedzi w samochodzie w garażu i zastanawia się, ile czasu już tak tkwi. Spogląda na zegar na tablicy rozdzielczej i dochodzi do wniosku, że co najmniej godzinę od powrotu ze schadzki z Peo. Łzy spływają jej po policzkach. Chyba właśnie o nim myślała. I o tym, co w niej poruszył. Nie przypomina sobie nic więcej i to ją przeraża. Nie rusza się z miejsca. Zostaje w ciemności, w aucie, jakby świat zewnętrzny nie miał tutaj wstępu.

Zgaduje, ile ma czasu do powrotu Martina do domu, i dochodzi do wniosku, że spokojnie może tak pokontemplować jeszcze z godzinę. Nagle jej uwagę przyciągają cztery skrzynki ustawione pod ścianą, za kosiarką do trawy.

Od dawna się nimi nie interesowała.

Przez pierwsze miesiące celowo ich unikała, czasami do tego stopnia, że parkowała na podjeździe. Teraz wysiada z samochodu i powolutku się do nich zbliża.

Staje przed nimi i chwilę się waha. Wreszcie otwiera jedną.

Jako pierwszy rzuca się w oczy sweterek Magdy, ten w prążki, który bardzo często nosiła. Ąsa przykłada go do twarzy, przytyka do nosa, wacha. Dalsze czynności wykonuje odruchowo. Wyjmuje rzeczy z pudła, bierze ich całe naręcze, zgarnia, ile tylko się da, i przyciska je do siebie, z całej siły. Stara się wyczuć w nich zapach córki, ale zalatują tylko kartonem i garażem – jej mury obronne się kruszą, ze wszystkich stron napiera ciemność, zalewa płuca i nos, a ona nic nie może na to poradzić. Użalanie się nad sobą, samokrytyka i nienawiść do siebie dopadają ją w tym samym momencie. Nie jest w stanie odeprzeć pytań. Jak się znalazła w tym miejscu? Dlaczego jej życie dobiegło końca? Chciała postępować, jak należy, a wylądowała, klęcząc na betonie, bez dziecka, bez niczego. Pragnęła chronić Magdę i poniosła klęskę. Otaczała ją opieką od dnia jej narodzin i zawiodła. Przywiera twarzą do ciuchów i gwałtownie wciąga w nozdrza ich woń, wdech i wydech, lecz to nie jest już zapach jej dziecka. Wyczuwa jedynie zatęchły odór garażu. Desperacko przebiera w ubraniach w nadziei, że na którymś uttrzymał się zapach małej. Jej dłoń dotyka czegoś twardego. To baśń o Królownie Śnieżce. Magda bała się tej historii tak bardzo, że poprosiła, aby ją wyrzucić, a Ąsa mimo wszystko sporadycznie nalegała, by ją czytać, ponieważ jej zdaniem dawała lekcję obyczajów. Otwiera książkę drżącą ręką i wpatruje się w ilustrację, która napawała Magdę lękiem. Przedstawia salę balową. Właśnie wparowała do niej zła macocha. Wiruje w niekończącym się tańcu, choć próbuje, nie może się zatrzymać, aż wreszcie umiera. Tom wyslizguje się jej z rąk i wpada do kartonu. Ąsa krzyczy do utraty tchu i choć robi to bardzo długo, ból pozostaje. Lamentuje, aż w końcu osuwa się na podłogę koło pudeł.

Spotykają się w porze obiadowej w lobby hotelowym niedaleko szpitala.

– Trochę słabo wyszło poprzednim razem – zagaja Ąsa.

– Jesteś wyzwaniem i to mnie kręci – szepcze, obejmując ją.

– Przestań być taki miły – upomina go ze świadomością, że lada moment może wybuchnąć płaczem. – Nie mam pojęcia, jak to się robi.

– O nic się nie martw. Chodź. – Bierze ją za rękę i prowadzi do windy.



„A więc już się zameldował. Na pewno zdążył też zapłacić za pokój” – myśli.

W takim stanie psychicznym, w jakim się znajduje, docenia takie gesty. Pragnie, aby ktoś się nią zaopiekował.

Story są zasunięte do połowy. Zastanawia się, czy wpadł tu wcześniej, aby je zaciągnąć i zapewnić jej komfort.

Kręcą się wokół siebie jak w tańcu, jedno zerka na drugie. On denerwuje się tak samo jak ona. Zagląda do minibaru, pyta, czy się czegoś napije. Ona mówi, że tak. Rozlewa małą butelkę czerwonego wina i podaje jej lampkę.

– Na zdrowie! – wznosi toast i piją w milczeniu. Wino ma nieprzyjemny zapach i jest zimne, więc po pierwszym łyku Åsa odstawia kieliszek.

Wchodząc w nią bez pośpiechu, ujmuje jej twarz w dłonie, co sprawia jej przyjemność. Wszystko okrywa mrok. W spokoju szuka znajomego płomyka pod powiekami. Peo wypełnia ją do granic wytrzymałości, wdziera się coraz głębiej, napiera na piersi i ramiona. Ona zgina nogi w kolanach, aby wszedł jeszcze dalej i zagłuszył myśli.

Potem odsuwa się od niego, a jej ciało sztywnieje. Mimowolnie, nic nie może na to poradzić.

Peo przeciwnie, wydaje się bardziej rozluźniony niż przedtem, zadowolony przechadza się nago po pokoju, spokojnie, swobodnie, jakby właśnie dobiegł do celu i wygrał wyścig. Z fiutem dyndającym między nogami gada o dawnych czasach.

– Pamiętam, jak pierwszy raz uczestniczyłem w sesji. Kojarzysz Jakobssona? Był moim idolem, uwielbiałem jego podejście do pacjentów.

Åsa rzuca okiem na jego nagie ciało. Różnica w wyglądzie między nim a Martinem wprawia ją w zażenowanie. Jej obecność w hotelu z obcym mężczyzną staje się faktem. Sięga po wino i wypija duszkiem, aby odpedzić wątpliwości.

– Nie zapomnę pytania, które zadał mi kiedyś chory w sprawie swojego związku: „Co mam zrobić?”. Odparł mu na to: „Nie wiem”. Nie miałem pojęcia, że tak można.

Åsa rozumie, do czego on zmierza, nie ma tylko pewności, czy ma na to siły.

– To objawienie stało się moją gwiazdą przewodnią i pozostaje nią do dziś. Żeby jako terapeuta zdobyć się na odwagę i przyznać do niewiedzy.

– Nie masz o niczym pojęcia i dlatego wypisujesz recepty – podsumowuje Åsa cierpko, ale natychmiast żałuje tych słów.

Peo wstaje i sięga po koszulę wiszącą na krześle.

– Przepraszam. Nie chodzi o ciebie...

– Wiem.

On ubiera się bez słowa.

Ona zostaje w pościeli i zupełnie nic nie czuje.

Przekraczając próg domu, natyka się na Martina czekającego w korytarzu. Przez całą drogę powrotną biła się z myślami, czy nie zjechać na pobocze, zadzwonić do Peo i oświadczyć, że się już więcej nie zobaczą. Ale nie zdobyła się na to, niepewna, czy wytrwa jutro w tym postanowieniu.

Światło pali się tylko w salonie, za jego plecami, Åsa widzi więc jedynie kontur sylwetki męża. Odnosi wrażenie, że on coś wie.

Stoi bowiem zupełnie nieruchomo i intensywnie się w nią wpatruje.

Jednak kiedy Åsa zapala lampę w przedpokoju, widzi uśmiech na jego twarzy.

– Nie jestem już podejrzanym.

– Słucham?

– Nie mają żadnych dowodów.

– Mówisz serio?

– To koniec.

– Jesteś pewien? Wiesz to na sto procent?

– Policja złożyła oświadczenie w mediach. Naczelnicy obu popołudniówek zadzwonili do mnie z przeprosinami. Chyba się obawiają, że ich pozwę. Tak czy inaczej, już po wszystkim.

Daje do zrozumienia, że chciałby się przytulić, ale ona nie reaguje, może mieć na sobie wodę kolońską Peo.

Poza tym jak na jej gust sprawy toczą się trochę za szybko.

– Naprawdę? – duka.

– Tak!

– Jak się czujesz?

– Niesamowicie – odpowiada, po czym przyciąga ją do siebie i bierze w ramiona.

Jego uścisk wydaje się jednocześnie znajomy i obcy.

Na jego prośbę udają się do sypialni.

Tam wreszcie Åsa odzyskuje spokój, otoczona grubymi ścianami czuje się bezpiecznie.

Przebywają tam razem, w próżni, w której widać, jak naprawdę sprawy łączą się ze sobą.

Rozmawiają ostrożnie i długo. Zachęcają się nawzajem do spojrzenia wstecz, na czasy przed narodzinami Magdy, do zmiany perspektywy, do odświeżenia dawnych wspomnień, które pokrył kurz. I kiedy uświadamiają sobie, że otworzyli drzwi do zacisznej przestrzeni, zdobywając się na pogawędkę o córce, Åsie przypominają się pierwsze lata ich związku, gdy aktywnie doszukiwała się podobieństw, zamiast – jak ostatnimi laty – z premedytacją podkreślać różnice.

Nie do końca wie, jakim cudem, ale atmosfera przeradza się w imprezową, radosną. Świętują ten przełom, obśmiewając niezbyt szczęśliwych znajomych i nieudane związki w swoim otoczeniu.

– A przecież nie stracili dziecka! – zaznacza Martin, czym rozbawia ją do tego stopnia, że nie może przestać się śmiać. On chichocze wraz z nią. Jest wspaniale.

Przytulają się do siebie.

– Tak strasznie mi jej brakuje – szepcze Åsa, na co on przytakuje.

Kładą się obok siebie i ona cichutko, po kolei, zwierza się mężowi, jak bardzo za nią tęskni i że boryka się z ogromnym poczuciem winy. Przyznaje, że odkąd Magda skończyła siedem lat, zostawiała ją samą, aby wyskoczyć na zakupy albo na spotkanie, a on gładzi ją po włosach, zapewniając, że robią tak wszyscy rodzice. Złączeni uściskiem popłakują, kiedy więc ich usta łączą się w pocałunku, smakuje słono jak łzy.

Rozmowa telefoniczna z Peo trwa krótko. Jest mu przykro, ale twierdzi, że rozumie. Po głosie można poznać, że nie czuje się zaskoczony. On chyba zdaje sobie sprawę, jaką się stała osobą. Wzrusza się na jego propozycję, aby spotkać się jeszcze jeden ostatni raz, bo ona sprawia, że czuje się młodo.

Odpowiada, że Martin został oczyszczony z podejrzeń i co to oznacza. On zgadza się z nią, że lepiej zerwać kontakty, i dodaje, że nie zamierza informować Larsa o e-mailu, którego wysłała do Christiny. Åsa niemal oświadcza, że to bez znaczenia, ponieważ nie planuje wracać do pracy, ale ponieważ chce, aby poczuł się doceniony, tylko dziękuje.

Następnie jedzie do marketu. Jest popołudnie, opuszcza okno, aby poczuć powiew wiatru na twarzy, mimo że na zewnątrz panuje chłód. Po wyjaśnieniu sprawy z Peo czuje się wolna i pełna werwy, jeszcze bardziej pochłonięta Martinem, wspólną nocą oraz ich – śmiało używa tego zwrotu – odradzającym się pożądaniem.

Kiedy o poranku wreszcie zaczęli się kochać, Martin trącił w niej jakąś głęboko ukrytą strunę, której od dawna nie słyszała. Od tamtego momentu wibruje w niej echo tej ekstazy.

Stopniowo oswaja się z jego uniewinnieniem.

To rzeczywiście prawda, zaczyna w to wierzyć – policja przestała go podejrzewać, skończyło się po dziewięciu miesiącach.

Kto wie, czy świadomość, że krąży wokół niego oskarżenia, nie wpłynęła na nią bardziej, niż sądziła, bo kiedy parkuje przy Brommaplan i wysiada z samochodu, stąpa z lekkością, której nie pamięta od czasów sprzed zaginięcia. Może istnieje jeszcze szansa dla nich jako pary, co zmienia wszystko.

Nie gotowała, odkąd Magda zaginęła. Zastanawia się teraz, czy przyrządzić zupę rybną. Wie, że nie będzie to takie proste, bo dziewczynka nie usiądzie z nimi do stołu. A to było jej ulubione danie.

Wchodzi do supermarketu.

Później, pakując zakupy do bagażnika, zwraca uwagę na salon fryzjerski obok sklepu i nachodzi ją ochota, aby zadbać o wygląd. Chyba najwyższy czas.

Kiedy po strzyżeniu opuszcza gabinet, zapada już zmrok. Włącza komórkę i odkrywa, że Martin próbował się do niej dodzwonić i że ma nagraną wiadomość.

Oddzwania na pocztę głosową. Mąż mówi z zadyszką: „Zadzwoń. (*Długa pauza*). Chcę ci coś powiedzieć. Dojrzałem do tego. (*Długa pauza*). Dawno już miałem zamiar ci to wyznać. Już czas. Oddzwoń”.

Jest zupełnie zaskoczona, więc dopiero po kilku sekundach docierają do niej jego słowa. Wybiera powtórne odsłuchanie nagrania, a po wszystkim upuszcza telefon na ziemię. Siada w kucki. Słyszy własny oddech: sapie.

Nieznajomy przechodzień zatrzymuje się przy niej i kładzie jej rękę na plecach.

– Jak się pani czuje?

Åsa wstaje bez słowa, odwraca się w drugą stronę i wychodzi na ulicę.

Trudno jej sobie przypomnieć, gdzie zostawiła samochód.

Parking roi się od ludzi. Mija ich ze spuszczoneym wzrokiem, aby uciec przed ich spojrzeniami.

W końcu odnajduje auto, siada za kierownicą, ale nie może się zmobilizować do włączenia silnika. Obawia się, że zjedzie z pasa.

Usiłuje myśleć logicznie, ale to niełatwe. Wmawia sobie, że jest całe mnóstwo sekretów, o które mogło mu chodzić. Istnieje pełno alternatywnych wytłumaczeń. To może się odnosić do czegokolwiek. I nie musi mieć z Magdą nic wspólnego.

Na dzwonek telefonu z jej ust dobywa się okrzyk zaskoczenia.

Numer nieznany. Waha się, odbierać czy nie. Chce rozmawiać tylko z Martinem. Może to od niego. Odbiera.

– Tu ojciec Martina. Halo?

– Słucham.

– Tu Gunnar. Jestem w Szpitalu Świętego Jerzego. Musisz tu przyjechać. Martin próbował odebrać sobie życie...

– Nie, dopiero co dzwonił. On... przed chwilą odsłuchiłam jego wiadomość.

– Åso, posłuchaj mnie. Jest w stanie krytycznym. Powinnaś bezzwłocznie przyjechać.

– To nie może być prawda...

– Przyjedź natychmiast.

Kieruje się prosto do okienka informacji i bełkocze nieskładnie, że mąż miał wypadek. Podaje nazwisko i otrzymuje wskazówki, którądy iść.

Później nie będzie pamiętać, jak się tam znalazła. Jasne, że samochodem, ale zupełnie nie wie, jak dojechała.

Teść siedzi w poczekalni zapłakany i patrzy na nią, Åsa jednak mija go i zmierza prosto na salę.

Martin leży na plecach, nieprzytomny, podłączony do szeregu aparatów. Przewody sterczą mu zarówno z ust, jak i z klatki piersiowej. Przygląda mu się do czasu, aż podchodzi pielęgniarka i łapie ją za ramię.

– Nie wolno tu pani teraz przebywać.

Wychodzi do poczekalni i siada obok Gunnara.

– Co się stało?

– Znaleziono go na klatce schodowej jakiegoś bloku w centrum. Skoczył chyba z ostatniego piętra. To cud, że żyje.

– Próba samobójcza?

Teść nie reaguje.

– Gunnar! Czy on chciał się zabić?

Znowu nic, odpowiada jej tylko puste spojrzenie.

Åsa się kuli.

– Co on tam robił?

– Nie mam pojęcia. Nic nie wiadomo...

Przypomina sobie o filetach, które kupiła. Musiały się już rozmrozić w ciepłym bagażniku. Niedługo będą do niczego.

– Co mówią lekarze?

– Zanim przyszłaś, przeprowadzili nagły zabieg, wywiercili mu otwór w czaszce, aby zredukować ciśnienie. Trzeba poczekać do jutra. Rano się dowiemy, jak poszło. Jest pod obserwacją.

– Czy on przeżyje?

Teść wzrusza ramionami. Gdzie się podziały jego siła i opanowanie?

– Ale jak s ą d z i s z?

– Twierdzą, że trudno ocenić.

Åsa odruchowo co chwila zerka na komórkę, jakby się spodziewała telefonu od Martina.

– Åso...

– Słucham.

– Nawet jeśli się wykaraska, to...

– Co chcesz powiedzieć?

– Spadł z dużej wysokości. Nie mamy pojęcia o skali obrażeń...

– Pójdę po kawę.

Kłamie. Przystaje za rogiem i dzwoni na pocztę głosową, by jeszcze raz odsłuchać wiadomość.

Choćby nie wiadomo jak się starała, nie może zaprzeczyć, że jest podenerwowany, a to, co mówi, brzmi jak przyznanie się do winy. Pragnie zrzucić z siebie jakiś ciężar, opowiedzieć jej coś, co miał „zamiar wyznać” dawno temu.

Wraca do poczekalni i opada na krzesło.

Gunnar zajmuje miejsce obok i gapi się w sufit.

Zastanawia się, czy teść zwątpił kiedyś w niewinność syna.

Jej samej podejrzenie nawet nie przeszło przez myśl. Nawet gdy każda gazeta w kraju głośno domagała się jego krwi i wszyscy uznali go za mordercę, ona nigdy nie rozważała takiej możliwości.

Usiłuje to zrozumieć, odpierając jedną falę mdłości za drugą. Zastanawia się, jak do tego doszło, ale nie udaje się jej odpowiedzieć na to pytanie. Nie chce sobie tego wyobrażać ani nawet

o tym myśleć, jednak zdaje się, że nie ma wyboru, ponieważ jej mąż targnął się na własne życie i w jej mniemaniu tylko jedna rzecz mogła go do tego popchnąć.

Musi kolejny raz cofnąć się do 3 maja.

Co on właściwie powiedział, kiedy zadzwonił wieczorem, proponując wyjście do restauracji?

Obudził ją płacz Magdy uskarżającej się na ból gardła.

Åsa, jak każdy rodzic, przyzwyczała się do zmiany planów w obliczu niespodzianek i w normalnych okolicznościach pewnie przyjęłaby to ze stoickim spokojem – ale był to ten jeden jedyny dzień w roku, kiedy nie mogła nie stawić się w pracy ze względu na zebranie komisji budżetowej.

Natychmiast wybuchła kłótnia. Martin nie chciał przyznać, że już dawno temu poinformowała go o tym ważnym wydarzeniu.

Gdy po krótkiej awanturze w końcu zrozumiał, że musi zostać z dzieckiem, ona pospieszyła do szpitala.

Cały dzień przesiedziała na spotkaniach. Roztrząsali mnóstwo drobiazgów, dokładnie i efektywnie przekopywali się przez setki punktów. Podczas przerwy po południu odebrała telefon od Martina – zapytał, czy mogliby wyjść dzisiaj do knajpy.

Zatkało ją. To było do niego niepodobne.

– Cóż, jasne, że możemy – odparła.

O zostawieniu Magdy samej, kiedy udadzą się na kolację, nawet się nie zająknęła. Robiła tak już wielokrotnie.

Mąż wspomniał jeszcze coś, czego nie przekazała policji, ponieważ nie widziała powodu, dla którego musieliby to wiedzieć. Mianowicie, że za nią tęskni. Nie mówił jej tego od lat.

W drodze powrotnej głowiła się przede wszystkim nad tym, do czego on właściwie zmierza. Czy coś się stało i chciał jej to wyznać podczas posiłku? Zachowywał się dziwacznie i nie chodziło o propozycję wyjścia do restauracji, ale o całą rozmowę. W jego głosie słychać było jakieś wahanie.

W lokalu jej podejrzenia się potwierdziły.

W trakcie kolacji był niezwykle uprzejmy, zadawał pytania i uważnie jej słuchał. Sprawiał jednak wrażenie odmienionego, jakby zapewnienie miłej atmosfery wymagało od niego wysiłku.

Pamięta, że uznała to wtedy za pozytywny efekt dnia spędzonego z córką. Może w końcu do niego dotarło, czym Åsa zajmowała się przez te wszystkie lata.

O dwudziestej pierwszej piętnaście Martin poszedł zajrzeć do Magdy, zostawiając ją na chwilę samą. Pod wpływem wina i nieoczekiwanego zainteresowania męża czuła się szczęśliwa. Nie przywykła do skupiania na sobie jego niepodzielnej uwagi.

– Pójdę sprawdzić, dobrze? – zapytał ponownie jakieś pół godziny później.

Chciała pokazać, że docenia tę jasno wyciągniętą do niej rękę, więc zaferowała, że ona to zrobi.

Mimo ulewnego deszczu w ciągu dnia niebo tej nocy było usiane gwiazdami. Idąc w kierunku willi, kilkakrotnie przystawała i spoglądała do góry. Przyszło jej nawet do głowy, że ostatecznie ich związek nie jest aż tak szalony.

W domu skierowała się do pokoju Magdy. Łóżko było puste. Przyjęła to ze spokojem i weszła na górę do swojej i Martina sypialni. Widząc, że i tam nikogo nie ma, zaczęła wołać córkę. Nie miała jeszcze powodów do niepokoju.

Przyzwyczała się znajdować małą w dziwacznych miejscach. Sprawdziła w łazience, ale i tam było pusto, podobnie jak w kuchni i gabinecie.

Wtedy poczuła pierwsze ukłucie strachu i przyspieszyła kroku. Okrążyła całą willę, wołając dziecko po imieniu.

Nie pierwszy raz przeżywała taki stres. Magda zdążyła już zniknąć jej w tłumie albo na placu zabaw parokrotnie, rozpoznawała więc symptomy zbliżającego się ataku paniki, którą człowiek świadomie od siebie odsuwa.

Gdy nie znalazła dziecka na dworze, nie zdołała już opanować przerażenia. Wpadła do domu i biegnąc z pokoju do pokoju, wołała małą.

Wreszcie wróciła do sypialni córki, gdzie zerwała z łóżka kołdrę i prześcieradło.

Dzierżąc pościel w rękach, zauważyła brak misia. Różowego pluszaka, którego dziewczynka otrzymała na piąte urodziny i z którym co wieczór, ułożonym na poduszce, zasypiała. Z jakiegoś powodu dodało to powagi sytuacji. Åsa odwróciła się do drzwi i wrzasnęła:

– Nie wolno ci się tak zachowywać! Żebyś tego więcej nie robiła!

Bez odzewu.

Wyszła na werandę. Kiedy w oddali zamajaczyła jej restauracja, wpadła na pewien pomysł: może jakimś dziwnym trafem minęły się z Magdą między knajpą a domem. Martin pewnie powiedział jej, dokąd się wybierają, obudziła się, poczuła samotna i postanowiła do nich dołączyć.

Spiesząc do lokalu, Åsa zdawała sobie sprawę, że ta teoria jest absurdalna, mimo to tliła się w niej iskierka nadziei, dopóki nie zobaczyła męża przez okno – siedział przy stoliku sam, dokładnie tam, gdzie go zostawiła.

Szarpnęła drzwi i krzyknęła:

– Nigdzie jej nie ma!

Wspomnienie tego, co nastąpiło później, jest niewyraźne. Zdaje się, że rzuciła się biegiem przed siebie, a on podążył za nią. Krzyczała, prosząc go o coś, ale nie pamięta o co.

Kiedy dotarła do posesji, ogród wydał jej się obcy – w ułamku sekundy znalazła się w zupełnie innym świecie. Ludzi, którzy się zeszli, uznała – jak sobie przypomina – za małą przedsiębiorczych. Gapili się tylko. Warknęła, aby zabrali się do szukania.

– Idźcie do lasu, nad wodę! – rzuciła, a sama zaczęła się chaotycznie kręcić po ogrodzie, wzywając małą po imieniu.

Przerwał jej Martin, który wyjął telefon i stwierdził: „Może jest u Jenny!”

Ich córka od roku nie miała z Jenny kontaktu – ostatnimi czasy, co niepokojące, wołała bawić się sama. Dlaczego więc miałyby wstać z łóżka, ubrać się i pójść do koleżanki o dziesiątej wieczorem? Åsa wiedziała, że to nieprawdopodobne. Przebłysk logiki w całym tym zamieszaniu, choć pochłonął ją chaos.

Później często pytano ją, dlaczego aż czterdzieści minut zwlekali z telefonem na posterunek, i żadna z jej odpowiedzi nie wydała się mediom sensowna. Dla niej sprawa była jasna jak słońce: zajęła się szukaniem i nie miała ani chwili, aby zadzwonić. Ponadto zgłoszenie na policji potwierdziłoby, że to rzeczywiście się dzieje. A ona pragnęła tylko jednego – niech się to skończy. Tymczasem powiadomienie służb inicjowało jakiś proces, otwierało dochodzenie. Przez pierwsze nieskładne pół godziny te myśli były jej obce.

Kto jeszcze zaangażował się w poszukiwania? Dowiedziała się później, że z pomocą przyszło kilku sąsiadów, których właściwie nigdy z bliska nie widziała. Wokół roilo się od ludzi. Rozeszli się po okolicy, ale nie miała czasu pytać, kim są.

Dziesięć minut po zgłoszeniu zaginięcia pojawiło się kilka wozów policyjnych, które zaparkowały na ulicy kawałek dalej.

Zdążyła jeszcze pomyśleć, że dla nich jest to dzień jak co dzień. Kolejne podejrzenie przestępstwa, jeszcze jeden rozhisteryzowany rodzic.

Trzech funkcjonariuszy w cywilu, którzy rozsiedli się w jej kuchni, na pierwszy rzut oka było w skrajnie innym nastroju niż Åsa. Zaproponowali, aby przejść do salonu i powoli oraz bez emocji przedyskutować sytuację – ona chciała to zrobić w trakcie wspólnych poszukiwań. Ten rozdźwięk uświadomił jej, jak bardzo się oddaliła od rzeczywistości w niespełna czterdzieści minut.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzali.

Mieli doświadczenie w tej materii, pocieszali już wiele matek, ale to jej nie uspokoiło. Wręcz przeciwnie – uświadomiło, że takie rzeczy się zdarzają. Są faktem. Nie dzieją się wyłącznie w filmach, lecz w realnym świecie.

Zaskoczyło ją ich opanowanie. W kwestii zaginięć nie należała do ekspertów, ale chyba należało się spieszyć? Ale nie, całe grono tylko skrobało coś w notesikach, a przecież przynajmniej dwóch z nich mogło już zacząć szukać.

Czym zajmował się Martin, kiedy ona przeżywała katusze pierwszego spotkania z policją? Nigdy go nie spytała.

Zobaczyła go dopiero o pierwszej, gdy wrócił do willi – zakładała, że przeczesywał okolicę.

W salonie padli sobie w ramiona, ale już po chwili przestali się obejmować, jakby w tym samym momencie ta czułość wydała im się dziwna. Już wtedy pojawił się między nimi dystans, równie niewytłumaczalny jak wszystko inne, co się tego dnia wydarzyło.

Rozgląda się po poczekalni. Nie licząc wielkiego akwarium w rogu, pokój spowija mrok. Plecy jej zeszywniały – widocznie przysnęła wyciągnięta na trzech krzesłach. Gunnar śpi na siedząco kawałek dalej.

Dopiero się obudziła, ale myśli z zadziwiającą trzeźwością. Zасыpiając, była jeszcze otumaniona i w szoku, lecz teraz dokładnie wie, co robić. Rozgląda się na lewo i prawo, a potem wchodzi do pokoju Martina.

Mąż ma obandażowaną głowę, spod bawełny prześwitują resztki zakrzepłej krwi.

Aparatura brzęczy i piszczy. Z ciemności za nią wyłania się siostra.

– Mogę pani w czymś pomóc?

– Chciałabym tylko...

Pielęgniarka kiwa głową.

– Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, to czekam za drzwiami.

– Dziękuję.

Kobieta przynosi krzesło i pomaga jej usiąść.

Z początku Åsa nie śmie go dotknąć, obawiając się, że najmniejsze drgnienie może spowodować u Martina zatrzymanie oddechu.

Po chwili udaje jej się zebrać w sobie. Jest gotowa powiedzieć to, co postanowiła.

Chwyta go za rękę. Jest ciepła jak zwykle. Z jakiegoś powodu spodziewała się, że będzie lodowata. Na moment budzi się w niej nadzieja, lecz kiedy ściska jego dłoń, ta okazuje się wiotka.

Następnie zbliża usta do jego ucha. Pragnie, aby usłyszał każde słowo. Bierze kilka głębokich wdechów, by opanować szloch. Musi wyrażać się jasno, wszystko od tego zależy. Zaczyna.

– Cokolwiek się wydarzyło... – przerywa, aby powstrzymać łzy. – Cokolwiek się wydarzyło... wybaczam ci. Nawet jeśli jakimś sposobem jesteś w to zamieszany, nie mam żalu. Widziałam, co minionego roku przeżywałeś. Jeśli popełniłeś jakiś błąd, odpokutowałeś już za tę zbrodnię. Oboje odcierpieliśmy już za n a s z ą winę. Jesteśmy ze sobą złączeni. Cokolwiek zrobiłeś, ja się do tego przyczyniłam. – Spogląda na jego spuszczone powieki. – I jeszcze

jedno... Jeśli przeżyjesz, obiecuję pożegnać się z Magdą. To będzie jeden z najgorszych dni w moim życiu, ale jeśli się z tego wyliżesz, przysięgam, że pozwolę jej odejść.

Zapada cisza. Słychać jedynie pikanie EKG i syk pompy tlenowej, dzięki której klatka piersiowa Martina podnosi się i opada.



## Tom

*maj 2010–luty 2011*

Według Toma Viveca Malm jest najbardziej tajemniczym wydawcą spośród całej piątki. Odpowiedzialna za lirykę, nie miała zbyt wiele do czynienia z Martinem, a co za tym idzie – z Tomem, z wyjątkiem zebrań, podczas których sprawiała wrażenie niezwykle nerwowej.

Ma uchylone drzwi. Siedzi za biurkiem, zatopiona w jakichś wydrukach.

Tom cicho puka do drzwi.

– Proszę – słyszy.

Mężczyzna sili się na uśmiech, ale bez powodzenia. Przeklina się w myślach, że w ogóle próbował. Siada z dziwnie skrzywioną miną.

– Do powrotu Martina próbuję zaprowadzić porządek w jego papierach – tłumaczy.

– Nie jest powiedziane, że go tu znów zobaczymy. – Jej ton brzmi kwaśno i sugeruje, że należy do tych, którzy Horna podejrzewają.

Zadaje jej więc pytanie wprost:

– Uważasz, że jest winny?

– Co my właściwie wiemy o drugim człowieku? Cóż, nie mam zielonego pojęcia, kim jest Martin.

Według Toma Viveca Malm to taka osoba, przy której inni czują się nieswojo, a to dlatego, że nigdy nie zdradza, co naprawdę myśli. Żongluje frazesami, jej zdaniem pasującymi do rozmowy.

„Co my właściwie wiemy o drugim człowieku?”... Co ona chce przez to powiedzieć?

Najprawdopodobniej nie robi tego świadomie, ot, niektórzy tak mają: są niezdolni do wyrażania się wprost. Taka wada. Chyba stanowi to dla nich swego rodzaju ochronę. Prawiąc komunały, nie zajmują stanowiska w sprawie. Niczym się nie przejmują.

– Martin nie należał do tych, którzy dają się dobrze poznać – mówi Viveca. – Ty powinieneś to wiedzieć najlepiej.

– Nie orientujesz się, czy sam coś pisał?

– Co masz na myśli?

– Czy pracował nad własną książką?

– Skąd taki pomysł?

Tom nie potrafi jej szczerze odpowiedzieć. Ze strachu, że wyjdzie na dziwaka, zdradzając, że kiedy bawił się w detektywa, natknął się na labirynt, od którego projektantki dowiedział się, że Martin się z nią kontaktował.

– Doszły mnie słuchy, że pisał powieść – oznajmia.

– Do mnie nic nie dotarło.

Kobieta poprawia na biurku stos kartek, dając mu do zrozumienia, że ma tekst do przeczytania.

– Czy ktoś mu źle życzył? – nie daje za wygraną Tom.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Tak się tylko zastanawiam. Jako wydawca mógł zdrzeć z tym czy tamtym.

– Czy to aby na pewno leży w twoich kompetencjach, tak chodzić po ludziach i... tak wypytywać?

Viveca coraz bardziej działa Tomowi na nerwy. Gdyby miała więcej pewności siebie, mogłaby uchodzić za ładną. Zgaduje, że ma nie więcej niż trzydzieści pięć lat, ale tą wystraszoną

miną dodaje sobie co najmniej dziesięć.

Gdy nachyla się ku niemu, wygląda na jeszcze bardziej przerażoną niż zwykle.

– Nurtuje mnie trochę pewna sprawa, ale nie wiem, czy to rzeczywiście coś ciekawego.

– O co chodzi?

– Mniej więcej tydzień temu zajrzałam do Martina. Siedział nad jakimś tekstem, blady jak ściana. Zapytałam oczywiście, co się stało.

– I co on na to?

– Że dostał maszynopis, który okazał się... straszny. Albo okropny. Nie... zdaje się, że użył określenia „straszny”.

– Podał może autora?

– Tak, przypominam sobie jego nazwisko, bo było specyficzne. Rolf Miller.

– Rolf Miller? – Tomowi z niczym się to nie kojarzy.

– Tak, jestem pewna ze względu na to, co się później tego dnia wydarzyło. Spotkaliśmy się na imprezie promocyjnej i zagadnęłam go, czy dojrzał już do końca tej strasznej historii.

– No i?

– Popatrzył na mnie i udał, że nie rozumie, o co mi chodzi. Że nie ma pojęcia, o jakim tekście mówię.

– Może zwyczajnie zapomniał.

– Oj, dobrze pamiętał. Widziałam, że kłamie.

– A wiesz, o czym była?

– Nie mam pojęcia. Potem już się do niej nie przyznawał. – Viveca odwraca się od Toma. Szklą okularów bardziej niż zwykle podkreślają pustkę w jej oczach. – Czy to już wszystko? Mam sporo pracy.

– Tylko to chciałem wiedzieć... – Tom wstaje i kieruje się do drzwi. W progu przystaje. – Tak na marginesie, jaki tytuł miała ta książka?

– Nie pamiętam.

– Ale coś z labiryntem?

– Ależ tak! Masz rację. *W głąb labiryntu*, jak mi się zdaje.

W poszukiwaniu śladów tajemniczej książki Tom postanawia przekopać się przez całą korespondencję od początku pracy w wydawnictwie. Nie ma pojęcia, czy powieść ma cokolwiek wspólnego z zaginięciem Magdy, ale brak mu innych tropów.

Mdli go lukrowatość własnych pierwszych e-maili do Martina. Wstydzi się, że aby zrobić na nim wrażenie, tak ewidentnie silił się na oryginalność, rzucał odniesieniami, używał emotikonów. Po pewnym czasie zmienił ton. Z początkiem marca pojawiła się między nimi pewna zażyłość. Pamięta moment przełomowy. To było w środku nocy – nie położył się jeszcze, śleczął nad robotą do późna, i nagle wyświetlił mu się e-mail od szefa, z czego wynikało, że on również nie może zasnąć. Interesowała go opinia Toma o tekście, nad którym pracowali. I tak zaczęli do siebie pisać.

Ta nocna wymiana wiadomości okazała się pierwszą z wielu. Niemal codziennie tych dwóch cierpiących na bezsenność kolegów spotykało się w internecie i poznawało od innej strony: ich rozmowy wykraczały poza listę obowiązków na następny dzień. Dyskutowali też o tym, co im działa na nerwy, między innymi o słabym tekście lub natarczym dziennikarzyni. Pamięta, ile te pogawędki dla niego znaczyły.

Chwile, kiedy w samych bokserkach pisał do szefa, być może również siedzącego przed komputerem w bieliźnie albo wręcz nago, wydawały się takie intymne.

Przedzierając się teraz przez te wiadomości, Tom wspomina ich nocne pogawędki i kolejny raz dochodzi do wniosku, że ze wszystkich związków w jego życiu relacja z Martinem

jest najprawdopodobniej jedyną prawdziwie radosną. W pozostałych układach pojawiały się zawsze jakieś tarcia, coś nie pasowało. Połowa jego przyjaciół była bardziej uzdolniona niż on, co go wkurzało. Druga połowa nie dorównywała mu talentem, więc wypadła irytująco poniżej jego poziomu. Przy Martinie obowiązywał jasny podział ról: Tom występował jako jego uczeń i nigdy nie rościł sobie pretensji do zostania kimś więcej. Horn mógł na nim polegać i odwrotnie. Dawali sobie nawzajem poczucie bezpieczeństwa. Przychodził zatem rankiem do biura jak do domu, ponieważ czekał tam Martin, mistrz i przyjaciel, natomiast powroty do mieszkania zaczął kojarzyć z meldowaniem się w pracy, w której zastawał Katję i jej wymagania. Już na korytarzu zapach Martina, połączenie tytoniu i wody Calvina Kleina, dodawały mu pewności siebie. Cenił sobie codzienną rutynę, ich wspólne zwyczaje: proponuje szefowi filiżankę czegoś gorącego, przechodzi przez bieżące skrypty i ustalone spotkania, popijają kawę, on siedzi nad tekstami, podczas gdy Martin, jak zwykle między jedenastą a czternastą, wychodzi pozalać parę spraw. Po południu spotyka się z autorami, a potem czytają ramię przy ramieniu, kiedy reszta pracowników opuściła już biuro.

Tom przekopuje się przez wiadomości, uważnie przegląda załączniki.

To nie problem sporządzić listę tytułów, które wylądowały na jego biurku, odkąd objął tu posadę – zawsze przesyłał je Martinowi, więc wystarczy przewertować wysłane e-maile. Od lutego podsunął wydawcy ponad dwadzieścia propozycji. Jednak żadna, jak się okazuje, nie nazywała się *W głąb labiryntu*. Dla pewności raz jeszcze wrzuca w wyszukiwarkę tytuł i Rolfa Millera. Żadnych rezultatów.

Kiedy zbiera się do wyjścia, coś mu się przypomina: papiery, które zabrał z gabinetu szefa. Zupełnie o nich zapomniał.

Otwiera szafkę i wyjmuje plik.

Nie przeglądał go, odkąd znalazł rysunki Magdy pierwszego dnia po zaginięciu. Rozkłada papiery na biurku i zaczyna kartkować. Szuka Rolfa Millera, pobieżnie czyta każdą stronę.

Po kwadransie znajduje notatkę.

„Rolf Miller, Adolf Fredriks Kyrkogata 3”.

Chce mu się skakać z radości. Adres Rolfa Millera!

Uważnie studiuje notkę. Sięga po komórkę, aby wyszukać ulicę, i odkrywa, że leży zaledwie kilkaset metrów od wydawnictwa. Znow bierze karteczkę do ręki i trzyma pod lampą. Przesuwa palcem po piśmie. Tak, zgadza się.

Adres z czymś mu się kojarzy.

Schyła się do najniższej szuflady i wyjmuje klucz znaleziony w pokoju Martina. „Afk 3”. Czyżby to było aż tak proste?

Czuje, jak serce zaczyna szybciej bić.

O zmierzchu przechodzi na drugą stronę Sveavägen. W kieszeni ścisną klucz. Jest już ciemno i pada deszcz. Szybko dociera do Adolf Fredriks Kyrkogata 3, jednak drzwi są zamknięte, a klucz nie pasuje. Na szczęście obok stoi rusztowanie, więc chowa się pod nim przed ulewą. Czekając tam, dochodzi do wniosku, że w każdej chwili może się pojawić Rolf Miller, i robi mu się nieswojo, bo czuje, że wypływa na głębokie wody. Jeśli to Miller porwał Magdę, prawdopodobnie jest skłonny do przemocy. Lecz Tom nie może się teraz wycofać. Kiedy pół godziny później starsza pani opuszcza budynek, on wślizguje się do środka, zanim drzwi zdążą się zatrzasnąć.

Na klatce schodowej jest cicho. Listy mieszkańców nie ma, rusza więc schodami do góry, szukając tabliczki z nazwiskiem „Rolf Miller”. Pierwsze piętro raczej odpada – mieszą się na nim biuro rachunkowe i klinika homeopatyczna. Mimo to próbuje otworzyć drzwi kluczem, ostrożnie i najciszej, jak to możliwe – bezskutecznie.

Na drugim piętrze znajduje się klub irański.

Na trzecim na skrzynce pocztowej widnieje „Andreasson”. Przykłada ucho do drzwi. Nic nie słyhać.

Już ma włożyć klucz do zamka, kiedy dobiega go skrzypienie drzwi na parterze. Biegnie piętro wyżej i czeka.

Ktoś się zbliża. Młoda kobieta znika w mieszkaniu Andreassonów. Tom wdrapuje się na kolejny poziom.

Na ostatnim piętrze wreszcie znajduje tabliczkę, a właściwie kartkę przyklejoną taśmą z napisem „Rolf Miller”.

Staje na progu i nasłuchuje. Słyszy jedynie własny oddech.

Zagłąda w otwór na pocztę. Ciemno.

Delikatnie wkłada klucz. Pasuje.

Otwierając, czuje łomotanie serca.

Wchodzi do środka i zatrząskuje za sobą drzwi. Zapala górne światło i stwierdza, że znalazł się w jednopokojowym biurze. Urządzono je oszczędnie: beżowa bezosobowa sofa, telewizor i odtwarzacz DVD bezpośrednio na podłodze. Do tego biurko. Nic więcej.

Podchodzi do blatu i ku swemu rozczarowaniu nie znajduje na nim nic wartościowego. Tylko zaadresowany do Millera rachunek oraz popołudniówkę.

Pod gazetą leży gruby stos kartek, co najmniej trzysta stron. *W głąb labiryntu.*

Pospiesznie zagłąda do najwyższej szuflady w poszukiwaniu czegoś, do czego mógłby to wszystko schować, ale jest pusta. W drugiej leży tylko poźółkła fotografia przedstawiająca dwóch chłopców. Zbliża ją do światła.

Dzieciaki na zdjęciu mają około trzynastu lat, siedzą przy stole z maszyną do pisania i spoglądają prosto w obiektyw. Przyjrząwszy się bliżej, w jednym z chłopców Tom rozpoznaje nastoletniego Martina.

Nagle na klatce schodowej rozlega się skrzypienie. Jakieś drzwi otwierają się i zamykają – to wystarcza, aby powrócił do rzeczywistości. Rozgląda się po mrocznym pokoju i nagle wydaje się sam sobie bardzo mały – nie czuł się tak od dziecka, ale doskonale pamięta ten stan. Pojawiał się w nieoczekiwanych momentach. Czasami ogarniał go wieczorem, kiedy pływał i za bardzo oddalał się od brzegu: nagły atak paniki, ponieważ nie miał pojęcia, co znajduje się pod stopami.

Odkłada zdjęcie na miejsce i zasuwa szufladę. Sięga po papiery, kiedy zaskakuje go szcęk windy. Rzuci się do drzwi, wychodzi na klatkę schodową i usiłuje je za sobą zamknąć. Cały się trzęsie, klucze wyślizgują mu się z dłoni. Gdy w końcu mu się udaje, zbiega piętro niżej i przywiera plecami do ściany. Winda zatrzymuje się nad nim. Tom próbuje dojrzeć w przelocie twarz wychodzącej osoby, ale ona znika w drugim mieszkaniu. Nie tym należącym do Millera.

Drzwi się zatrząskują i znowu zapada cisza, jednak Toma nie opuszcza strach. Ma wrażenie, jakby znajdował się poza rzeczywistością, w nieznanym świecie, w którym ludzie noszą zabawne imiona, jak Rolf, i zamieszkują osobliwe dziuple. Potrzebuje świeżego powietrza, więc pędzi schodami w dół, prosto na opustoszałą Adolf Fredriks Kyrkogata, a potem biegnie aż do Sveavägen, gdzie wtapia się w tłum. Dopiero ciasno otoczony przez obce ciała zaczyna się uspokajać.

Po powrocie do domu natychmiast siada do komputera i na [www.svaren.se](http://www.svaren.se) wpisuje: „Kim jest Rolf Miller?”. Ekscytuje się swoim odkryciem, ale jeszcze brak mu pomysłu, co z nim zrobić. Każdą cząsteczką siebie toczy wewnętrzny spór, jak teraz postąpić. Czy zadzwonić na policję od razu i poinformować ich, czego się dowiedział, czy też kontynuować prywatne śledztwo i przedstawić im coś więcej niż tylko adres tego mieszkania? Czy powinien wrócić na

Adolf Fredriks Kyrkogata po powieść? A może po prostu poczekać na Rolfa Millera, a kiedy się pojawi, podążyć za nim, by zlokalizować kryjówkę, w której przetrzymuje Magdę? Bez wątplenia podniosłoby to rangę roli Toma w rozwiązaniu tego dramatu.

Odświeża stronę, by stwierdzić, że nikt się nie odezwał. W głowie kołaczą mu się różne myśli i coraz pilniej musi je z kimś przedyskutować, ale te dwie dostatecznie bliskie mu osoby, którym mógłby się zwierzyć, są niedostępne. Telefony Martina i Katji milczą. Nie ma odwagi wejść na konto swojej byłej na Facebooku. Czy aby na pewno?

W okolicy świąt w koszu z brudami znalazł karteczkę. Pewnie wysunęła się z kieszeni spodni. Wyrzucił ją bezzwłocznie, jakby chciał się powstrzymać przed popełnieniem jakiegoś głupstwa, ale teraz zerka na laptop. Wciąż ma w pamięci to prymitywne hasło. Ogarnia go smutek. To jednak dosyć żałosne, że po sześciu latach wspólnego życia mogą się już nigdy więcej nie zobaczyć. Nie dalej jak kilka tygodni temu dzielili za sobą łóżko, a teraz, aby sprawdzić, co u niej słychać, musi włamywać się na jej konto na fejsie.

Siada do komputera i logując się, argumentuje, że sama jest sobie winna, bo się nie odzywa.

Szybko odkrywa, że od ich rozstania zaktualizowała stronę co najwyżej dwa razy, dopiero później czyta ostatni wpis: „W Nowym Jorku przez całe lato. Jeśli chcecie mnie złapać, piszcie na starego maila”.

Czyli powodem jej milczenia był raczej wyjazd, a nie nowy facet... Oddycha z ulgą. Dopiero po chwili przychodzi irytacja.

Czyli pierwsze, co zrobiła po rozstaniu, to ucieczka do Nowego Jorku. Wytrzymała tylko parę dni i już korzysta ze świeżo odzyskanej wolności. Jakby związek z nim nie pozwalał jej rozwinąć skrzydeł. Przeszkadza mu to. Wielokrotnie namawiał ją przecież, aby się tam sama wybrała, choćby na tydzień, ponieważ już po uszy miał jej głędzenia o tym mieście. On również uwielbiał tę metropolię, ale kto jej nie lubi? Katja mówiła: „Czuję się tam jak w domu!”, co brzmiało dość prowokująco, skoro całe pokolenie uważało Nowy Jork za swoją drugą ojczyznę. Poza tym działało mu na nerwy, że gdy tylko obleciał ją lekki strach, zaczynała przebąkiwać o przeprowadzce do Stanów.

Nie przestają go dręczyć podejrzenia, że planowała to od dawna. No i skąd ma pieniądze na pobyt? Hotele słono kosztują, a mieszkające tam przyjaciółki, jako „zbyt heteronormatywne”, nie wchodzą w grę. Pensja higienistki jest skromna, w ciągu paru miesięcy Katja nie zdążyła zaoszczędzić. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mu do głowy, to finansowe wsparcie ojca lub to, że w końcu złożyła swój tomik i otrzymała jakąś zaliczkę.

Niezależnie od tego, który wariant jest prawdziwy, nie mogła to być duża kwota. „Szybko wróci do Szwecji” – pomyślał. Kasa jej się skończy, a poza tym bez niego zwyczajnie zginie. Już podczas ich wspólnej podróży do Nowego Jorku okazało się, że w ogóle nie ma orientacji w terenie.

Może to i dobrze, w końcu przejrzy na oczy i zrozumie, że miała z nim dużo lepiej, niż jej się wydawało. Oraz że ich związek był bardziej udany niż większość innych. Owszem, jak to często podkreślała, byli raczej przyjaciółmi niż kochankami, ale to samo w sobie wydawało się fantastyczne – że po tylu latach pozostali w dobrych kontaktach. Krył się w niej jakiś chłód, który napawał go strachem. Zwłaszcza przez ostatnie sześć miesięcy. Kiedy prace nad tomikiem szły jak po grudzie, zamiast szukać u niego pociechy, zamykała się w sobie i stawała coraz mniej przystępna.

Aż pewnego ranka zniknęła. Następnego dnia po znalezieniu jej nikczemnej karteczki na lodówce poszedł do pracy dosyć podminowany, lecz na widok Martina z filiżanką kawy w dłoni szybko poczuł się lepiej. Wspólnie pewnie i z tym sobie poradzą i nakreślą wizję przyszłości dla

niego. Za pomocą spokojnego męskiego rozsądku zaprowadzą porządek w chaosie, jak zwykle. Spotkania z szefem tak na niego działały. Sposób, w jaki wskazywał na okno i na świat za nim, opisując go jako szalony, pozwalał Tomowi poczuć się jedną z najbardziej racjonalnie myślących osób na ziemi.

Szybko rozsiedli się w gabinecie Horna. Otworzyli okna na wiosenny poranek i świergot ptaków w koronach potężnych drzew. Nie mieli pojęcia, że za parę dni Magda zaginie.

– Zostawiła mnie – zaczął Tom.

– To dobrze.

– Dobrze? – Mimowolnie uśmiechnął się na tę nieoczekiwaną odpowiedź przełożonego.

– Nie wydaje mi się, żebyś się dobrze przy niej czuł. Poza tym teraz możesz dłużej pracować.

Tom zaczął się śmiać.

Podziwiał Horna za tę bezkompromisowość. Mieć swoje zdanie i nie czuć potrzeby, aby je uzasadniać. Szastać kategorycznymi opiniami na lewo i prawo bez strachu, że jest się w błędzie, ponieważ zasadzają się one na solidnym doświadczeniu. Do tego dążył.

– Nie masz czasem zbyt romantycznego wyobrażenia o samotności? – zagadnął Tom. – Jesteś żonaty. Jak by to powiedzieć... Gdzie indziej trawa zawsze wydaje się bardziej zielona, czyż nie?

Martin aż się wzdrygnął. Tom zdawał sobie sprawę, że wkracza na nieznany grunt. Nigdy nie rozmawiali o jego związku z Åsą, ale teraz, skoro wyznał, że Katja z nim zerwała, czyż nie powinien oczekiwać od Martina, że ten mu się zwierzy, jak na przyjaciela przystało?

– Miałem kiedyś kogoś bliskiego, kto odszedł. Od tamtego czasu nastawiłem się na samotność i nigdy nie wymagałem od żony, aby wypełniła tę pustkę.

Horn odwrócił się do Toma i spojrział na niego trochę niepewnie, jakby obawiając się, że za dużo powiedział.

Tom siedzi w gabinecie przy biurku i spogląda na kościół. Naprawdę nie ma ochoty się modlić, ale instynkt mu podszeptuje, aby to zrobić, co go drażni.

Niedawno natknął się w korytarzu na Bengta, który wcisnął mu naręcze maszynopisów do przeczytania. Wygląda na to, że przynajmniej tak od razu go wyrzucą. Choć to pewnie tylko kwestia czasu, skoro Martina nie ma. Pozostali wydawcy nie mają dla niego zajęcia – właściwie nie wiedzą, kim jest – a Bengta obecnie absorbują kwestie strategii. Bez Horna w wydawnictwie pozycja Toma jest niepewna.

Nawet nie tknął stosu wydruków, które przed nim leżą. Nie potrafi skupić się na niczym innym poza wydarzeniami z wczoraj.

Całą noc nie zmrzył oka. Rozmyślał o mieszkaniu, powieści i zdjęciu. O niewinnym wyrazie twarzy obu chłopców. Choć nie zasnął nawet na chwilę, zastanawiając się nad tym do świtu, nadal nie znał odpowiedzi.

Kolejny raz prześwietla swoją teorię. Być może tym „kimś bliskim” był dla Martina ów Rolf Miller. W takim wypadku zniknął pewnie jako dziecko, a po trzydziestu latach wynurzył się nie wiadomo skąd i przesłał Hornowi swoją książkę, a ten ją odrzucił. Rozwścieczyło to Rolfa i postanowił ukarać wydawcę w sposób, o którym wiedział, że zaboli najbardziej. Odbierając mu dziecko.

To tylko hipoteza. Tego faceta z zaginięciem dziewczynki niekoniecznie coś łączy. Wszystko może być tylko niezwykłym zbiegiem okoliczności.

Myśli o jego mieszkaniu. Wyparował z niego tak szybko, że nawet nie zdążył zabrać powieści.

Książka może stanowić rozwiązanie zagadki. Może być kluczem, który wyjaśni sprawę

i oczyści Martina z podejrzeń.

Zerka na zegarek i decyduje się wrócić do mieszkania po książkę.

Wychodzi na zewnątrz i przystaje. Powietrze jest nagrzone i słodko pachnie, jak na targu wiktuałów.

Rezygnuje z wyprawy. Niepewność towarzysząca poprzedniej wizycie była okropna – Rolf Miller mógł się w każdej chwili pojawić. Wmawia sobie, że nic się nie stanie, jeśli pójdzie tam jutro, i rozsiada się na ławce przed wydawnictwem, delektując się pierwszym ciepłym wieczorem nadchodzącego lata.

Ulica aż roi się od ludzi, którzy wpadli na ten sam pomysł: mijają go tabunami, ubrani lekko i w świetnym humorze. Nie zwracają na niego uwagi i przez moment odnosi wrażenie, że jest niewidzialny, jakby zniknięcie Magdy przeniosło go do równoległego wymiaru, gdzie wszystko, co dookoła widać, rozgrywa się na ekranie. Ci wszyscy piesi... Wie tyle rzeczy, z których nie zdają sobie sprawy. Wszyscy kojarzą zaginioną córkę i podejrzewanych rodziców, każdy szuka odpowiedzi, ale nikt nie ma pojęcia, że to Tom najprawdopodobniej zbliża się do zidentyfikowania sprawcy.

Waży w dłoni komórkę.

Musi się dobić do Martina i zapytać o Rolfa Millera, ale nie jest pewien jego reakcji. Koniec końców z zaginięciem małej może nie mieć nic wspólnego i okazać się tylko starym znajomym. W takim wypadku telefon od Toma i podejrzenia rzucone na tego mężczyznę tylko szefa zirytują.

– Tom!

Rozgląda się – to Bengt wychodzi z biura ze skórzaną walizką w dłoni.

– Czy mogę się przysiąść?

– Ależ proszę – rzuca Tom, mimo że nie ma ochoty z nim teraz gadać.

– Cudowny wieczór – stwierdza przełożony, rozglądając się wokół.

– To prawda.

– Przechodziłem właśnie koło twojego gabinetu. Chciałem porozmawiać.

– Zażywam świeżego powietrza przed wieczorną rundą.

– Jesteś jak Martin. Reszta wychodzi, a ty siedzisz po godzinach.

– Po prostu zależy mi na wykonywaniu dobrej roboty.

– I taka jest.

Toma nużą już te szarady. Właśnie ma zamiar powiedzieć Bengtowi, jak bardzo się rozczarował, że nikt nie stanął otwarcie w obronie Martina, kiedy wydawca niespodziewanie kładzie mu rękę na ramieniu i oznajmia:

– Z bólem muszę się pogodzić z tym, że Martin być może nigdy nie wróci. Trzeba znaleźć rozwiązanie dla jego autorów, przynajmniej doraźnie. Zamierzam ich przejąć, ale ponieważ od tak dawna nie siedzę w sprawach operacyjnych, zupełnie się nie orientuję, nad czym obecnie pracujecie.

– Więc?

– Mam bardzo proste pytanie: czy chcesz mi pomóc? Zajmowałeś się tytułami, które są aktualnie na warsztacie, spotykałeś się z pisarzami... Nikt lepiej od ciebie nie zna metod Martina.

– Co tak naprawdę proponujesz?

– Że na jakiś czas przejmemy jego autorów. Ty i ja. Niezależnie od tego, czy on wróci, czy nie, sytuacja wymaga podjęcia pewnych kroków.

Tom wpatruje się w niego. Brak mu słów.

– Chodź. Właśnie wpadłem na pewien pomysł! – mówi nagle Bengt, po czym wstaje i oddala się w kierunku wejścia. – No chodź, mówię!

Podąża za szefem, najpierw na recepcję, a później na ich piętro, gdzie Bengt skręca w prawo i idzie do gabinetu Horna. Drzwi są otwarte. Widać, że pomieszczenie zostało opróżnione. Zniknęły wszystkie książki i szpargały. Błat biurka lśni, pusty i czysty.

– Jak sądzisz, będziesz się tutaj dobrze czuł? – pyta. – Dziesięć lat temu dokładnie w tym miejscu Martin i ja opijaliśmy szampanem jego nominację na wydawcę. – Przerzywa i spuszcza głowę. – Kto by pomyślał, że tak się sprawy potoczą.

Tom spogląda na niego i nic nie mówi.

– Wpadnij do mnie jutro rano, to ustalimy, co jest do zrobienia – prosi Bengt i macha mu na do widzenia.

Tom zostaje sam. Lustruje pokój. Otwiera okna, wpuszczając do środka ciepło wieczoru. Dźwięki ulicy wypełniają pomieszczenie. Z jakiegoś powodu miasto widziane z tej perspektywy wydaje mu się jeszcze bliższe. Śmiech i gwar rozmów, zapachy z restauracji na dole, ryk silników motocykli... Pierwszy raz od dawna nie czuje się od nich odcięty. Wręcz przeciwnie, ma wrażenie, że jest ich częścią. Wychyla się przez okno, przygląda tłumom i przychodzi mu na myśl słowa z Ewangelii, które oprawione w ramkę wisiały w domu: „Niezbadane są drogi Pana”. Nigdy nie wydawały mu się bardziej na czasie niż teraz.

Wraca do swojego dawnego pokoju po doniczkę z kwiatem, prezent od Martina.

Stawia go na parapecie i odnotowuje, że wciąż jeszcze kwitnie.

Osiem miesięcy później, gdy Tom cofa się pamięcią do tego wieczoru, rozpira go duma, że wykazał się takim opanowaniem. Dzięki temu, że zarzucił myśli o Magdzie, miał szansę przeżyć najbardziej ekscytujący okres w swoim życiu zawodowym.

Po awansie wszystko uległo zmianie. Za Horna jego praca polegała przede wszystkim na czytaniu i ocenie wpływających manuskryptów. Z perspektywy czasu uważa te zadania za niemal sekretarskie, odarte z większej odpowiedzialności. Bengtowi zawdzięcza mandat do spotykania się z niektórymi pisarzami na własną rękę, ponieważ on sam zawsze był zbyt zajęty.

W pewnym momencie ów tydzień poświęcony na amatorskie śledztwo zaczął postrzegać jako epizod bardzo żenujący i niezwykle odległy. Równie szybko, jak został w to wszystko wrzucony, wyrwano go z tego za sprawą promocji.

W miarę upływu czasu coraz słabiej wierzył, że odkrył coś naprawdę istotnego – możliwe, że to jego zagubienie doprowadziło do tej bezpodstawnej podejrzliwości. Co prawda dokopał się do kogoś nazwiskiem Rolf Miller, zajmującego mieszkanie nieopodal wydawnictwa, i owszem, natknął się tam na fotografię Martina z dzieciństwa, ale te przesłanki nie dowodziły, że to ten facet uprowadził Magdę.

Istniało wiele prawdopodobnych wyjaśnień tego stanu rzeczy, ale Tom nie miał ani czasu, ani ochoty, by dążyć ten temat. To zadanie policji. On miał swoje do wykonania: autorów Bengta, których trzeba zapewnić, że jego asystent koncentruje się na ich dziełach, a nie na prowadzeniu śledztwa.

Jeśli Martin jest niewinny, policja prędzej czy później to potwierdzi i wszystko wróci do normy.

Dni wypełnione lekturą tekstów, spotkaniami z pisarzami oraz wspieraniem Bengta w papierkowej robocie szybko zamieniły się w tygodnie.

Autorzy, którzy początku przyjmowali jego obecność na spotkaniach z rezerwą, teraz zdawali się go lubić, a imię Martina wpływało coraz rzadziej.

Mimo to czuł jego obecność. Za każdym razem, kiedy przychodziło mu podjąć trudną decyzję, odzywał się głos Horna, jakby stale towarzyszył mu jako przewodnik i szeptał do ucha.

Jesienią kupił wreszcie mieszkanie i mógł definitywnie zostawić za sobą przeszłość swoją i Katji, również w znaczeniu geograficznym.



Dobrze się składało, że się nie odzywała, kiedy ostatecznie przebolewał rozstanie. Niepokój o nią, który dręczył go na początku, zmył już jesienny deszcz. Sporadycznie sprawdzał jej profil na Facebooku, z ulgą konstatuując, że nadal przebywa w Nowym Jorku. Przyjął, że wypłacono jej spadek po ojcu i że był na tyle pokąźny, iż trochę potrwa, zanim wróci.

Służyło mu życie w pojedynkę. Koleżanki z wydawnictwa co rusz z nim flirtowały, ale nie budziły jego zainteresowania. Coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy nie przeszła mu ochota na kontakty z kobietami i czy nie należałoby przypadkiem reszty życia spędzić w samotności. Mógłby ciężko pracować bez wyrzutów sumienia, że w domu czeka na niego partnerka. Skupić się na swoich obowiązkach i wieść ciche kawalerskie życie pośród książek.

Czasami wychodził wieczorem na balkon i przyglądał się, jak słońce znika za dachami domów. Czuł się szczęśliwy. Katja znajdowała się dostatecznie daleko od niego, bo w Stanach, a nieobecność Horna sprawiła, że wydawnictwo zaczęło go potrzebować.

Poza tym pogłoski o powrocie Martina do zawodu łagodziły jego wyrzuty sumienia. Najwyraźniej jego ojciec zaoferował mu posadę u siebie, co Toma ucieszyło. Przestał się wstydzić, że zajął jego gabinet i że spędzał w nim całe dni, pracując z jego dawnymi autorami.

Głupio mu się było do tego przed sobą przyznać, ale nie dało się zaprzeczyć, że nie obchodziło go już to, co się z Martinem dzieje.

Wreszcie pewnego lutowego poranka do tego dochodzi. W głębi duszy Tom się spodziewał, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale mimo to robi mu się zimno na widok Bengta pędzącego korytarzem w jego kierunku. Natychmiast się domyśla, co zaszło, ponieważ przychodzi mu do głowy tylko jedna jedyna nowina, która skłoniłaby starszka do biegu w podskokach.

– Martin się odezwał – woła szef, machając w powietrzu telefonem. – Oczyszczono go z zarzutów! Procesu nie będzie!

Tom chciałby zawołać: „To wspaniale!”, ale nie może wykrztusić ani słowa.

– Potwierdziło się to, co przypuszczaliśmy – cieszy się Bengt, obejmując Toma. – Nie zrobił tego. Co ty na to? To fantastyczna wiadomość! Nie myliłeś się. Obaj mieliśmy rację! – Poklepawszy go po ramieniu, biegnie dalej.

Tom przygląda się, jak wpada do każdego pokoju po kolei, wykrzykując radośnie: „Tak, to prawda! Przyjdzie w poniedziałek!”

Godzinę później Tom puka do drzwi Bengta. Po prostu nie może się powstrzymać.

– Proszę – odpowiada przełożony.

Możliwe, że tylko to sobie ubzdurał, ale odnosi wrażenie, że szef zaczął już inaczej na niego patrzeć. Coś w jego spojrzeniu każe mu myśleć, że to wszystko było snem i ten sen właśnie dobiega końca – ot, zaledwie takim nawiasem w życiu Horna, w którym Tom gościnnie wystąpił.

Niepewność bardzo mu dokucza. Musi wiedzieć, dlatego pyta wprost.

– Co teraz ze mną będzie?

– Nie do mnie należy decyzja.

– Co przez to rozumiesz?

– Zobaczymy, co powie Martin.

– Mam tu chyba obecnie stałą posadę? – pyta Tom ze śmiechem, który nawet dla niego brzmi sztucznie.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc.

– Wdzięczny?

Szef nie odpowiada.

– Bengt?

– To zależy, czego Martin będzie sobie życzył, jak się będzie czuł. Mówimy przecież

o ojcu, który stracił dziecko. Będzie musiał zacząć od początku. Odbudować zaufanie współpracowników i autorów.

– Mogę mu się przydać!

– Poczekajmy chwilę. To skomplikowane tematy. Chodzi o relacje. O stosunki, które doznały uszczerbku. On musi je zreperować. I to sam. Na pewno rozumiesz.

Tom jest w takim szoku, że niezupełnie dociera do niego, co mówi wydawca.

– Ale chyba mogę wrócić do pracy redaktora?

– Naprawdę nie wiem. Trzeba mu dać tyle czasu, ile będzie potrzebował. Kiedy rozmawiałem z Martinem przez telefon, powiedział, że od sierpnia wróci na pełny etat. Nie wspominał ani o tobie, ani o tym, jak wyobraża sobie dalszą współpracę.

– Mówisz poważnie? – pyta Tom i natychmiast wywołuje u Bengta irytację.

– Szczerze mówiąc, w tym momencie moim priorytetem jest, aby jak najlepiej zorganizować powrót Martina do wydawnictwa. Sam dopiero się dowiedziałem i nie miałem zbyt wiele czasu, aby sobie to wszystko przemyśleć. Zrobiłeś dla firmy sporo dobrego, ale od początku stawiałem sprawę jasno, że to tymczasowe.

Tomowi kończy się cierpliwość. Sytuacja jest surrealistyczna.

– Wyrażaj się jasno, do cholery! – rzuca i wtedy to do niego dociera: jest tylko niewygodnym elementem, wymiennym puzzlem w układance. Nigdy nie był kimś więcej niż tylko prostym pomocnikiem, zastępcą. Chciałby wydawcę za to znienawidzić, ale odraza do Horna zagłusza wszystko. Że też zmarnował rok na kogoś, kto pozbywa się go jak marnej powieści.

– Nie masz najmniejszego powodu, aby się unosić – upomina go Bengt. Pochyla przy tym głowę, jakby przemawiał do dziecka, przez co śmiertelny cios wydaje się jeszcze brutalniejszy. – Widzę, że to dla ciebie trudne. Może nie przeciągajmy sprawy. Zgodnie z kontraktem otrzymasz trzymiesięczne wynagrodzenie, ale powiedzmy, że zawieszamy już naszą współpracę. Co ty na to? Nie będzie ci się dobrze pracowało, skoro czujesz się taki rozczarowany.

Tom stoi przy oknie i przygląda się Sveavägen. Śnieg wszystko okrywa bielą. W szerokich koronach drzew, pośród nagich gałęzi, majaczą ptasie gniazda.

Widząc po drugiej stronie ulicy kościół i poczerniały miedziany krzyż, przypomina sobie uczucie, jakie ten symbol budził w nim, kiedy był dzieckiem. Te patetyczne gadki ojca o sprawiedliwości i te jego ślepe przekonania. Jak człowiek staje się tak niezłomny? Skąd czerpie taką siłę charakteru? Toma bardziej niż kiedykolwiek przedtem zdumiewa stoicki spokój, z jakim ojciec podchodził do przeciwności losu. Akceptował przeznaczenie i nigdy nie narzekał. Kiedy dęły zimne wiatry niepewności, on pozostawał niewzruszony, z powodu swojej wiary, oczywiście, ale na jedno wychodzi. Ufał, że w ostatecznym rozrachunku wszystko skończy się dobrze dla osoby, która ciężko pracuje i jest dobra dla bliźnich.

Sprawiedliwość już nie istnieje. Nic nie trwa wiecznie.

Czy do Martina nie dociera, jak bardzo Tom był mu oddany?

Czy nie rozumie, ile dla niego zrobił?

A więc to takie otrzymuje podziękowanie – za przejęcie całego ciężaru obowiązków Martina i stawanie w jego obronie przed pisarzami i kolegami. Straci robotę na rzecz kogoś, kto zostawił córkę w domu bez opieki, aby pójść do knajpy na wino.

Im dłużej o tym rozmyśla, w tym bardziej wojowniczy nastrój wpada.

Ponownie wyjmuje klucz z szuflady.

Czas poznać wszystkie odpowiedzi.

Przez moment ma wątpliwości, czy na pewno dobrze postępuje. Stoi bez ruchu w przedpokoju mieszkania i rozgląda się wokół. W środku jest dosyć ciemno.

Wchodzi do pokoju i odkrywa, że mimo upływu dziewięciu miesięcy nic się tutaj nie zmieniło. Jediną różnicę stanowi wyraźnie niższa temperatura, dlatego zostaje w kurtce.

Nie działa według planu, po prostu nie chce już dłużej pozostawać w niewiedzy. Sadowi się więc przy biurku i odchyła na krześle. Poczekaj sobie na Rolfa Millera. I nie ruszy się stąd, dopóki się nie dowie, kim jest ten człowiek, co ma do powiedzenia na temat zniknięcia Magdy oraz co go łączy z Martinem. Nie ma nic do stracenia, może czekać całymi dniami.

Po strachu, jaki go dopadł podczas pierwszej wizyty w tym mieszkaniu, nie pozostał ani ślad. Za to teraz buzują w nim odwaga i wściekłość.

Po kilku godzinach zaczyna się ściemniać. Tom nie może sobie znaleźć miejsca, więc krąży po mieszkaniu. Zdaje sobie sprawę z naiwności tego pomysłu – przecież wyczekiwanie na powrót Rolfa Millera może długo potrwać – ale jest tak zdeterminowany, że postanawia siedzieć do skutku.

Zagląda do szafek w kuchni w poszukiwaniu kawy. Skoro ma tu spędzić trochę czasu, miło by było się napić. Półki świecą pustkami, więc sprawdza garderobę w holu.

Znajduje tam jedynie wiaderko z mopem i odkurzacz.

Coś spada na podłogę, kiedy zasuwają drzwiczki. W ciemności nie widać, co to takiego. Schyla się po przedmiot.

Błyskawicznie go rozpoznaje, widział go w gazetach. Kluczowy dowód, który przyciągnął uwagę mediów. Różowy pluszak, który zniknął z pokoju Magdy.

Stoi jak wryty i wpatruje się w maskotkę.

Słyszy własny oddech.

Miś jest ogniwem ostatecznie wiążącym Rolfa Millera z zaginięciem dziewczynki.

Drżącą dłonią sięga po komórkę, aby zatelefonować na policję. Ale czy nie powinien zadzwonić do Martina, mimo wszystko?

Zasapany wpatruje się w telefon i usiłuje trzeźwo ocenić sytuację.

Z zamyślenia wyrывa go zgrzyt klucza.

Podkscytowany odkryciem zabawki nie usłyszał windy wjeżdżającej na piętro.

Rzuca się w najdalszy kąt pokoju, ale nie ma się gdzie schować. Ostatecznie staje więc tylko za biurkiem, nieruchomo, wsłuchany we własny oddech.

Ktoś ciągle manipuluje przy zamku. Chwilę potem drzwi się otwierają i w wejściu ukazują się kontury sylwetki.

Widać, że ta osoba nasłuchuje.

– Halo?

Tom rozważa, czy się odezwać, ale ani piśnie. Najpierw chce zobaczyć Rolfa Millera.

Kiedy zapala się światło, widzi Martina.

Chociaż od Horna dzielą go tylko trzy metry, trudno mu pojąć, że to naprawdę on. Po pierwsze ze zdumienia, że go tu zastaje, t u t a j, po drugie dlatego, że w ciągu minionego roku stał się dla niego postacią niemal fikcyjną. W rzeczywistości prezentuje się inaczej niż mężczyzna, którego zapamiętał. Stracił na wadze i teraz wygląda niemal krucho.

Ta nowa bezbronność łapie Toma za serce. Może nie do końca pojął, przez co Martin przechodził. Jego były szef jest wrakiem człowieka złamanego przerażającymi doświadczeniami – ta refleksja budzi w Tomie nagłą czułość.

– Co tu robisz? – pyta Martin.

Oszołomiony Tom ma trudności ze zrozumieniem tego, co słyszy.

Skoro zastaje tu Horna, to albo mieszkanie należy do niego, albo utrzymuje kontakty z osobą, która ukryła misia Magdy. I jedno, i drugie sugeruje, że Martin miał ze zniknięciem pluszaka i dziewczynki coś wspólnego.

Jednak Tom szczególnie się tym nie martwi. Jest zbyt pochłonięty interpretowaniem miny przełożonego.

Patrzy mu w oczy i staje się dla niego jasne, ile ten wycierpiał. Chciałby mu powiedzieć, że go rozumie, ale trudno mu zebrać myśli. W głowie ma mętlik, nie potrafi sklecić zdania.

– Tęskniłem za tobą – słyszy sam siebie.

Martin tylko mu się przygląda.

– Mogę ci pomóc – ciągnie Tom. – Powiedz mi tylko, co się wydarzyło, a może zdołam coś dla ciebie zrobić.

Horn powoli unosi rękę i wskazuje na coś palcem

Na co zwraca uwagę?

Tom szybko się orientuje, że dostrzegł misia, którego trzyma w dłoni.

Wydawca robi krok do przodu z palcem nadal wymierzonym w maskotkę. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie odzywa się ani słowem. Nagle się uśmiecha. Co prawda nieśmiało, ale jednak, a Tom momentalnie odbiera to jako sygnał: Martin na nim polega i będą wobec siebie szczerzy.

– Daj mi to – rzuca Horn, wyciągając do niego rękę.

Znajoma, piękna dłoń, rozgrzana i miękka, zaciska się na jego własnej.

To, co później następuje, wydaje się zupełnie naturalne. Nie jest to świadoma decyzja, Tom czuje po prostu, jakby doprowadzał do końca gest zainicjowany przez Martina w momencie, gdy ten dotknął jego ręki, a może już wtedy, kiedy zaczynał w wydawnictwie i pierwszy raz wszedł w jego krąg. Wszelkie ruchy od tamtego czasu zmierzały zawsze do tego dnia, od samego początku, już kiedy Tom przyszedł na pierwszą rozmowę, albo gdy Horn wtajemniczył go w swoje życie, kiedy zaprosił go do domu, zaczął mu się zwierzać... Wszystko to prowadziło do tej chwili i kiedy Tom to sobie uświadamia, spadają okowy, znika strach, wypełnia go ciepło. Ujmuje dłoń Martina i przyciąga go do siebie.

Gdy tylko gorący tors Horna styka się z jego torsem, Tom zdaje sobie sprawę, że tajemnica jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. Choć miewał już intensywne spotkania duchowe z innymi facetami, to tutaj okazuje się to doświadczeniem cielesnym, w najwyższym stopniu, i gdy Tom przyciska Martina coraz mocniej do siebie, odczuwa wyraźnie każdy jego szczegół: mięśnie, zapach tytoniu, zarost, słodkawą woń potu, rozgrzaną skórę. Nie pozostaje mu nic innego, jak się temu poddać. Ich zespolenie jest miękkie i intymne, a zarazem męskie i szorstkie – cudowna kombinacja. Obejmuje Martina za szyję, łzy napływają mu do oczu.

I wtedy nadchodzi cios – potężny i nieoczekiwany. W okamgnieniu robi mu się ciemno przed oczami.

Siada na podłodze, próbując zrozumieć, co się wydarzyło. Ściany wokół niego się zaciskają, pokój przewraca się do góry nogami. Co jest?! Wleczony po podłodze nie jest nawet w stanie ustalić, co jest na górze, a co na dole.

– Won! – wrzeszczy Martin, ciągnąc go za sweter w kierunku wyjścia.

Tomowi udaje się wykręcić z jego chwytu. Wstaje.

– Poczekaj! – woła, podnosząc ręce do góry, aby go uspokoić. – Nie puszczę pary z ust. Ten pluszak pozostanie naszą tajemnicą. Znowu będziemy razem pracować!

Martin rzuca się na niego niczym rozjuszony byk i ciska nim o ścianę. Tom zasłania się rękami, ale i tak dostaje mnóstwo ciosów w twarz i klatkę piersiową. Ogarnia go strach, prawdziwa panika, ponieważ oczy Horna płoną ogniem, jaki widział w dzieciństwie tylko u szatana z kościelnych obrazów. Po szóstym albo siódmym uderzeniu Tom potyka się i przewraca. Pada na podłogę i zwija się w kłębek, cały czas osłaniając się ramionami.

Leży tak bez słowa, z zamkniętymi oczyma.

W tej ciszy nachodzą go wątpliwości. Ciało ma obolałe, czuje się niepewny i zbity z tropu. Może był naiwny? A co, jeśli Martin nie jest tym, za kogo go uważał? Wpada w śmiertelne przerażenie. Skoro ma tę maskotkę, to kto wie, czy nie zamordował córki, co może oznaczać, że jest żądnym krwi i wyrachowanym mordercą, który zabije ponownie. Tom zbiera siły, przeciska się koło Horna i wybiega na klatkę schodową. Ale on jest tuż za nim: przypiera go do barierki i próbuje dusić. Ostatkiem sił Tom mobilizuje się, z impetem wykręca się z uścisku i odpycha szefa.

Potem wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie. Martin traci równowagę i przez chwilę, która zdaje się trwać całą wieczność, balansuje na poręczy plecami, jakby unosił się w powietrzu: nogi metr nad podłogą, korpus przechylony przez balustradę.

Później Tom wielokrotnie będzie odtwarzał tę scenę w pamięci, aby utwierdzić się w przekonaniu, że nie miał szans zakończyć tego inaczej. Za każdym razem dochodzi do tego samego wniosku: sprawy potoczyły się za szybko i nie mógł temu zaradzić.

Nagle duża sylwetka Martina przelatuje przez barierkę i znika z pola widzenia.

Tom nie patrzy, jak Horn spada. Pochyla się i odruchowo kuli, chowa głowę między kolanami, zakrywa twarz rękami, jakby chciał się ukryć przed tym, co się dzieje. Martin spada w ciszy, która trwa tak długo, że Tom przez chwilę się zastanawia, czy nie wylądował na czymś miękkim.

I wtedy rozlega się ten niewyobrażalny dźwięk, z jakim ciało uderza o kamienną posadzkę.

Upadek odbija się echem, Tom zatyka uszy dłońmi i zaczyna szeptać: „Nie, nie, nie”. Kiedy w końcu wstaje, wszystkie kończyny wydają się ciężkie jak z ołowiu. Zbiera mu się na wymioty. Przyciska ręce do ściany, bo potrzebuje oparcia, by się nie przewrócić.

Ostrożnie schodzi po schodach. Każdy krok wymaga ogromnego wysiłku. Przez cały czas ma wrażenie, że zaraz runie w dół, jakby ciało Martina próbowało go przeciągnąć przez balustradę. Powłócząc nogami, idzie przytulony do ściany. Na pierwszym piętrze przystaje i zbiera się na odwagę. Bierze głęboki oddech, a potem pospiesznie zbiega na parter, omija ciało, otwiera drzwi i wychodzi na ulicę.

Nadszedł już wieczór i panuje ciemność. Ruch na Sveavägen mocno osłabł, mimo to wyjątkowo przechodzi na pasach, aby nie ściągać na siebie uwagi. Pod wydawnictwem wyrzuca klucz do kosza, choć nie wie dokładnie dlaczego. Po prostu chce się go pozbyć, bo pali go w dłoni. Wchodzi do budynku i wjeżdża windą na swoje piętro.

Korytarze świecą pustkami. Zmierza do gabinetu i zamyka się w nim na klucz, a potem kładzie się kanapie w pozycji embrionalnej.

## Martin

luty–maj 2010

Gdy tylko zostaje w pokoju hotelowym sam, ogarnia go nagła tęsknota za głosem Åsy, za czymś znajomym, za czymś, co kojarzy mu się z domem. Chce ją zapytać o coś wybitnie zwyczajnego, o co zagadywał ją już niejedną raz, jak na przykład, czy potrzebuje czegoś ze sklepu bezcłowego. Chce zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Ale ona nie odbiera. Martin sprawdza ponownie, która godzina. Na pewno jest zajęta, przygotowuje Magdę do szkoły.

W taksówce rozmyśla o tej bezimiennej kobiecie. Kontynuuje te rozważania jeszcze na Heathrow, wchodząc do samolotu. Irytuje się, że nie miał gotowych odpowiedzi na teorie, które na jego temat wysnuła. Zaskoczyła go ta jej bezczelność. Przechytrzyła go, i to wielokrotnie.

Zmęczyła go jej metoda nieustannego domagania się coraz szerszych wyjaśnień. Żadna odpowiedź na osobiste pytania, które mu zadawała, nie była bezpośrednio akceptowana. Bez przerwy zachęcała go, by spróbował raz jeszcze, a z czegokolwiek jej się zwierzył, obracała to przeciwko niemu, ale w dziwnie delikatny sposób, jakby naprawdę chciała mu pomóc w zrozumieniu samego siebie. Nasuwa mu się określenie „gwałt na umyśle”. Lecz mimo wszystko podobało mu się to. Przejrzała go na wskroś tymi roziskrzonymi czarnymi oczyma. Teraz, kiedy otworzył się przed zupełnie obcą osobą, czuje się nagi.

To ona zaproponowała, aby nie zdradzali swoich nazwisk, co również zbiło go z tropu. Nie miał pojęcia, jak ocenić ich spotkanie. Czy była sadystką, którą nakręcało dręczenie innych? A może samozwańczą zbawicielką świata z prywatną misją popychania bliźnich do rozwoju? Nie przypomina sobie rozmowy w swoim dorosłym życiu, podczas której czułby się równie bezsilny. Przez cały czas to ona kontrolowała sytuację.

Może z wyjątkiem seksu. Wtedy kilkakrotnie dostrzegł w jej oczach błysk zaskoczenia. A może nawet lęku? W mroku zachowywała się inaczej, łagodniej, była wręcz uległa. Nie potrafi wymazać z pamięci jej doskonałego, młodego i silnego ciała, tego, jak klęczała tyłem do niego i przeżyła grzbiet, z głową zadartą do góry, z otwartymi ustami, zatopiona w chwili tu i teraz.

Kolor jej skóry sprawiał, że wszystko wydawało się świeże i nieznane. Znowu poczuł się jak nastolatek. Wszystko było inne, a z podniecenia kręciło mu się w głowie.

Natychmiast po starcie samolotu do Sztokholmu zamawia dwie minibuteleczki whisky i kontemplanuje miniaturowe miasta i pola za oknem. Słońce chyli się ku zachodowi, przez co krajobraz oblewa się niesamowitym odcieniem zieleni. Wioski rozsypane na bezkresnej powierzchni sprawiają wrażenie, jakby można je zmieścić jednym pociągnięciem miotły.

Niedługo potem pogrążony w półśnie myśli: „Łudzimy się, że przechytrzyliśmy ciemność, stawiając miasta, latarnie i kościoły. Ale kiedy zapada noc, kurczymy się, robimy się mali i łamiemy się pod jej ciężarem”.

Późno ląduje. Wieczór jest chłodny. Staje w kolejce do taksówek i przez chwilę czeka w cichym bezruchu, skupia się na swoim oddechu.

– Czujesz się nieszczęśliwy – oznajmiła mu.

I te słowa, pochodzące od obcej osoby, uderzyły go najbardziej. Zatem jego złe samopoczucie było tak ewidentne, że dostrzegał je nawet ktoś, kto go w ogóle nie znał.

– Musisz coś z tym zrobić – ciągnęła. – Koniecznie. Zanim będzie za późno.

Martin drepcze powoli do podjazdu taksówek, usiłując sobie przypomnieć, czy zdradziła mu, czym się zajmuje.

Niezależnie od tego zakłada, że da się ją łatwo wytropić w internecie. Zasady ich anonimowej zabawy nie pozwalały mu zadawać pytań, które mogłyby wskazywać na jej zawód albo osoby z otoczenia, ale Szwecja to mały kraj. Biorąc pod uwagę jej elokwencję i oczywiście to, że odwiedziła targi książki, jest prawdopodobne, że to pisarka. Raczej da się ją odnaleźć, bez dwóch zdań.

Ma za to wątpliwości, czy powinien to robić. Na romansie z Christiną mocno się sparzył. Nawet jeśli dziewczyna sprawiała wrażenie dużo stabilniejszej, to nie ma ochoty ryzykować.

Kiwa na taksówkarza i wskakuje na tylne siedzenie.

Po drodze obserwuje latarnie, które rozświetlają ciemność.

Im dłużej się nad tym zastanawia, tym bardziej utwierdza się w postanowieniu. Nie istnieje alternatywa. Zna siebie – to nie będzie znów takie trudne. Musi po prostu o niej zapomnieć.

Jednak zatrzymanie wszystkich tych mocy, które ożywiła, okazuje się bardziej skomplikowane. Są zbyt silne, poza tym proces trwał już jakiś czas. Czy nie zaczął wątpić w siebie i swoją pracę już na jesieni?

Tym, co powiedziała, trafiła w sedno, wyraziła instynkt, do którego zbliżał się już od miesięcy: że jeśli niczego w życiu nie zmieni, pójdzie na dno.

Przyszedł czas.

Po powrocie do domu zastaje Åsę leżącą w wannie, jak zwykle. Odbierał to zawsze jako dziwaczne i jawnie wrogie zachowanie – takie zamykanie się na klucz bez słowa i domaganie się godziny spokoju.

Tego wieczoru przyjmuje to z ulgą. Puka do drzwi, mówi, że ją kocha i że jest już w domu. Następnie siada przed komputerem i zabiera się do przeszukiwania ogłoszeń.

„Musisz się uwolnić” – poradziła mu tajemnicza kochanka.

Im dłużej o niej myślał – o jej wielkich roziskrzonych oczach i ciemnej skórze – tym wydawała mu się bardziej nieziemską. Jakby była aniołem, który zstąpił z nieba, aby pomóc mu w podjęciu decyzji.

Dzięki niej już wiedział, co robić dalej.

Rano po powrocie z Londynu odprowadza Magdę do szkoły i sam się sobie dziwi, że nadal jest taki radosny. Córka kroczy przed nim, a on wzrusza się, widząc, jak bardzo urosła. Wiatr rozwiewa jej włosy i coś każe Martinowi ich dotknąć. Dziewczynka odpycha jego dłoń, ale nic nie zdoła zakłócić radości płynącej z odrodzenia, które on właśnie przechodzi.

Denerwuje go, że tak długo zajęło mu ruszenie z miejsca, ale zrobił to, nareszcie.

Przed dziedzińcem szkolnym, już na odchodnym, znowu pojawia się impuls, aby dotknąć córki. Chciałby ją objąć, wyznać, że ją kocha, przeprosić, że był nieobecny i taki zagniewany, zapewnić, że niedługo sprawy zaczną wyglądać zupełnie inaczej, ale słowa więzną mu w gardle i zdobywa się jedynie na to, aby spojrzeć na małą z uśmiechem. A kiedy ona odpowiada mu tym samym – nieśmiałym, ale jednak uśmiechem – wyobraża ją sobie jako dorosłą w pokoju pełnym gości zaproszonych na kolację, których zdaniem jest uduchowiona i piękna. Pod wpływem tej wizji, oszałamiająco wyraźnej, przyciąga ją do siebie i szepcze jej do ucha, że ją kocha. Ona jest tym oczywiście zażenowana, ponieważ przygląda się temu pełno dzieciaków, ale on się nie przejmuje i przyciska ją jeszcze mocniej, aż stęka, by ją puścić.

Jadąc samochodem do centrum, czuje w piersi jakieś ciepło. Magda była co prawda zła, kiedy się żegnali, jednak według niego uścisk spełnił swoją funkcję. Zamierza robić to częściej: okazywać, jak bardzo mu na niej zależy.

Jest dla niego najważniejsza.

Ma zacząć w południe, ale jest tak podekscytowany, że już za dziesięć dwunasta wkłada

płaszcz i informuje Bengta, że wychodzi na lunch. Następnie w strugach deszczu przecina Sveavägen i kieruje się do mieszkania, które wyszukał w sieci poprzedniego wieczoru. Spacer zajmuje mu jakąś minutę.

Wyciąga karteczkę z adresem i wystukuje kod w domofonie. Przed wejściem na klatkę schodową ogląda się i obrzuca spojrzeniem okazałą fasadę wydawnictwa mającą za koronami drzew po drugiej stronie kościelnego dziedzińca. Zastanawia się, czy dystans nie jest jednak zbyt mały. Z drugiej strony, myśli sobie, istotna jest możliwość sprawnego przemieszczania się z jednego miejsca w drugie.

Mieszkanie znajduje się na piątym piętrze. Gdy tylko obecny lokator, starszy mężczyzna, zaprasza go do środka, Martin już wie, że się na nie zdecyduje. Mimo że to tylko jeden pokój i nie ma bocznych okien, jest widne, ponieważ spadzisty sufit to jedna ogromna tafla szkła. W całym mieszkaniu są rozstawione sztalugi z płótnami skończonymi i w trakcie tworzenia, a parkiet pokrywają plamy farby. Staruszek opowiada, że od ponad stu lat lokal wynajmowali artyści. Cieszył się popularnością ze względu na zmienność oświetlenia. To Martina przekonuje – przypomina sobie, że obaj z Erykiem kochali Paryż. Zadziera głowę. Z pewnością pięknie to wygląda, kiedy deszcz wąskimi strugami spływa po szybie, malując ruchome cienie na białych ścianach.

Widzi w tym mieszkaniu coś więcej niż zwyczajne pomieszczenie – widzi obietnicę innego życia, o którym marzył, odkąd sięga pamięcią.

Opróżniając kieszenie z paragonów z Londynu, znajduje w marynarce karteczkę, która początkowo z niczym mu się nie kojarzy: „Tom Gabrielsson” i adres e-mailowy. Po chwili wpada na to, że tajemnicza nieznajoma wspominała o kimś, kto potrzebuje pracy.

Aby zdążyć z rutynowymi obowiązkami, kiedy wymyka się co dzień do swojej kryjówki, powinien zatrudnić redaktora. Sprawdza tego Toma w internecie: dobrze napisany blog z mnóstwem linków do fascynujących artykułów i stron. Facet zdaje się mieć to, czego on wymaga od współpracownika – ciekawość w oku i instynkt łowcy. Jego zadanie miałoby polegać na wyszukiwaniu nowych historii. Jeszcze tego samego wieczoru Horn wysłała do niego wiadomość i zatrudnia go parę dni później.

Tom, jak się okazuje, jest karierowiczem – podlizuje się i ma w sobie ten młodzieńczy pęd do kariery. Martin daje mu kilka tekstów do przeczytania i z przyjemnością patrzy, jak ten rzuca się na nie z czerwonym długopisem.

Gdy tylko asystent jest gotowy do pracy, Martin wymyka się z biura. Przy drugiej wizycie mieszkanie wydaje się jeszcze piękniejsze. Zostało opróżnione z gratów i wypucowane przez firmę przeprowadzkową. Pozostały w nim jedynie uroczo wysiedziana sofa, telewizor i odtwarzacz DVD, za których zatrzymanie zapłacił trzy tysiące koron.

Stojąc pośrodku tego pustawego pokoju, myśli, że już samo to jest warte pięć tysięcy koron miesięcznie: sekretne miejsce, o którym nikt inny nie ma pojęcia, zaledwie sto metrów od wydawnictwa.

Potrzeba tylko paru mebli, aby było wygodnie, ale nie ma pośpiechu. Podoba mu się obecna spartańska pustka. Poza tym jego życie jest tak chaotyczne i pełne wrażeń, że dobrze, aby to miejsce stało się oazą – białą, wolną przestrzenią.

Po lunchu wraca do swojego gabinetu, zamyka drzwi i surfuje w internecie, gdzie na stronie Ikei zamawia biurko z dostawą do domu.

Nie wykupuje abonamentu internetowego – terazniejszość nie będzie miała wstępu między te cztery ściany. Mają tam panować cisza i spokój. Jeśli to sobie zapewni, być może uda mu się niemożliwe.

Postanawia wyznaczyć sobie kilka surowych reguł. Będzie wpadał do swojej samotni na



co najmniej dwie godziny dziennie lub dłużej. Komórkę zawsze wyłączy lub zostawi ją na biurku w gabinecie. Będzie to miało tę dodatkową korzyść, że jeśli ktoś zajrzy do jego pokoju, nie zorientuje się, że wyszedł, bo widząc telefon na blacie, pomyśli, że krąży gdzieś pomiędzy piętrami.

Nigdy jeszcze nie był tak skupiony jak teraz.

Rolf Miller zmartwychwstanie. Spełni się wspólne marzenie jego i Eryka.

Przez pierwsze dwa tygodnie porządkuje stare zapiski. Najlepsze fragmenty wstukuje do komputera. Łącznie jest tego ponad dwieście stron stworzonych przez nich obu oraz jakieś pięćdziesiąt dodatkowych dopisanych przez Eryka, ale sporo tekstu to tylko różne wersje tego samego rozdziału.

Po odrzuceniu najsłabszych części pozostaje mniej więcej sto stron nadających się do wykorzystania. Oczywiście wymagają poprawek, tekst popełniło przecież dwóch nastolatków, ale i tak jest on zdumiewająco spójny.

Uważa, że to zasługa Eryka.

W wielu miejscach przebija się energia przypominająca amok, jakby autor pisał prosto z serca, nie bacząc na to, jak zazwyczaj tworzy się literaturę. W młodości duma nie pozwalała mu uznać wyższości brata, ale potwierdza ją teraz i czuje wzruszenie. Jego styl charakteryzują hipnotyzująca potoczystość oraz pełna pasji obecność tu i teraz.

Z pracą dla wydawnictwa wyrabia się dzięki Tomowi, który robi to, co mu się każe, nie zadając zbędnych pytań, a to wszystko, czego Martinowi teraz potrzeba. Przy każdej nadarzającej się okazji ucieka do swojej kryjówki na godzinę czy dwie.

Oczywiście nie ma pewności, że Tom zawsze podejmuje właściwe wybory, ale jest tak skoncentrowany na własnym pisaniu, że go to tak naprawdę nie obchodzi. To również mu się podoba – że już nie dba o nic dotyczącego pracy. Cieszy się, że znowu żyje. W tej kawalerce czuje się niemal jak siedemnastolatek. Nie ma żony imieniem Åsa, którą stale rozczarowuje, nie ma córki Magdy ani wiecznych wyrzutów sumienia wobec niej, nie ma też posady, która znużyła go już dawno temu. No i Eryk nie umarł.

Po dwóch tygodniach najlepsze fragmenty z wersji roboczej ma już w komputerze i maszynopis może odłożyć na bok. Plik ma siedemdziesiąt stron, więc Martin zakłada, że napisze mniej więcej drugie tyle. Śle żonie SMS, że zostanie dłużej w pracy. Przez pierwszą godzinę idzie mu trochę opornie, ale potem tamy puszczają i nie ustaje w pisaniu do drugiej naderanem.

Przy otwartych oknach, przez które wpada chłodny i rześki powiew przedwiośnia, stuka w klawiaturę jak opętany. Dochodzi do przełomu – dom niemal zatrzęsł się w posadach. A potem już idzie gładko. Słowa, których nie używał, odkąd posługiwali się nimi razem z Erykiem, powracają, budzą się do życia uśpione wspomnienia. Wychodzi na połyskujący śnieg pod rozgwieżdżonym niebem. Drepcząc na postój taksówek, mija mnóstwo młodych par, które roześmiane i ciasno splecione ze sobą wracają z pubów. Ich widok wyjątkowo nie wywołuje u niego melancholii ani nostalgii, a tylko łagodną ojcowską czułość.

W taksówce do Brommy czuje euforię. Samochód pruje prosto przez miasto opustoszałymi ulicami.

Żadnej muzyki, jedynie szum z zewnątrz.

Dociera do domu o wpół do trzeciej.

Pierwsze, co robi, to zagląda do pokoju córki, aby popatrzeć, jak śpi.

Na progu owiewa go surowy chłód – widzi, że okno jest otwarte na oścież.

Koniecznien musi z nią o tym porozmawiać.

Uzna go za nadopiekuńczego, ale on naprawdę nie chce, żeby spała przy otwartym.

Zamykając je, rzuca okiem na las i jak zwykle przechodzi go dreszcz. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie znosi tej gęstwiny za willą. Pnie wyglądają martwo, a między nimi rozciąga się gęsta ciemność.

Magda jest taka mała.

Chce ją chronić przed światem.

Niedługo – myśli sobie – stanie się ojcem, takim prawdziwym... Ojcem, jakim sobie siebie wymarzył.

Bo teraz jest w fazie zrzucania starej skóry – czuje to w całym ciele. Po śmierci Eryka nosił w sobie sporo smutku i to go hamowało. Nie mógł się odnaleźć jako rodzic. Åsa miała rację – zasłaniał się obowiązkami służbowymi jak tarczą.

Ale już lada chwila wyleci z klatki, zapewni żonie i córce wszystko, co pragnie im dać.

Za chwilę, bo teraz jeszcze nie jest w stanie.

Sukces rodzi sukces. Następnego dnia ma jeszcze większą ochotę udać się do mieszkania. I tak się to kręci.

Kawalerka jest miejscem, którego mu brakowało, magicznym i odludnym azylem, jakim był dzielony z bratem pokój do pisania. A więc to w takich miejscach przebywali jego autorzy między jednym a drugim spotkaniem w wydawnictwie. W porównaniu do tego, co przeżywali w swoich gabinetach, jego codzienność musiała wypadać bardzo blado.

Kiedy wraca do domu wieczorami, tak zaabsorbowany świeżym tekstem napisanym w ciągu dnia, znajduje się jakby za szklaną szybą i musi dokładać starań, aby zachowywać się w miarę normalnie. To doświadczenie uświadamia mu, jak dalece zatracił wrażliwość, ponieważ słuchając muzyki w swoim lokum, orientuje się, jak słabo oddziaływała na niego w ostatnich latach. Teraz wszystko powraca – moc dźwięku jest niczym droga do tajemniczej, ekstatycznej strefy ponad słowami. Właśnie to chce wywołać u czytelnika – to, co najlepsza melodia budzi w nim samym.

Jeśli nie pisze, wyleguje się na małej sofie i kontempluje chmury, które jak statki przepływają po szklanej tafli dachu. Słyszczyć jedynie wiatr, która dudni czasami, jeśli ktoś zjeżdża na parter. Zawsze, gdy rusza, Martin się podrywa. Czyżby ktoś chciał go odwiedzić? Ale zaraz sobie przypomina, że nikt nie ma pojęcia o tym mieszkaniu, i znów się uspokaja.

Po tygodniu ma już dwadzieścia stron i nawet Åsa zauważa jego przemianę, bo komentuje:

– Wygląda na to, że praca znowu sprawia ci przyjemność.

– Tak, powinienem być zatrudnić tego Toma wieki temu.

– Zaproś go do nas na kolację.

– Dobry pomysł – przytakuje, a zapraszając kolegę tydzień później, widzi, jak wiele to dla niego znaczy. Można się było tego domyślić.

Dobre samopoczucie Toma w pracy pozwala Martinowi szarżować. Z początku wymykał się jedynie w porze lunchu, lecz wkrótce przerwy zaczęły się wydłużać, a po dwóch tygodniach zaczął opuszczać biuro o czwartej, aby wcisnąć dwie dodatkowe godziny pisania przed powrotem do domu.

Wszystko jest kwestią dobrego planowania.

Zawsze, kiedy umawia się na spotkania w wydawnictwie, robi to tak, aby odbyć ich kilka z rzędu i zapewnić sobie połowę dnia (albo i cały) wyłącznie na tworzenie powieści.

Kiedy wraca do gabinetu, czekają na niego często nieodebrane połączenia od Åsy, ale tłumaczy się przed nią obowiązkami. Przy tym nie omieszkuje również dodać, jakie to szczęście odzyskać zapał do pracy. Od czasu do czasu rzuca nawet aluzje, że cierpiał chyba na lekką depresję, która minęła, więc przez wzgląd na niego powinna się cieszyć i zaakceptować to, że

zostaje dłużej.

Zdaje się, że to działa. Pewnego wieczoru, kiedy wraca późno z kawalerki, żona wita go w holu, obejmuje i oznajmia, że jest zadowolona, iż on znów zaczął czerpać satysfakcję z pracy i że ma to wypisane na twarzy.

Przyciąga ją do siebie, pełen czystej, nieskażonej radości płynącej z pisania, i namiętnie całuje. Zaskoczony własnym wybrykiem, zaczyna się śmiać. Ona również. I oboje długo nie mogą przestać.

Być może – myśli potem, kiedy kotłują się w pościeli – kiedy już skończy książkę, ich związek na tym zyska. Z dniem, w którym dotrze do ostatniej strony, na powrót stanie się w pełni człowiekiem – miejmy nadzieję – oraz mężczyzną, na jakiego Åsa zasługuje. Musi tylko wyrzucić z siebie tę historię.

Pod koniec kwietnia, po dwóch miesiącach pracy nad powieścią, Martin postanawia wydrukować ją po raz pierwszy. Zgodnie z dawną metodą, jaką z Erykiem przyjęli, w trakcie pisania nie czytał tekstu w ogóle, więc bardzo się ekscytuje lekturą.

Aby zapewnić sobie spokój, powiedział żonie, że wyjeżdża do Göteborga i zostanie tam na noc.

Drukuje tekst w wydawnictwie i idzie do swojej pracowni.

Plik kartek leży teraz przed nim na biurku.

Ociąga się z rozpoczęciem czytania. Pragnie przez chwilę trwać w stanie zawieszenia. Wie, że może się teraz wydarzyć coś podniecającego. Dlatego pieczołowicie, żeby nie powiedzieć misternie, zaplanował ten moment. Zgasił górne światło, zapalił świece. Rozglądając się po pokoju, dochodzi do wniosku, że przygotował się jak do seansu. Jakby Eryk miał na chwilę powrócić.

Ale godzinę później nastrój się zmienia.

Pierwsza część, napisana przed dwudziestu pięciu laty wspólnie z bratem, wypada doskonale. Czytając ją, Martin niemal słyszy gorączkowe stukanie palców Eryka w klawiaturę.

A potem z powieści jakby uchodzi powietrze. Tam, gdzie zaczyna się jego tekst, z historii ulatuje wszelki suspens.

Robił wszystko, aby naśladować styl brata, ale najwyraźniej mu się nie udało. Rozdziały nie tylko są słabe, lecz także stanowią zamach na jego wszystkie przekonania. Niechlujne myśli, próżne pozy, przesada. To, co w jego mniemaniu miało uchodzić za swobodną i namiętną prozę, jawi się jako wyrachowana spontaniczność, przemyślany żywioł. I w tym tkwi dramat tego tekstu: tworząc go, był przekonany, że uwiecznia coś ważnego. A mimo to wszystko brzmi banalnie. Porażka boli go podwójnie, ponieważ nie tylko marnie pisał, lecz także zabrakło mu umiejętności, aby to zauważyć.

Przerażony cofa się do początku i czyta raz jeszcze, aż dociera do fragmentu, który go mimo wszystko satysfakcjonuje. To strona, na której rozwinął concept Eryka o języku jako labiryncie i odniósł go do współczesności, jako alegorię bezgranicznego strumienia informacji. Analizuje ten urywek wielokrotnie, czując, że bądź co bądź może jeszcze jest nadzieja.

Zdesperowany otwiera plik w komputerze i przewija do tego fragmentu, aby go rozwinąć. Jeśli mu się powiedzie, istnieje szansa, że uda mu się naśladować ich wspólny braterski styl. Lecz gdy tylko zaczyna, zaraz traci wenę. Eryk uwielbiał posługiwać się metaforami labiryntów, pozwalając im pojawiać się tu i ówdzie, w różnych formach i rozmaitych znaczeniach.

I elegancko zamykał czytelnika w jednym z nich.

Kiedy Martin usiłuje zrobić coś podobnego, wychodzi z tego tylko słowotok.

Z braku innych pomysłów wbrew zasadzie włącza telefon i wrzuca w wyszukiwarkę słowo „labirynt”. Może coś wyskoczy...

Na pierwszym miejscu pojawia się link do strony architektki labiryntów, która projektowała je od dwudziestu pięciu lat dla Zarządu Parków w Sztokholmie. Chcąc rozpaczliwie ruszyć z miejsca, dzwoni do niej i prosi o wyjaśnienie, skąd w ogóle się wzięły i co symbolizują, ale kiedy kobieta zaczyna coś bredzić o ich „właściwościach medytacyjnych”, żałuje, że to zrobił.

Kończy rozmowę tak szybko, jak to tylko możliwe, i czuje się po niej jeszcze bardziej sfrustrowany. I zażenowany.

Ogłuszony i markotny idzie do łazienki i przegląda się w lustrze, aby zebrać siły. Postanawia jeszcze raz przeczytać cały tekst. Kto wie, może to tylko zmęczenie i wcale nie poszło mu aż tak źle?

Jednak druga połowa powieści wypada równie słabo, jak pierwsza zachwyca. Najwyraźniej w ogóle się nie zna. Metafory, obserwacje, poglądy, którymi sypał jak z rękawa podczas każdej rozmowy, na wszystkich spotkaniach i kolacjach, przelane na papier nie wydają się już tak oryginalne.

To doświadczenie podkopuje jego pewność siebie. Opada na sofę z wydrukiem w jednej i telefonem w drugiej dłoni. Wstrząśnięty wysyła do Åsy SMS, że dotarł do Göteborga, ale wróci wcześniej, niż planował. Wyciąga się na kanapie i próbuje zasnąć, choć wie, że nie ma na to szans.

Rankiem następnego dnia zdezorientowany zasiada za biurkiem w wydawnictwie i nie potrafi się przemóc, by choć sprawdzić pocztę.

Ostatnie miesiące jakoś przetrwał dzięki obudzeniu na nowo marzenia o powieści, które snuli razem z Erykiem. Pod naporem wątpliwości, czy zdoła ją dokończyć, czuje jak osuwa mu się grunt pod nogami.

Już ma wybuchnąć płaczem, kiedy dostrzega coś, co go powstrzymuje: na samej górze stosu korespondencji spoczywa brązowa koperta z nazwiskiem nadawcy: Rolf Miller.

Długo wpatruje się w list. Analizuje charakter pisma, ale z niczym mu się nie kojarzy.

Pokój zaczyna wirować. Cóż to za chory żart? Rolf Miller to ich sekretny pseudonim, wspólna wizja jego i brata, z której nikomu się nie zwierzali.

Wie o tym jedynie ojciec, ale jego pismo zna tak dobrze jak swoje, a to tutaj należy do innej osoby.

Wreszcie z ogromnym wysiłkiem sięga po kopertę i zagląda do niej. W środku znajdują się cztery strony maszynopisu. Już po paru zdaniach rozpoznaje styl Eryka.

Ręce zaczynają mu się trząść. Od razu zdaje sobie sprawę, że trzyma przed sobą list pożegnalny.

Wstaje, aby zamknąć drzwi, a później siada przy biurku i czyta dalej.

Drżenie rąk nie ustępuje.

Biedny, nieszczęsny Eryk.

Mimowolnie staje mu przed oczami, jak brat spada, nie – jak się rzuca ze skały. Również wbrew jego woli ukazuje mu się, jak on sam chodzi tam i z powrotem nad krawędzią urwiska, waha się, szlocha i przerażony usiłuje przekonać sam siebie, że musi żyć dalej.

W końcu zaczyna rozumieć coś, z czego nie zdawał sobie sprawy – jakim luksusem była przez te wszystkie lata niepewność. Ten komfort niepewności pozwalał mu sobie wmawiać, że przynajmniej teoretycznie śmierć Eryka mogła być przypadkowa. Teraz jednak pojawia się dowód, który nieodwołalnie czarno na białym poświadcza, że brat cierpiał. I nie ulega już wątpliwości, że Martin mógł go uratować, ale nie zauważył powagi sytuacji.

Kiedy mija pierwszy szok, pojawiają się pytania.

Kto przesłał mu ten list?

Dlaczego właśnie teraz?

Nie mógł wybrać gorszego momentu.

A gdyby ta wiadomość nadeszła zaraz po tym, jak poznał Åsę, kiedy był silny i świeżo zakochany, kiedy potrafił się z nią dzielić swoimi kryzysami? Albo kiedy wciąż jeszcze lubił swoją pracę, zanim zaczął w nią wątpić? Lub tydzień temu, gdy nadal wierzył w swoją powieść? Każdy dzień byłby lepszy.

Kto chce go tak zranić? Kto nadał tę przesyłkę i dlaczego?

Najwyraźniej dwadzieścia pięć lat po śmierci Eryka ktoś znalazł jego list pożegnalny i wysłał Martinowi. Tylko kto?

Wraca do czytania, ale nie może się skupić. Litery tańczą mu przed oczami, przeskakują z jednej linijki do drugiej.

– Martin?

Jakby z oddali dobiega go czyjeś wołanie.

– Martin?

Podnosi wzrok. W drzwiach stoi Viveca Malm.

– Co tam? Co czytasz?

Martin czuje się obnażony, przyparty do muru.

– Maszynopis – odpowiada szybko.

– Wygląda, jakby cię zupełnie wyprowadził z równowagi.

– To nic takiego. Po prostu trochę straszny.

– Jaki nosi tytuł?

Zerka na tekst i zdanie: „Usiłuję się wydostać, ale tylko coraz bardziej brnę w głąb labiryntu”.

– *W głąb labiryntu.*

– Kto jest autorem?

Martin szuka jakiegoś imienia, ale nic mu nie przychodzi do głowy.

– Jest napisany pod pseudonimem.

Viveca uśmiecha się z westchnieniem.

– Jakim tym razem?

– Rolf Miller.

– Czego też oni nie wymyślą!

Martina jej obecność drażni, ale brakuje mu słów, aby wyprosić ją z gabinetu. Wreszcie duka:

– Czas mnie trochę goni... O co chodzi?

– Spotkanie wydawnicze zostało przesunięte na trzecią.

– Przecież to nie dzisiaj.

– Ależ owszem.

Martin zdaje sobie sprawę, że przez książkę stracił rachubę czasu.

– O cholera!

– Wygląda na to, że ten tekst rzeczywiście tobą wstrząsnął.

– To prawda. Do zobaczenia o trzeciej.

Gdy tylko za Vivecę zamykają się drzwi, Martin zapomina o niej i o spotkaniu. Wpatruje się w list i znów próbuje go przeczytać.

Zaczyna się przerażająco.

Z opisu Eryka wyłania się depresja w pełnym rozkwicie. Argumentacja przypomina tę z ostatnich rozmów, jakie odbył z bratem, mimo to okropnie jest to czytać, wyłożone tak czarno na białym. Chłopak opowiada, że przez ostatnie miesiące czuł się coraz gorzej i dłużej już nie da

rady. Wszystko wydaje mu się nierzeczywiste oraz bez znaczenia, książka również. Poza tym kontakty z ludźmi zaczynają graniczyć z niemożliwością, ponieważ nie wierzy już w to, co oni mówią. Nie potrafi też spojrzeć na siebie w lustrze, ponieważ wszystkie myśli, które powstały w jego głowie, ktoś już wymyślił. A mimo to nie dają mu spokoju. Pytania bez odpowiedzi rodzą tylko kolejne wątpliwości, i to takie, które analizował już nie wiedząc ile razy, a nie znalazł wyjaśnienia.

Martin przewraca stronę.

Na następnej Eryk pisze o swoim braku pewności siebie, który staje się coraz bardziej przytłaczający. Straszna lektura. Martin zawsze zdawał sobie sprawę, że brat boryka się z nieśmiałością, ale nie miał pojęcia, że było aż tak źle.

Na trzeciej stronie chłopak zmienia ton. Tempo zwalnia, styl staje się bardziej poetycki. To swego rodzaju pożegnanie z życiem.

Ostatnia kartka to ponowny przeskok w nastroju. Zwraca się do kogoś bezpośrednio – ty. Pewnie do ojca.

Martin wstrzymuje oddech i czyta dalej, kilka razy. Nie potrafi powstrzymać łez.

Według Eryka ojciec jest jak l a b i r y n t, którego on stał się więźniem. Usiłuje się wydostać, ale brnie tylko jeszcze dalej. On sam, zamknięty w życiu taty, nie istnieje. Oddziaływanie ojca jest zbyt potężne, aby syn mógł wykształcić własną tożsamość – zbyt długo i za bardzo go podziwiał, za często i za mocno pragnął się nim stać.

Wyznaje nawet, że jego pomysły nie należą już do niego, ale do ojca. I że niemożliwością jest wyrwać się z labiryntu dzięki sile umysłu, ponieważ w metodach, które stworzył, pobrzmiwa również echo myśli taty. Nienawidzi się za to. Czuje się bezbarwny i nie może tego ścierpieć. Okrąża labirynt w poszukiwaniu samego siebie, lecz im mocniej się stara, tym bardziej się gubi. I nie udaje mu się wyjść.

Nie wspomina brata z imienia, ale podpisem na końcu wyraźnie puszcza do niego oko, a to doprowadza Martina do łez: Rolf Miller.

Szlochając na ten widok, płacze nad gestem, nad listem, nad tym, że Eryk nie wyjawiał mu, jak źle się czuje. Niepodważalność jego śmierci wypełnia pokój i pochłania tlen.

Eryk, ostatnimi czasy tak bardzo obecny, nagle znika.

Martin chowa twarz w dłoniach, aby się przed tym wszystkim ukryć.

Sporo później, kiedy się uspokaja, zaczyna stawiać pytania.

Dlaczego Eryk nie szukał u niego pocieszenia?

Czy mógłby coś zrobić?

Co się działo z listem przez tyle lat?

Jakim cudem wypłynął teraz? I dlaczego? W końcu: co chce osiągnąć osoba, która go do niego wysłała właśnie w takim momencie?

Zapala lampę przy biurku i kieruje światło na papier.

Odkrywa coś na marginesie.

Kopia jest dość niewyraźna, więc trudno coś wypatrzeć, ale ma wrażenie, że na brzegu widzi czyjeś pismo.

Wygląda to tak, jakby ktoś zakreślił niektóre słowa i opatrzył je komentarzem. W jednym miejscu na przykład zaznaczono słowo „dramatyczne”, a zaraz obok na marginesie z prawej widnieje adnotacja: „traumatyczne?”.

Martin wstaje, wychodzi na korytarz i kieruje się do magazynku. Po powrocie do gabinetu zamyka drzwi na klucz i pochyla się nad tekstem ze szkłem powiększającym i ponownie studiuje adnotacje.

Po przebudzeniu w poniedziałek na wspomnienie listu czuje się, jakby ktoś uderzył go

w brzuch. Przypomina sobie jednak, co postanowił przed pójściem spać, i to daje mu siłę. Niezależnie od tego, co go dziś czeka, zmierza do stacji końcowej i czuje to całym sobą: otrzyma odpowiedź na pytanie dręczące go od długiego czasu – odkąd miał siedemnaście lat.

Kiedy wchodzi do kuchni i słyszy, że Magda kaszle, natychmiast się orientuje, że nie jest to zwyczajne przeziębienie.

– Musisz z nią zostać w domu – informuje go Åsa.

– Dlaczego ja?

– Bo jest 3 maja.

– No i?

– Wiesz przecież. Mam zebranie w szpitalu.

W desperacji Martin ucieka się do kłamstwa:

– Ja również. Spotkanie wydawnicze!

I tym sposobem znowu stają przeciwko sobie, jak wiele razy wcześniej. Zaczyna się licytacja, czyje obowiązki zawodowe są ważniejsze. On wie, że dzisiaj wyjątkowo nie ma w tej kwestii najmniejszych wątpliwości, ale nie potrafi wiarygodnie wyjaśnić dlaczego.

Dziesięć sekund później ona ogłasza zwycięstwo w nierównej walce – odwołuje się do kalendarza. Stoi tam czarno na białym: 3 maja, zebranie komisji budżetowej.

– Wpisałam je z miesiąc temu – oznajmia.

Martinowi nie pozostaje wiele do dodania. Sam zaproponował taki system.

– Przecież możesz zabrać Magdę ze sobą – próbuje jeszcze, choć wie, że to na nic.

Dyskusje budżetowe u Åsy w szpitalu ciągną się czasem przez cały dzień.

– Do zobaczenia wieczorem – rzuca żona, zostawiając ich samych.

Zaraz potem słyhać, jak jej samochód zjeżdża na ulicę.

Martin patrzy na dziecko siedzące przed telewizorem: Magda jest blada, a gile zwisają jej z obu dziurek nosa.

Gdy tylko cichnie warkot silnika, mówi do niej:

– Wpadniemy do dziadka do pracy?

Przy ostatnim słowie lekko podnosi głos, aby zabrzmiało ekscytująco.

– A musimy?

– Mają tam pełno książek. Pewnie kilka dostaniesz.

Nie odpowiada.

W samochodzie, kiedy jadą do miasta, siedząc obok siebie w milczeniu, znowu ogrania go smutek, że ich relacje tak wyglądają. List Eryka ściał go z nóg. Wytracony z równowagi akurat dzisiaj nie da rady bawić się w radosnego tatusia, ale jedno jest pewne: kiedy tylko zamknie ten rozdział, wszystko się zmieni. Magda nie będzie dorastała w przeświadczeniu, że on jest jej labiryntem. Za dużo czasu już stracili.

Siada u ojca w gabinecie. Ołowiane chmury okrywają Riddarfjärden szarością. Deszcz stuka o szybę.

– Powiedz, o co chodzi – zachęca go znów ojciec. – Bardzo mnie zaniepokoiłeś. Czy to ma coś wspólnego z Åsą? Rozwodzicie się?

Martin odnotowuje, że staruszek zasiada w tym samym skórzanym fotelu, który zajmował od lat siedemdziesiątych, kiedy obaj z Erykiem rozrabiali na korytarzach wydawnictwa.

Nadal jest zdumiewająco witalny. Siwe włosy zaczesane do tyłu. Drobne loczki na karku. Popielata koszula.

Wygląda co najwyżej na sześćdziesiąt pięć lat. Ma o dziesięć więcej.

– Nie, nie rozwodzimy się – zaprzecza syn.

– Coś nie tak z Magdą? Stało się coś? Moim zdaniem wygląda na chorą...

– Nie o to chodzi.

Martin wstaje i przez uchylone drzwi kolejny raz zagląda do córki. Siedzi tam, gdzie ją posadził, czyli w sali konferencyjnej tuż obok, i wertuje książki dla młodzieży, które przed nią rozłożył.

– Potrzebujesz pieniędzy? Wystarczy powiedzieć. Sveavägen marnie płaci. Cholera, dlaczego nie przyjdiesz pracować dla mnie? Mówiłem ci przecież, że...

– Często o nim myślisz?

Syn spogląda na ojca, uważnie studiując jego mimikę.

– O kim?

– O Eryku.

Mowa ciała ojca ulega zmianie. Martin nie potrafi ocenić, czy humor psuje mu się bardzo, czy tylko trochę.

– Bez przerwy – wyznaje wreszcie.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

Staruszek spuszcza wzrok.

– Co?

– Dlaczego, twoim zdaniem, popełnił samobójstwo?

– Nie mamy pewności, że tak właśnie było.

– Owszem, mamy. Chyba między sobą możemy przyznać, że się zabił.

– Czyżby?

– Tak. Spróbujmy raz jeszcze... Co pchnęło go do odebrania sobie życia? Według ciebie.

– Nie na każde pytanie istnieje odpowiedź. Zawsze to powtarzałem. Trzeba zaakceptować, że nie wszystko da się pojąć.

– Zazwyczaj się na to powoływałeś. Na brak odpowiedzi. To tchórzostwo. I błąd. Istnieją niepodważalne fakty. Schizofrenia mamy. Śmierć Eryka. Nie okazywałeś mu wsparcia. I tak dalej...

Gunnar wygląda na wstrząśniętego.

– Niełatwo być rodzicem.

– W twoim przypadku. Tobie sprawiało to problem.

– Doprawdy? Jak często w środku tygodnia spędzasz wieczory w domu? Kiedy was ostatnio odwiedziłem, Åsa płakała ze zmęczenia. Twierdziła, że bez przerwy pracujesz.

Martin podchodzi do drzwi i rzuca okiem do drugiego pokoju. Magda wygląda na znudzoną. Gapi się przed siebie.

Nie ma co dłużej zwlekać.

– Dostałem jego list pożegnalny – oświadcza. Studiuje twarz ojca, ale nie udaje mu się nic z niej wyczytać. – Czy to ty go do mnie wysłałeś?

– O czym ty mówisz?

Syn po raz kolejny przygląda się staruszkowi, aby sprawdzić, czy kłamie, ale nie udaje mu się rozszyfrować jego miny, co doprowadza go do wściekłości. Przesiedział już tak czterdzieści pięć lat i nie zamierza robić tego dłużej. Przepelnia go gniew. Wstaje.

– Nic do ciebie nie wysyłałem – oznajmia ojciec.

– Tak się nie robi! Tyle lat łamałem sobie głowę, zastanawiając się, co zaszło. Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś?!

Gunnarowi łzy napływają do oczu. Na jego twarzy maluje się bezbronność.

– No odezwij się!

– Musisz coś zrozumieć... Podejmując decyzję, aby ci tego nie pokazywać, wierzyłem, że postępuję słusznie. Z trudem mi to przyszło, ale byłem przekonany, że tak trzeba – mówi cicho.



- Ja pierdolę!
- Martinie! – Ojciec wyciąga rękę w błagalnym geście.

Syn czuje zbliżające się łzy i próbuje je zdusić. Chce być silny. Odwraca się do okna i oświadcza:

– Tyle lat zachodziłem w głowę nad tym, co się wydarzyło. A ty wiedziałeś. Ale przede wszystkim... Wina, moja i twoja, nie chciałeś o tym pogadać?

- Nie płacz.
- Jeśli nie płakać nad tym, to nad czym?
- Miałem z Erykiem kontakt, o którym nic nie wiedziałeś.
- To znaczy?
- Graliśmy w szachy.

Martin śmieje się i szlocha jednocześnie. To wszystko wydaje się tak surrealistyczne.

A przy tym takie typowe.

- Graliście w szachy?
- Tak. Każdego wieczoru, kiedy znikales u Sabiny, my zasiadaliśmy do planszy.

Widziałem przecież, że jest mu źle!

- Daj spokój!
- Bycie rodzicem nie jest łatwe. Teraz znasz to z autopsji. Ale wiem, że mieliśmy z Erykiem fajną relację. W głębi serca jestem tego pewien. I nikt mi tego nie odbierze. Stałem na czele wydawnictwa, kiedy wasza matka wylądowała w szpitalu, a mimo to robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić wam pogodne dorastanie. Zdaję sobie sprawę z tego, że czasami mi nie wychodziło, ale robiłem, co mogłem. Zwłaszcza dla Eryka. Wysłuchiwałem jego zakręconych monologów i trzymałem za rękę, kiedy płakał. Pocieszałem, gdy było mu smutno.

- Nigdy nie płakał.
- Ależ tak, pod koniec. Był przygnębiony.
- Właśnie to się dla mnie nie klei. Dlaczego przychodził do ciebie, skoro uważał, że jesteś

jak labirynt? Nie rozumiem.

- Bo nie chcesz zrozumieć.
- Oczywiście, że chcę. Nie wciskaj mi kitu. Mam tego po uszy w domu. Ojciec przygląda mu się w ciszy przez dłuższą chwilę.

W końcu Martin rzuca:

- No to mnie oświeć!
- Nie!

Martinowi staje serce. Znowu ma dziesięć lat. Gniew taty jest wszechogarniający.

Przypomina mu się to teraz, pamięta jego siłę. Ten lęk, że wróci do domu w złym humorze. Że huknie na niego jak teraz.

– Już się ciebie nie boję – mówi, ale czuje się jeszcze bardziej przerażony niż kiedykolwiek wcześniej.

Ojciec nie powiedział mu jeszcze wszystkiego, ma to wypisane na twarzy.

W końcu wstaje i podchodzi do sejfu stojącego na półce.

Po chwili odwraca się do syna z poźólką kopertą w dłoni. Wręcza ją Martinowi.

Jest zaadresowana do niego. To niewątpliwie pismo Eryka.

- Nie rozumiem...

Nagle przegląda się w oczach ojca. Nie da się ukryć: teraz, kiedy włosy zaczęły mu siwieć, jest do niego bardziej podobny. I ma te same brwi. Przychodzą mu na myśl słowa Åsy, które rzuciła na samym początku ich znajomości, patrząc na zdjęcie, którego nie cierpiał: „Wdałeś się w niego”.

Wówczas nie rozumiał, ale teraz to widzi. Chodziło jej o wyraz twarzy.

Ojciec wpatruje się w syna. Martin odpowiada takim samym spojrzeniem i takim samym grymasem.

W tym momencie dociera do niego – po raz pierwszy w życiu – że świat wewnętrzny staruszka może być równie skomplikowany jak jego własny. Kiedy się nad tym wcześniej zastanawiał, ta myśl wydawała mu się przerażająca. Nigdy tak mocno jak teraz nie uderzyła go świadomość, że ojciec, podobnie jak on, boryka się z mnóstwem sprzeczności wobec życia i siebie, że ma tyle samo lęków i nadziei. Uczucie jest tak intensywne, że trudno mu się opanować, aby nie krzyczeć. To, że ojciec wyciąga do niego dłoń, wcale nie pomaga.

Gunnar bierze go za rękę. Jego jest żylasta i pomarszczona, ale mimo wszystko znajoma.

– Wiesz, on nie miał racji...

Podnosi kopertę. Widnieje na niej imię Martina.

Więc wyrzuty poczynione w liście mogą być skierowane nie do ojca, lecz do brata. Eryk ani razu nie odwołuje się do konkretnie do ich taty – zwraca się do kogoś w drugiej osobie.

Gunnar staje obok niego i niemal szeptem mówi:

– To nie twoja wina. Po prostu zakochałeś się w swojej pierwszej dziewczynie. Nie mogłeś go uratować.

Jego głos dociera do Martina jakby zza szyby. Słyszy, że ojciec podejmuje ostatnią próbę, choć musi się liczyć z tym, że to na nic.

– Nie miałem wyboru, musiałem go schować. Wiedziałem, że to by cię przytłoczyło, że obarczałbyś się winą.

Martin nie słucha. Żeby zyskać chwilę na zastanowienie, puszcza rękę Gunnara i odwraca się do niego plecami. Zerka na potężne drzewa nad zatoką, które bezgłośnie kołyszą się za oknem.

– Nie popełniłeś błędu. Nie miałeś pojęcia... – zaczyna ojciec.

– Jest jedna rzecz... Nikomu o tym nie mówiłem – mówi Martin i siada w fotelu stojącym w rogu.

– Tak?

– To było na tydzień przed jego śmiercią. Spędzałem czas u Sabiny. Eryk pojawił się u niej i poprosił, abym wyszedł na ulicę. Właśnie się przejaśniło po deszczu. Wyrzało słońce i pachniało ziemią. Płakał jak dawniej... W dzieciństwie często się mazał, zawsze odwrócony. Ten drżący podbródek, kiedy starał się opanować... Znałem to. Choć od lat mu się to nie zdarzało. Chciał z nami pogadać. Twierdził, że hamuję go w co najmniej takim samym stopniu jak ty.

– Kiedy to się dokładnie stało?

– Wmówiłem sobie, że to nie miało znaczenia, że był skołowany... Mówił, że zmęczyło go podążanie moimi śladami, podziwianie mnie, ale że innego sposobu na życie nie zna. Słuchając go, byłem bardziej zaabsorbowany własną reakcją. Analizowałem ją, podobała mi się. Przede wszystkim to, że nie czułem się związany z tym, o czym opowiadał. Mój chłód emocjonalny świadczył o tym, że uwolniłem się od tego, co opisywał: że nie postrzegam siebie jako zakładnika w życiu drugiej osoby. – Martin podnosi wzrok, ale widząc, że ojciec nie zamierza komentować, ciągnie dalej: – Rozumiesz... nie zdenerwowałem się jego zarzutami. Sam nie raz i nie dwa równie rozchwiany ścierałem się z tobą, wiedziałem więc, jakie to ważne, aby zwerbalizował swoją agresję pod moim adresem, skoro ją w sobie nosił. Sam pozbyłem się jej, kiedy ci wyznałem, jak się czuję. Tak sobie właśnie myślałem – że potem nastrój mu się poprawi, że konfrontacja mu pomoże. Dlatego...

– Tak?

- Dlatego chciałem mu pomóc postawić pierwszy krok.
- W czym?
- W odcięciu się ode mnie. Uznałem, że jeśli się na mnie wkurzy, to mu się poprawi...
- Co zrobiłeś?
- Kilka dni wcześniej wręczył mi maszynopis, część powieści, nad którą pracowaliśmy.

Powiedziałem mu, bez owijania w bawełnę, że to, co napisał, do niczego się nie nadaje. Że jest chaotyczne i nie do przyjęcia...

Ojciec patrzy na Martina i spokojnie kiwa głową.  
Siedzi w samochodzie obok Magdy. Nie włącza silnika.

– Dlaczego nie ruszamy? – pyta córka.

Nie odpowiada. Próbuje się skupić.

– Chcę do domu.

– Zaraz pojedziemy.

– Chcę już.

Potem dzieje się to, co zawsze, kiedy wpada w furję: to prawie tak, jakby znajdował się poza własnym ciałem i przyglądał się sobie z boku. Kiedy przestaje wrzeszczeć, zapada grobowa cisza, wręcz ogłuszająca. Odwraca się do Magdy.

Przerażenie w jej oczach sprawia mu ból.

– Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Wybacz mi, proszę...

Dziewczynka nie odpowiada.

Kładzie dłonie na kierownicy. Drżą.

W głowie kołacze mu się myśl: „To stacja końcowa”.

Dotknął dna.

Życie, jakie wiódł, dobiegło końca.

Nie pozostało nic z tego, co budował. Nic z tego, co uważał za prawdę.

Jedyną szansą, aby mógł ze sobą wytrzymać, jest teraz przekonanie samego siebie, że wszystko będzie robił inaczej, że zacznie budować swoje życie od nowa.

Obejmuje to naprawę relacji z Magdą, Åsą i ojcem. Może nawet z Christiną.

Z jakiegoś powodu, siedząc z walącym sercem w samochodzie, myśli właśnie o niej, usiłując wymyślić, jak się odbić od dna.

Poczucie winy za to, jak wobec niej postąpił, uruchamia wszystko, czym zdręczał się od ponad sześciu miesięcy.

Porzucił ją. Tak samo jak zostawił Eryka.

Nie dopuści do tego, aby sytuacja się powtórzyła. Nie chce być winny drugiego samobójstwa.

Okropnie ją potraktował. Musi ją odnaleźć i przeprosić. Koniecznie teraz.

To będzie pierwszy krok ku nowemu życiu.

Spogląda na zegarek. Jest trzecia dwadzieścia. Powinien zdążyć się z nią spotkać.

Właściwie nie ma pośpiechu, zwlekał z tym pół roku, może poczekać drugie tyle. Ale po tym, co zaszło u ojca, jest przerażony i chce się z tego otrząsnąć. Zadośćuczynieniem Christinie i przyznaniem się jej, że wina leży całkowicie po jego stronie, chce otworzyć nowy rozdział swojej historii.

Telefonowanie jest zbyt dużym ryzykiem. Pojedzie do niej. Magda może poczekać godzinę w jego kawalerce. Zdąży położyć małą spać przed powrotem Åsy.

Zjeżdża między Riddarholmen i Gamla stan i kieruje się na północ.

W pamięci przez cały czas przywołuje twarze ojca i Eryka. Musi się pilnować, żeby jechać prosto.

- Dokąd jedziemy?
- Muszę odbyć krótkie spotkanie. Poczekaś w fajnym miejscu.
- To samo mówiłeś o biurze dziadka. Wcale nie było tak super.
- Są tam filmy, które możesz obejrzeć.
- Mam gorączkę.
- Jest też kanapa, jeśli chcesz odpocząć.

Mała nie odpowiada.

Jadą w ciszy. Martin okrąża Norra Bantorget i wjeżdża na Wallingatan, później przecina Drottninggatan i w końcu wpada w Adolf Fredriks Kyrkogata.

Wszystko dzieje się mechanicznie. Parkuje, otwiera drzwi, wchodzi z Magdą do windy, potem do mieszkania, wskazuje jej sofę.

– Co to za miejsce? – pyta córka.

– To mieszkanie wydawnictwa – kłamie. – Nocują tu zagraniczni autorzy, którzy przyjeżdżają z wizytą.

Nie chce, aby dziecko wygadało się o jego kryjówce przed Åsą. Sam zamierza jej o tym powiedzieć dziś wieczorem. I tak zrobi. Wszystko jej wyjawia. To jedyna droga naprzód.

– Niedługo wrócę, masz tu parę filmów do wyboru – mówi do córki, pokazując, gdzie jest łazienka i jak uruchomić DVD. – Tu jest pilot.

Magda patrzy na niego bez słowa, przyciskając do siebie misia.

– Jak wrócę, zrobimy razem coś fajnego.

– W takim razie chciałabym pojechać do domu.

Martin kiwa głową i wychodzi. Dla pewności zamyka drzwi na oba zamki.

Zbiega na dół po schodach i wsiada do samochodu. Zegarek wskazuje trzecią czterdzieści.

Leje jak z cebra, a do tego na Sveavägen panuje ścisk, jak to w piątek po południu, więc dojazd przez Västerbron do Hornstull zajmuje mu dwadzieścia minut. U celu parkuje w miejscu, w którym przystawał, kiedy odwiedzał Christinę w lecie.

Te wizyty, jak się teraz reflektuje, wyglądały jak kadr z marnego filmu: żonaty facet wpada do biura kochanki z kwiatami, aby zamaskować wyrzuty sumienia, które pojawiają się, ponieważ się nie rozwodzi.

Wspomnienia sprawiają mu ból. Ale poprosi ją teraz o wybaczenie i rozstaną się w zgodzie. Nie będą się więcej widywać, ale też nie pozostaną skłóceni.

Ostrożnie zbliża się do antykwariatu i ze względów bezpieczeństwa przystaje najpierw na uboczu, aby nie wpaść na nikogo, kto mógłby go rozpoznać.

Następnie idzie parę kroków i udaje, że studiuje powieści na wystawie, ale tyle ich tam upchnięto, że trudno cokolwiek wypatrzyć.

Wkłada okulary przeciwsłoneczne i rozpiną kołnierzyk. Kiedy otwiera drzwi, rozlega się dzwonek i staje oko w oko ze starszą panią.

Nie może się przemóc, by zapytać o Christinę, więc kręci się trochę po ciasnym sklepiku, rzekomo oglądając woluminy. Za każdym razem, kiedy przechodzi obok wejścia do biura na tyłach, zagląda do środka, ale w pokoju jest pusto.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – zagaduje po pewnym czasie starsza kobieta.

– Owszem. Czy jest Christina?

Natychmiast czuje, że coś jest nie tak. Sprzedawczyni zakrywa usta dłonią i odkłada książkę na bok.

– Kim pan jest?

– Przyjacielem.

Ku jego zdumieniu antykwariuszka podchodzi bliżej i kładąc mu rękę na ramieniu, cicho mówi:

– Bardzo mi przykro, ale Christina nie żyje.

W drodze do samochodu udaje mu się zachować spokój.

W środku krzyczy z całych sił i uderza rękami w kierownicę.

To jest nieprawdopodobne. Nie pojmuję, dlaczego to się powtarza.

Włącza silnik, choć coś podpowiada mu, że nie powinien.

Najpierw Eryk, teraz Christina.

Skręca w Ringvågen.

Jedzie coraz szybciej, jakby uciekał od tych wydarzeń. Chce dotrzeć do córki, tęskni za nią, potrzebuje jej, pragnie przytulić. Rozpędza się coraz bardziej. Drogi są mokre po deszczu, ale nic sobie z tego nie robi.

Mijając szpital Åsy, wpada w poślizg, przecina linię dzielącą pasy i wjeżdża pod prąd, na szczęście droga jest pusta, więc udaje mu się wrócić na swoją stronę. Wtedy jednak autem zarzuca po raz drugi, Martin wciska hamulec, zatacza kółko i wreszcie zatrzymuje się na poboczu.

Zapada zupełna cisza.

To cud, że nie spowodował wypadku i zatrzymał się tuż przy chodniku.

Zamyka oczy, aby dojść do siebie.

Chowa twarz w dłoniach, czuje, że są mokre.

Wmawia sobie, że właściwie to wszystko jest bardzo proste.

Zabił dwoje ludzi.

Swoim postępowaniem doprowadził do śmierci dwóch osób i aby samemu w ogóle mieć prawo do życia, musi się stać kimś innym.

Wszystko musi się zmienić. I tym razem wszystko się zmieni. Potrzebuje Åsy. Potrzebuje Magdy. Mówi mu to każda cząsteczka jego ciała. Pragnie uściskać żonę, wszystko jej wyznać. Opowiedzieć o swoich wątpliwościach, o Christinie, kawalerce, o powieści i liście pożegnalnym Eryka.

To jedyna droga.

Wielkie ciężarówki przejeżdżają obok z łoskotem.

„To jest mój punkt zwrotny” – myśli i chwyta za komórkę.

Próbuje nie płakać.

– Mam tylko krótką przerwę... – mówi zdenerwowana żona.

– Słuchaj, chciałbym pogadać z tobą w ciszy i spokoju. Może byśmy wyszli z domu?

Poszli do restauracji?

– Dlaczego?

– Mam ochotę.

– Masz dziwny głos. Coś się stało?

– Nie.

– Nie da rady. Nie znajdziemy opiekunki w tak krótkim czasie. Poza tym w lodówce jest kurczak.

– Nie chcę dzisiaj jeść w domu.

Po drugiej stronie linii zapada cisza. Martin słyszy własny oddech. Stara się go wyrównać.

– Możemy pójść do knajpy koło nas.

– A co z Magdą?

– Jest chora, zaśnie wcześniej. Może zostać w domu.

– No dobrze – przystaje Åsa. – Nie umrze od tego. U mnie jeszcze trochę to potrwa. Gdy tylko skończymy, przyjadę prosto do restauracji. Dwudziesta trzydzieści?

– Tęsknię za tobą.

Åsa zwleka z odpowiedzią. Pewnie jest zaskoczona. Nie powiedział jej czegoś podobnego od lat. Ma prawo zachowywać się z rezerwą.

– Do zobaczenia – rzuca w końcu.

Martin wraca na szosę, dociska pedał gazu. Przestało padać i teraz słońce przebija się przez chmury.

Ma już plan, jak się zachować podczas kolacji. Po pierwsze pozwoli jej się wygadać, wysłucha, zabawi, zero pośpiechu. Najpierw muszą do siebie dotrzeć. Później wszystko jej opowie.

Nie obawia się jej oceny – już sam ją sobie wystawił. Niepokoi się jedynie tym, że mogą się nie odnaleźć, że wszystkim będzie musiał zająć się sam.

Parkuje przy Adolf Fredriks Kyrkogata i pędzi do mieszkania. Wbiega po schodach. Otwiera drzwi i widzi, że Magda jest wściekła.

– Mówiłeś, że zaraz wrócisz! – krzyczy rozżłoszczona i ciska w niego maskotką. Nie trafia. Pluszak ląduje na podłodze. – Krwawię – mówi i pokazuje stopę z rozcięciem na podbiciu. Na parkiecie widać ślady krwi.

– Co się stało?

– Zepsuło się DVD. Płyta utknęła w odtwarzaczu. Podniosłam go, żeby ją wytrząsnąć, i wtedy spadł mi na nogę. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

Martin idzie do łazienki i zaczyna szperać w szafkach, szukając czegoś, co nadawałoby się na bandaż. Przegląda się w lustrze i oblatuje go strach. Sam siebie nie poznaje. Jest blady, ma potargane włosy, wytrzeszczone oczy.

Przeklina się za to, że znów ją rozczarował.

„To był ostatni raz” – obiecuje sobie.

– Przepraszam – mówi do córki, owijając jej stopę papierem toaletowym. – Jutro zrobimy coś fajnego. Dobra? Co ty na to? No?

– Chcę już jechać do domu.

W jej oczach dostrzega rezygnację. Chyba w końcu do tego doszło: Magda straciła co do niego nadzieję. Ale jeszcze się uda. Czeka go sporo pracy, aby odbudować z nią relacje, ale jest zdecydowany, by do tego doprowadzić. Zacznie dziś wieczorem. Najpierw z Åsą, potem z małą. Krok po kroku odzyska rodzinę.

Papier toaletowy przesiąkł krwią, więc idzie po nowy i przyciska do rany.

Kiedy krwawienie ustaje, Martin wyłącza telewizor, gasi światło i bierze córkę za rękę, ale ona natychmiast mu się wyrывa.

## Katja

luty–maj 2010

Mieszkanie, kiedy przebywa w nim sama, wydaje się większe. Zachodzące słońce zalewa cały salon. To trzeci dzień Toma w wydawnictwie. Katja delectuje się ciszą. Pracował w domu, odkąd ona sięga pamięcią. Niespokojnie krążył z pokoju do pokoju, często głośno rozmawiając przez telefon, więc miło popołudniami mieć dom tylko dla siebie.

Zaraz po powrocie ze szkoły usadawia się na kanapie z notatnikiem na kolanach. Robi tak od przyjazdu z Londynu. Jeszcze nic nie napisała. Przykłada długopis do kartki, zbliża się do pierwszego słowa.

To, co planuje, łamie jej wszystkie zasady i właśnie dlatego, że czuje opór, jest jeszcze bardziej zdeterminowana. Kiedy Martin zaproponował jej ten sposób pracy, zniechęciła go za to. Każdą cząsteczką ciała. Ale w Londynie, gdy spojrzała mu w oczy, zobaczyła, że w to wierzy, i jego argumenty nabrały innego znaczenia.

Coś ważnego zaszło w hotelowym pokoju, ale zrozumienie tego, co się stało, nie jest takie proste. Spodziewała się groźnego faceta znęcającego się nad dzieckiem, a stanęła twarzą w twarz z zagubionym mężczyzną, który szukał pociechy. Mimo to trochę trwało, zanim opuściła gardę.

W jednej chwili podniósł się i stanął władczo na szeroko rozstawionych nogach. W następnej zapadł się w siebie jak przekłuty balonik. Wtedy, kiedy zapytała, czy ma dzieci.

– Tak, córkę.

I nagle zupełnie bezwładnie opadł na koldrę. Odruchowo zaczęła się do niego zbliżać, niczym drapieźnik, który podjął trop. Ostrożnie przysiadła na brzegu łóżka i pochyliła się lekko do przodu, aby słyszeć, co mówi, a on w końcu odezwał się szeptem:

– Nie znam jej.

Miał ściśnięte gardło, jakby powstrzymywał się przed płaczem. Dokładnie studiowała w ciemności jego twarz, wyczulona na najdrobniejszy sygnał, który mógłby go zdradzić.

– Czasami patrzy na mnie tymi przerażonymi oczyma... Jakbym miał ją uderzyć.

– A zamierzałeś?

– Nie! Ale przecież ona mnie nie zna, więc może myśleć, że tak.

Właśnie w tamtym miejscu i w tamtym momencie poczuła, że jest niewinny. Potwierdziła to dalsza rozmowa. Nieśmiało, ale szczerze opowiedział jej, że kiedy dorastała, za dużo pracował, i że podejrzewa, iż znęca się nad nią niejaki Johan, ponieważ widzi, jak za każdym razem sztywnieje na jego widok. Wyznał też, że wygląda to tak, jakby mała w domu nie czuła się dobrze.

– Wychodzi na dwór zaraz po powrocie ze szkoły. Wraca czasami dopiero wieczorem. A ja się z tego cieszyłem. Lubilem, kiedy wychodziła, kiedy znikwała, bo zapewniało mi to ciszę i spokój.

Zwierzał się jej w skupieniu, które było rozbrajające. Wszystko, co wtedy mówił, miało pewien ciężar. Refleksyjnym tonem głosu jakby zasysał ją w tę historię.

Obserwowała go, kiedy opowiadał, i z wolna docierało do niej, że mimowolnie zaczyna go darzyć sympatią. Nie знаła powodu. Spędzili w tym pokoju raptem dwadzieścia minut, a jednak, choć nie powiedział ani nie zrobił nic wyjątkowego, przebywanie w jego obecności wyraźnie sprawiało jej przyjemność.

Opisała to kiedyś. Jej pierwszy tomik traktował o tym, że każdy człowiek nadaje na pewnej określonej częstotliwości, niewidocznej i niesłyszalnej dla ucha, ale wyczuwanej przez

otoczenie. Ten przekaz, podobnie jak czyny, kształtuje opinię dwóch osób o sobie nawzajem. Jakąś częścią siebie odbierała sygnały Martina, to był fakt, i tej części się to podobało.

A może po prostu wyłączyła sceptycyzm.

Od wieków nie przebywała sam na sam z osobą, z którą nie łączyłaby jej przeszłość. Miała szansę się wewnętrznie odrodzić, spojrzeć na siebie samą. Mogła stać się taka, jaka chciała być. Czuła wolność i zdrową woń znajomej swobody.

Prawdopodobnie była to po prostu kwestia alkoholu – rozgrzewającego i gorzkawego trunku podanego z lodem – który ją rozluźnił i przytłumił uprzedzenia. Nie przywykła do tak mocnych drinków.

Otoczenie również odgrywało w tym pewną rolę. Znajdowali się w obcym kraju, w pięciogwiazdkowym hotelu, z panoramą miasta za oknem.

A oprócz tego wszystkiego – jego oczy!

Gdy zaczął płakać, już nie mogła się opanować. Oglądanie emocjonalnego striptizu, który przed nią wykonywał, było przejmujące. W końcu pod wpływem impulsu okazała mu wsparcie i dotknęła jego ramienia.

Od razu się do niej odwrócił i chwycił za rękę.

W okamgnieniu dystans między nimi przestał istnieć. Jego dłoń była ciepła i kiedy zamknęła się wokół jej własnej, z wrażenia prawie zwała ją z nóg. Wiedziała, że to tylko takie doznanie, ale uczucie okazało się tak intensywne i kojące, że zaakceptowała je, przyjęła i pozwoliła mu się wypełnić. Rozważała wręcz, czy również nie ułożyć się w pozycji embrionalnej. To byłoby takie oczyszczające – zapaść się tak, jak on przed chwilą – jednak nie potrafiła się przemóc.

Pogładziła go za to drugą ręką po plecach, na co pojedyncza łza zakręciła mu się w oku i spłynęła po policzku. Kiedy w końcu odwrócił się do niej, wiedziała, że będą się kochać. Spojrzała w jego szeroko otwarte spokojne oczy bez zahamowań i ani przez myśl jej nie przeszło, aby odwrócić wzrok. Pochyliła się i go pocałowała. Jego gorące usta smakowały słodko jak whisky.

Obudziła się, kiedy na dworze panował jeszcze mrok. W pierwszym odruchu chciała jak najszybciej opuścić ten pokój. „Jeśli zdążę wyjść, zanim zrobi się jasno, to jakby nic się nie wydarzyło – pomyślała. – Jeśli wślizgnę się do swojego pokoju, zanim on się obudzi, to znaczy, że nie byłam niewierna. A to wszystko okaże się tylko snem”. Wstała więc, aby się ubrać, i ruszyła do drzwi z butami w dłoni.

– Jak ci na imię? – zawołał za nią.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Pierwsza smuga świtu rozblęsnęła w oddali, gdzie za miastem rozciągał się pagórkowaty angielski krajobraz. Szybko wstał z łóżka, nagi, a jego pytanie wciąż wisiało w powietrzu. Chciała od niego uciec, więc odwróciła się i położyła rękę na klamce.

Jednak coś ją powstrzymało.

Zawróciła i przeszła przez pokój do biurka, na którym leżały kartki i długopis z logo hotelu.

– Co piszesz?

– Proszę – wręczyła mu karteczkę.

– Co to?

– Mówiłeś, że chcesz mi pomóc. Zobacz, czy w wydawnictwie nie znalazłoby się jakieś zajęcie dla tego chłopaka. Ile osób zatrudniacie? Sto? Dwie? Pewnie jest coś, co mógłby robić.

– Kto to jest? – zapytał Martin ze śmiechem.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Potrafi czytać i pisać. A ty jesteś, jak mówisz, wydawcą.



Horn zerknął na kartkę, a potem podniósł kciuk do góry i uśmiechnął się pewnie, mimo że był nagi. Katja zadała sobie w duchu pytanie, co by było, gdyby została w tym pokoju – gdyby raz w życiu przestała słuchać intuicji i zamiast uciekać, spędziła z nim trochę czasu.

– Zobaczmy się jeszcze? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

– Czyli nie...

W windzie ogarnął ją smutek. Poczula się po prostu niesłuchanie sobą zmęczona.

Nie z powodu niewierności – z tą umiała sobie poradzić – zaczynała godzić się z myślą, że jej związek z Tomem zmierza ku końcowi. Przygnębiło ją, że poczuła się osaczona bliskością i związała, zamiast zostać.

Jakiś czas później, już w samolocie do Szwecji, poczuła pustkę. Wypiła buteleczkę czerwonego wina i natychmiast zasnęła.

Ocknęła się na fotelu dość oszołomiona – zdezorientowana, spocona i rozpalona – bo pierwszy raz od lat przyśnił jej się bunkier. Przez pewien okres stale pojawiał się w jej snach. Poczula, że jej tego brakuje – poczucia bezpieczeństwa, które zapewniał, ciepła i zapalonych świec.

Chciała do niego wrócić. Tam wszystkie sprawy wydawały się proste. Tam nie musiała się wstydzić, że jest sama. Nie miała wyrzutów sumienia, że odstaje od reszty.

Przypuszczała, że to spotkanie z Martinem przywołało wspomnienia o bunkrze. Nie odpuszczał – kilka razy powtórzył, że powinna napisać o swoim dzieciństwie. Bawiła się wówczas pomysłem, czy nie powiedzieć mu wszystkiego: że już raz przeczytał jej książkę i że zupełnie mu się nie spodobała. Lecz przecież popełniła ją osoba, która broniła się przed powrotem do przeszłości.

Kto wie, czy Horn nie miał racji. Jak można pisać o dzieciństwie, nie dokopując się do samego dna?

Usiłowała z powrotem zasnąć, ale na próżno. We śnie znajdowała się w swojej kryjówce, w której, otoczona świecami, czuła się bezpieczna i wolna. Było cudownie. Zamknęła oczy, aby wrócić do tego stanu. Przypomnieć sobie bunkier.

Miała dziesięć lat, kiedy pewnego dnia Johanna – jedna z dwojga adoptowanych dzieci w szkole – zawołała ją na podwórku. Pochodziła z Chin i była szykanowana, ponieważ nosiła protezę oka. Przezywana „porcelanowe gały” kręciła się po dziedzińcu odtrącona i nieszczęśliwa, łypiąc na wszystkich zdrowym okiem. To znaczy do dnia, w którym zwróciła się do Katji w nadziei, że coś u niej wskóra, ponieważ obie były adoptowane.

Na tyłach sali gimnastycznej Johanna oznajmiła, że chce jej pokazać swoje sekretne miejsce. Ruszyły więc spacerem przez łąkę i dotarły do lasu.

Koleżanka poprowadziła ją przez gęstwinę do polany, gdzie słońce przeświecało przez korony drzew. Zobaczyła labirynt ułożony z czarnych kamieni, ścieżki między nimi wysypano białym grysem.

Ale Johanna się nie zatrzymała – pobiegła kilka metrów dalej, w zarośla po drugiej stronie przesieki, i pochyliła się nad białym głazem z przykręconą tabliczką. Katja najpierw pomyślała, że chce przeczytać, co jest na niej napisane, ale ona położyła dłonie na kamieniu, zaparła się stopami i odrzuciła go jakieś pół metra w bok.

Pod spodem, w ziemi pokrytej korą, zobaczyła kwadratową klapę.

– To jest moje sekretne miejsce – powiedziała Johanna i łypiąc za róg pokrywy, podniosła ją.

Katja zajrzała do dziury, ale panował tam tylko mrok.

– Chodź! – rzuciła koleżanka i zaczęła schodzić po metalowej drabince.

W pierwszej chwili Katja się zawahała, ale ostatecznie podążyła za nią w chłodną ciemność, czując narastający strach. Nie dało się wykluczyć, że Johanna zasada się na nią na dole z młotkiem w dłoni, bo chce ją ukarać za to, że nie kiwnęła palcem, kiedy ta była dręczona w szkole. W końcu ostrożnie postawiła stopy na twardej podłodze.

Zaraz potem w kącie rozbłysła latarka, odsłaniając coś diametralnie innego niż kloaka, której się spodziewała.

Domyślała się, że pomieszczenie było dawną piwnicą albo opuszczonym schronem, który Johanna udekorowała poduchami i starymi dywanikami. Miało najwyżej dziesięć metrów kwadratowych. Koleżanka pozawieszała tam obrazki i popękane ramki, przytасzczyła poduszki i materac. Teraz zapaliła parę świec i opowiedziała Katji historię tego miejsca.

To Rachela pokazała jej ten bunkier rok temu, przed samym wyjazdem. Chodziła do równoległej klasy i również była odludkiem, ale z jakiegoś powodu powierzyła jej swoją tajemnicę. Pewnie zauważyła, że ona też potrzebuje bezpiecznej kryjówki. Bunkier stanowił więc swego rodzaju pałeczkę w sztafecie, którą przekazywały sobie samotne dzieci z Brommy. Katja od razu się na to oburzyła. Kim były Rachela i Johanna, aby decydować, kto będzie miał dostęp do tego magicznego miejsca?

Dwa dni później to było jej miejsce. Druga dziewczynka przyjęła to dość spokojnie i nie przychodziła jej przeszkadzać. Dorosłą Katję dręczyły czasem przez to wyrzuty sumienia, ale wyszukała Johannę na Facebooku i stwierdziła, że chyba ma się dobrze, przynajmniej sądząc po jej profilu: gruba, z mężem i trojgiem dzieci, członkini Partii Centrum.

Bunkier stał się dla Katji drugim domem.

Uwielbiała go. Zachwycała ją ta otoczka tajemniczości. To wymykanie się do lasu – baśniowego, bujnego, pełnego wilgotnej zieleni. Mijanie labiryntu, przenoszenie głazu i później, po wyjściu, odkładanie go na miejsce.

W samolocie doznała olśnienia.

W dorosłym życiu nikomu o tym nie opowiadała – nawet Tomowi – co chyba świadczyło o wadze, jaką przywiązywała do tego miejsca. Rozkoszowała się każdą chwilą, którą tam spędzała. Dobrze rozumiała, dlaczego przyciągało osamotnione dzieciaki, takie jak Rachela i Johanna. Bunkier był azylem ostatecznym. Na dole świat przestawał istnieć. W środku nie była niewidoczna. Publiczność wiwatowała, kiedy przy magnetofonie na baterie śpiewała z playbacku, jej kolor skóry był zaletą, a kiedy tańczyła na scenie, padało na nią światło reflektorów.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania na Arlandzie i turbulencje przybrały na sile.

Katja przypomniała sobie o psycholożce ze szkoły, do której wówczas chodziła. Ciekawe, czy dalej pracuje jako terapeutka.

W dole migotały światła miasta.

Pomyślała o radzie Martina: „Musisz wrócić do przeszłości”.

Właśnie zaczęła to robić.

Godzinę później przekroczyła próg mieszkania i przejrzała się w lustrze, badając, czy widać po niej zdradę, ale szybko uznała, że nie ma się czym niepokoić. Tom był zbyt podniecony, aby przywiązywać wagę do jej wyglądu. Biegał po domu, pokrzykując radośnie i wymachując rękami.

– Dostałem dziś rano e-mail! Martin Horn chce się ze mną spotkać. Martin Horn! Masz pojęcie?! Musiał czytać mój blog!

„Szybki” – pomyślała i mimowolnie wzruszyła się tą jego bezgraniczną euforią.

– Chodź, pójdziemy do wydawnictwa!

Roześmiała się na tę absurdalną propozycję.

– Chcę tylko obejrzeć budynek! – przekonywał.

Jeszcze raz zachichotała, ale wreszcie przystała na ten plan, byle tylko nie siedzieć w mieszkaniu.

Trzymając się za ręce, ruszyli Sveavägen.

Jego nastrój okazał się zaraźliwy. Złapała się na tym, że rozważa, czy rzeczywiście nie ma dla nich przyszłości. Jeśli tylko dostanie pracę, może się odnajdzie. Tak się ucieszył na wiadomość od Horna, że zobaczyła go w nowym świetle. Tego wyjątkowego wieczoru odzyskał młodzieńczą energię, biła od niego siła, za którą tęskniła. Więc kiedy stanęli pod wielkimi drzwiami wydawnictwa, objęła go mocno i postanowiła dać ich związkowi jeszcze jedną szansę.

I tak od spędzania ze sobą całych dni Katja i Tom przechodzą w ciągu następnych dwóch miesięcy do niewidywania się prawie wcale. On haruje w wydawnictwie, zaabsorbowany Martinem i swoją nową posadą, a ona w szkole, kiedy akurat nie siedzi w domu zajęta pisaniem.

Czasami za wielkim oknem przemyka Magda. Katja zatrzymuje się wówczas na chwilę, śledzi ją wzrokiem, jakby sprawowała nad nią pieczę. Pewnego razu obserwuje, jak Martin odprowadza ją do furki – to piękny widok, utwierdzający ją w przekonaniu o jego niewinności. Pochyla się nad małą i długo trzyma ją w ramionach.

Popołudnia poświęca na książkę i kiedy Tom wraca z pracy około ósmej, ona właśnie się rozpędza, pochyla nad ekranem i nie chce, aby jej przeszkadzano.

Pamięta, co powiedział Martin: że tylko poprzez zrozumienie dzieciństwa może się uwolnić. Przez całe życie wierzyła w coś zupełnie innego: że wolność można uzyskać tylko dzięki nieoglądaniu się za siebie.

Testuje teraz bardziej konwencjonalną propozycję Martina i podoba jej się to. W końcu staje się panią własnej historii. Dociera do niej, co Horn miał na myśli. Wspomnienia, które dobitnie wystukuje na klawiaturze, jakby odrywały się od niej w miarę przelewania na papier. Powoli, ale systematycznie strony się zapełniają i powolutku, lecz pewnie, wyłania się motyw przewodni. Książka wydaje się bardziej niż o czymkolwiek innym opowieścią o dorastaniu przy egoistycznych rodzicach.

Tomowi oczywiście mówi, że pracuje nad tomikiem poezji. Głupio jej się tłumaczyć, że pisze powieść autobiograficzną. Ryzyko, że wywęszy jej blef, jest równe zeru, ponieważ dużo czasu spędza w redakcji.

Początkowo cieszy ją, że on tak uwielbia swoje nowe zajęcie. Z jednej strony daje jej to przestrzeń do pisania, z drugiej sprawia, że on się bardziej otwiera. Przez pierwsze tygodnie podoba jej się ten nowy Tom, uskrzydłony i wreszcie optymistycznie wypowiadający się o przyszłości. Jednak niedługo potem dystans wraca. Wina leży częściowo po jej stronie: zaprzątnięta pisarskimi sesjami niewiele robi, aby się do niego zbliżyć. Ale i on staje się wybitnie mało interesującym partnerem, nużącym rozwlekłymi anegdotami z biurowych korytarzy. Po powrocie z pracy przypomina dziecko po wizycie w parku rozrywki, podniecone ekscytującymi wydarzeniami, w których uczestniczyło.

Redaktor Tom jest małym chłopcem, z ekscytacją opowiadającym o sławnym pisarzu, który zajrzał do oficyny, o swojej ripocie, którą doprowadził kolegę do śmiechu. Poza tym jest coś niezdrowego w sposobie, z jakim odnosi się do Martina, jak się o nim wypowiada. Opisy jego wyglądu i głosu brzmią niemal erotycznie, jakby opowiadał o dziewczynie, dla której stracił głowę. Zatrzymuje się zwłaszcza przy sytuacjach, w których Horn go skomplementował. Roztrząsa te chwile, jakby zawierały rozwiązanie zagadki na miarę życia i śmierci: „Co Martin chciał powiedzieć...” i „Co twoim zdaniem Martin naprawdę miał na myśli, kiedy...”.

A jej zdarza się myśleć o tym, jak bardzo Tom byłby wstrząśnięty, gdyby wiedział o tym, że pisze książkę, którą niedługo wyśle Martinowi. I o tym, że to jej zasługa, iż w ogóle ma nową posadę.

Ojciec jest prawie nie do poznania. Leży w łóżku i walczy o oddech. W ciągu kilku tygodni jego stan drastycznie się pogorszył. Odpoczywa w swoim pokoju, a personel z opieki domowej zagląda do niego trzy razy na dobę.

Twierdzi, że czuje się dobrze, ale jeśli zapytać pielęgniarek, jak sprawy się mają, dają jej do zrozumienia, że zostało mu niewiele czasu. Ich zdaniem należy teraz maksymalnie uśmierzać jego cierpienia.

Zaciemniony pokój, w którym przebywa, jest duszny i zalatuje stęchlizną. Katja nie może w nim wytrzymać. Proponuje wyjście na spacer i pomaga mu usiąść na wózku inwalidzkim.

Padło, więc powietrze pachnie ziemią i wiosną. Zachodzące słońce przebłyskuje przez korony drzew.

Wychodzą. Popycha wózek przed sobą.

Wszystko wygląda piękniej, niż zapamiętała.

– Trudno mi pojąć, że się tu wychowałam...

– Uwielbiałaś się tutaj huśtać – mówi ojciec, wskazując na maleńki plac zabaw.

– Naprawdę?

– Nie można cię było zaciągnąć do domu.

W jego głosie słychać ciepło, o którym zapomniała. Katja widzi, że się uśmiecha.

– Nie pamiętasz?

W jej wspomnieniach jest letni wieczór, cienie się wydłużają. Tata ma na sobie czarną koszulkę z krótkim rękawem. Śmieje się i mocno odpycha huśtawkę.

– Oczywiście, że pamiętam.

Jakież to mechanizmy podświadomości zataiły przed nią doświadczenia z tego placu zabaw? Przypomina sobie teraz, że często tu z ojcem bywali. Zabierał ze sobą książkę i czytał, kiedy ona grzebała w ziemi. Jego bliskość sama w sobie zapewniała jej poczucie bezpieczeństwa. Raz po raz odrywał się od tekstu, machał do niej i to wystarczało.

Nagle jej wzrok przyciąga zagajnik kawałek dalej.

Dróżka wiodąca do bunkra.

Spogląda między pnie drzew, poznaje każde z nich.

Trudno jej pojąć, że tło wydarzeń, do których doszło wieki temu, nadal istnieje.

Nie potrafi zdecydować, czy ją to przeraża, czy roztkliwia.

– Co słyhać u Toma?

– Jest zachwycony nową pracą.

– Fajnie.

– Albo... zakochany w Martinie Hornie.

– Młody Horn jest zdolny. Znam go od małego. Tragiczna historia...

– Co masz na myśli?

– Jego brata. Umarł.

– Jak to się stało?

– Samobójstwo.

– Słucham?

Katja nie potrafi ukryć ciekawości. To, że brat Martina odebrał sobie życie, dodaje tej zagadce jeszcze większej tajemniczości. Ale nie jest to dla niej pełnym zaskoczeniem. Horn nosił w sobie jakieś cierpienie, jakąś nierozwiązaną sprawę, sekret właśnie tego rodzaju.

– Opowiedz mi coś więcej.

– Miałaś może pięć albo sześć lat, Martin chyba szesnaście. Gunnar był oczywiście zdruzgotany.

– Przypominał Martina?

– Nie, był wrażliwszy, bardziej introwertyczny. Przy tym miał niesamowity talent. Wyrósłby zapewne na fantastycznego pisarza.

– Skąd wiesz?

– To właściwie trochę makabryczne, ale Gunnar dał mi kopię jego listu pożegnalnego.

– Że co???

– Potrzebował pomocy, aby go zinterpretować.

– I co w nim pisał?

– To był niezwykle mocny tekst. Świetnie napisany. Intensywny. Lektura zwałała z nóg.

– Ale o czym mówił?

– Nie pamiętam. Był chaotyczny. Mówimy przecież o wynurzeniach chłopaka chorego psychicznie...

– A jak Martin czuł się po śmierci Eryka?

– Nie dostał tego listu i to go uratowało.

– Co to znaczy?

– Gunnar mu go nie pokazał.

– Dlaczego?

– Dzieciak zbyt długo się zdręczał. Obarczył się odpowiedzialnością za to, że nie uratował Eryka, co zupełnie nie miało sensu. Tamten cierpiał na depresję, i tyle. Albo wręcz na schizofrenię, jak jego matka. Nic nie można było poradzić.

– Tak czy owak, to nie do wiary, że ukrył przed synem ten list...

– Nie masz dzieci, nie możesz tego rozumieć.

W normalnej sytuacji by mu wygarnęła – nie znosiła, kiedy ludzie lekceważą jej opinie tylko dlatego, że jest matką, ale teraz postanowiła odpuścić.

– Obaj z Gunnarem byliśmy zgodni, że lepiej oszczędzić Martinowi takiego szoku. I jak się okazało, mieliśmy rację. Wyrósł na niesamowitego człowieka. Ma siłę, na którą można liczyć!

– Gdzie jest ten list?

– Kopię, którą dostałem, mam gdzieś w piwnicy. Był przejmujący w swojej desperacji. I straszny... Straszny!

Gdy po popołudniowej wizycie pielęgniarki ojcu zaczynają opadać powieki, uśmiecha się tępo i odpływa na morfinowym haju, Katja schodzi do piwnicy.

Wzrusza ją panujący tam porządek. Jego własny mały świat wypełniony setkami segregatorów z pieczołowicie wykaligrafowanymi latami. Nagrody i dyplomy na ścianach... Zakonserwowana kapsuła, w której zatrzymał się czas. Na biurku stoi wazon z zaszuszoną gałązką wierzby – pewnie myślał, że to ociepli wnętrze.

Zdejmuje z jego ogromnego regału segregatory z lat 1985 oraz 1986 i zabiera się do ich wertowania. Uderza ją, jak płodny był w tamtym okresie. Tuziny artykułów z różnych magazynów kulturalnych. Recenzje, listy, notatki. W końcu znajduje: kopia czterech stron maszynopisu w kopercie zatytułowanej „list Eryka”. Rok 1985.

Rozważa, czy to od razu przeczytać, ale coś ją powstrzymuje. W innej sytuacji rzuciłaby się na ten tekst, ale wyłuskała go z zamiarem naprawienia pewnego błędu i traktuje to zadanie poważnie.

Chowa papiery do torebki i już chce wychodzić, kiedy w oko wpadają jej rodzinne albumy.

Nie zaglądała do nich od dzieciństwa, więc natychmiast ściąga je na podłogę. Zaczyna od czerwonego, który opowiada o początkach Katji w Szwecji. Otwiera go i spogląda w oczy swojej trzydziestoletniej mamy. Wpatruje się w jej uśmiech, usiłując pogodzić

się z myślą, że bezpłodność tej młodej kobiety stała się powodem jej przyjazdu do tego kraju. Gdyby miała sprawną macicę, nie zdecydowałiby się na adopcję, lecz mieli własne dzieci – bez względu na deklaracje matki w ideologicznej satyrze *Adopcja jest obowiązkiem*.

Uważnie wszystko przegląda. Kolejne strony wypełniają niemal karykaturalnie sielankowe zdjęcia z wakacji, na których roześmiana biega po łąkach. Ku jej zaskoczeniu mama także się uśmiecha.

Kiedy przestała się śmiać? I dlaczego?

W drugim albumie rodzice też promieniają młodzieńczą energią: bawią się ze swoją adoptowaną córeczką leżącą im na brzuchu, siedzącą na rękach albo na grzbiecie. Orgia rodzinnego szczęścia.

Zwraca uwagę przede wszystkim na siebie: z uśmiechem od ucha do ucha, radosną na każdym zdjęciu.

Fotografie jakoś nie pasują do jej wspomnień.

Odkłada album i sięga po następny. Na tych fotkach jest starsza, ma dwanaście lub trzynaście lat. I dopiero na nich siebie rozpoznaje. Ostro spogląda w obiektyw.

Zabiera albumy na górę, aby zapytać ojca o ten kontrast, ale on nadal śpi.

Siada na krześle przy jego łóżku i jeszcze raz ogląda zdjęcia, a potem wysyła SMS do dyrektorki: „Potrzebuję dwóch tygodni wolnego. Najszybciej, jak to możliwe”.

Już po kilku sekundach otrzymuje odpowiedź: „Przyjdź jutro wcześniej, na 8. Coś się wydarzyło”.

Katja nie ma pojęcia, czego się spodziewać, i jadąc autobusem do szkoły następnego dnia rano, nie zaprzęta sobie tym zbyt głowę. Wciąż jeszcze czuje się oszołomiona zdjęciami w albumie. Mama tak pięknie na nich wyglądała – w pastelowych sweterkach i z grubymi puklami opadającymi na ramiona. Na wielu trzymały się za ręce i wyglądały na bardzo żyte.

Co się potem stało?

Zatapia się w tych rozważaniach do tego stopnia, że kiedy otwiera drzwi gabinetu dyrektorki, niemal podskakuje na widok kamiennych twarzy zebranych tam osób.

Przełożona pierwsza podrywa się z miejsca. Podchodzi do Katji i mówi cicho, niemal szeptem:

– Mieliśmy tu małą tragedię. – Wskazuje jej wolne miejsce na kanapie na znak, aby usiadła.

Katja wita się krótko z psycholożką, która zdaje się jeszcze bardziej spięta niż zwykle, i nieznaną kobietą siedzącą obok niej.

– Marie już znasz. To Eleonore Sundin, nauczycielka gimnastyki.

– Witam.

– Mamy tu spotkanie kryzysowe, że tak powiem... – wyjaśnia Gunnel.

– Co się stało?

Wuefistka zaczyna:

– W piątek na lekcji weszłam do przebieralni dziewcząt i zastałam Magdę Horn z 5a samą pod prysznicem. Czekala chyba, aż wszyscy sobie pójdą, żeby wykapać się na osobności. Zauważyłam wtedy, że... ma siniaki na ramionach, na piersi, plecach...

Kobiety zwracają się w stronę Katji. Trzy pary oczu przyglądające się, jak zareaguje, sprawiają, że czuje się przyparta do muru.

– Wiesz coś o tym? – pyta dyrektorka.

Dziewczyna się zastanawia. Jeśli przełożona się dowie, że widziała te ślady u Magdy już wcześniej, uzna to za zaniedbanie. Lecz o ile mała się nie wygadała, Gunnel nie ma szans się o tym dowiedzieć.

– Nie, nie miałam pojęcia.  
– Magda twierdzi, że nabiła je sobie, spadając ze schodów. Czy to naprawdę można poznać po śladach?  
– Nie, wątpię – rzuca wuefistka.  
– Co na to rodzice? – pyta Katja.  
– Jeszcze się z nimi nie kontaktowałam – mówi dyrektorka.  
– Uważamy, że to ojciec – dorzuca psycholożka. – Wielokrotnie się awanturował. Spora część kadry może poświadczyć, że zachowywał się agresywnie. Bywał bardzo nieprzyjemny.

Katji ukazuje się obraz Martina na hotelowym łóżku. Jego wielkie zażawione oczy wpatrzone w pustkę. Aksamitny głos, kiedy opowiadał z niepokojem o jakimś chłopcu z piątej klasy, którego Magda się bała.

– Nie wydaje mi się, że to on – kwituje.

Kobiety spoglądają na siebie.

– Dlaczego?

Dziewczyna próbuje szybko coś wymyślić, ale nie przychodzi jej do głowy żaden dobry argument. Przecież nawet nie ma pewności, że się co do niego nie myli.

– Mówię tylko, że nie możemy nikogo oskarżać bez dowodów – duka.

– Przecież spytamy, co ma na swoją obronę – odpowiada dyrektorka.

– Kiedy tu był ostatnio jesienią, zupełnie stracił nad sobą kontrolę – dopowiada psycholożka. – Rozpłakałam się po tej rozmowie...

– Tak, rzeczywiście. – Dyrektorka współczująco kiwa głową.

– Czyli jeszcze z nim nie rozmawialiście?

– Nie. On nie ma pojęcia, że wiemy – odpowiada Gunnel, odwracając się do wuefistki trzymającej telefon w górze, aby coś Katji pokazać.

Zdjęcie jest nieostre, ale Katja domyśla się, że przedstawia Magdę, sfotografowaną w przebieralni z pewnej odległości. Od pasa w dół jest zakryta ręcznikiem, ale wyraźnie widać sińce na plecach i jednym ramieniu.

– Udokumentowałam to, fotografie trafiły do pomocy społecznej, więc sprawa jest teraz w ich rękach. Oni skontaktują się z rodziną, aby zbadać problem.

– Co twierdzi Magda?

– Że upadła. Tak się zwykle mówi. Byłam w takim szoku, że jej nie przycisnęłam.

– I bardzo słusznie – mówi Gunnel.

Tego ciepłego wiosennego wieczoru Katja chowa się za drzewem. Kiedy mijają ją grupka młodzieży popijającej piwo i świętującej Noc Walpurgii, czuje zażenowanie. To musi wyglądać dziwnie: dorosła kobieta czai się w zagajniku... Przełożona pewnie wpadłaby w furję, słysząc, że zamierza wziąć sprawy w swoje ręce.

Jednak niezależnie od tego, jak na jej zachowanie patrzą postronni, jest przekonana, że postępuje słusznie. Martin nie powinien być niesprawiedliwie oskarżany. Nawet jeśli spotkała się z nim tylko raz, to poruszył ją i sprawił, że znowu zaczęła pisać, i to inaczej niż dotychczas. Jest mu coś winna.

Jeśli dziewczynka nie powie, kto ją poturbował, zamierza zapytać o Johana. Horn opowiedział jej, jakim przerażeniem córka zareagowała na widok tego chłopca, kiedy natknęli się raz na niego i jego mamę.

Wreszcie strumień dzieci wylewa się z sali gimnastycznej. Są głośnie i szybkie, Katja musi stanąć na palcach, żeby coś zobaczyć. Magdę nietrudno wypatrzyć w tłumie, bo jest ostatnia i sama jak palec.

Katja rzuca się za nią przez dziedziniec i kładzie jej rękę na ramieniu. Dziewczynka

odskakuje i odwraca się do niej.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Mała nie odpowiada, ale przystaje.

– Słyszałam, że znów masz siniaki.

– Przewróciłam się drugi raz – odpowiada dziewczynka, uciekając wzrokiem.

– Już nie jest ślisko.

Spoglądają na siebie.

– Potknęłam się na schodach – bąka Magda niepewnie.

– Szkoła jest zdania, że tata cię pobił.

Mała kręci głową.

– To nie on.

– Wiem.

Znów spoglądają na siebie.

– Jeśli nie wyjawisz, kto to zrobił, twój ojciec będzie miał problemy.

– Nie mogę – odpowiada dziewczynka i rusza z miejsca.

– Wyląduje w więzieniu! – woła za nią Katja.

Magda przystaje.

– Przecież mówię, że to nie on!

– Więc kto taki?

Dziewczynka zaczyna płakać.

– Czy to Johan?

Ani drgnie.

– Pytam, czy to Johan – powtarza Katja.

Magda odwraca się na pięcie i rusza biegiem przed siebie.

Katja krąży między willami, szukając numeru. W oknach mijanych domów mającą jej rodziny zasiadające w kuchni do kolacji. Reflektuje się, że musi być już około dwudziestej i że nie poinformowała Toma o swoim późnym powrocie.

Po chwili przypomina sobie jednak, że on i Martin wybierają się na kolację z jakimś autorem. Jej chłopak coraz częściej zaprasza ją na imprezy, w których uczestniczy również Horn, więc musi się z nich wykręcać. Toma to irytuje, ponieważ odbiera jej odmowę jako demonstrację, że nie akceptuje jego pracy, ale ona nie ma innego wyboru.

Zerka na komórkę, próbując określić, gdzie się znalazła. Chociaż dorastała niedaleko stąd, wiele ulic wygląda tak samo. Poza tym ma mętlik w głowie, niepewna, czy postępuje właściwie.

Namawianie uczennicy do wyjawienia prawdy o tym, kto ją pobił, to jedno. Nachodzenie ucznia w domu i oskarżanie go o napaść, to co innego.

Mimo wszystko czuje się zobowiązana do rozwiązania tej sytuacji. Koleżanki w pracy są zbyt nieczułe, źle by się do tegoabrały. A ona wie, jak to działa. Gdyby dotarło do nich, że Johan jest sprawcą, zwołałyby roztrzęsionych rodziców i uczniów na spotkanie. Magda zostałaby wykluczona. Johan zapewne też.

Jeśli dobrze to rozegra, problem zostanie rozwiązany bez dalszych szkód dla kogokolwiek.

Dociera pod właściwy numer. Okazuje się, że to mały uroczy domek. Zdaje się, że kiedyś zielony, ale z czasem farba wyblakła. Ogród jest zarośnięty. Nie ulega wątpliwości, że osoba, która tu mieszka, od dawna nie przyłożyła do niego ręki.

W oknach jest ciemno, więc zakłada, że nikogo nie ma, mimo to drepcze wysypaną grysem ścieżką i puka do drzwi.

Otwiera je kobieta, a właściwie tylko uchyla, chowając twarz w mroku.



– Słucham?

W głosie nieznanym pobrzmiwa lekka irytacja, jakby tak naprawdę chciała powiedzieć: „Czego chcesz?”. Ma niezwykle gładkie rysy, niczym szkic twarzy, którą dopiero później się wypełnia. Blond włosy zaczesane do tyłu odsłaniają wysokie czoło bez ani jednej zmarszczki. Katji trudno oszacować jej wiek, ale po szyi widzi, że ma przynajmniej czterdzieści lat.

– Witam. Jestem higienistką ze szkoły – przedstawia się Katja.

– Christina.

– Chodzi o pani syna Johana.

– To mój pasierb.

– Rozumiem.

– Czy coś się stało?

– Chciałabym chwilę o nim porozmawiać.

– Jest u swojego taty. O co chodzi?

– Czy mogę wejść?

Po Christinie widać, że się waha, ale wreszcie otwiera drzwi na oścież i gestem zaprasza do środka.

Już w holu Katja widzi książki. Całe stosy na podłodze i półkach po obu stronach korytarza. Wszędzie ich pełno. To bardziej magazyn niż dom.

Gospodyni jakby czytała w jej myślach, bo pospiesznie zaczyna się usprawiedliwiać:

– Prowadzę antykwariat.

– Rozumiem – kwituje Katja, ale i tak regały, natrętny zapach stęchlizny i brak światła przyprawiają ją o klaustrofobię, dlatego kiedy Christina wprowadza ją do salonu, gdzie nie ma książek, oddycha z ulgą.

– Tamte trafiają wkrótce do sklepu – tłumaczy gospodyni z zażenowaniem.

Siadają na kanapie naprzeciw siebie. Na zewnątrz zaczyna padać deszcz i głośno stuka w okna.

Christina nalewa kawę z termosu i sięga po kartonik stojący na podłodze.

– Z mlekiem?

– Tak, poproszę.

Siorbie kawę. Znajomy smak skwaśniałego mleka rozlewa się po podniebieniu i kiedy zerka do kubeczka, dostrzega drobne cząsteczki unoszące się na powierzchni.

– Johan mieszka z tatą – mówi Christina. – Rozstaliśmy się.

– W porządku.

Przez moment siedzą w milczeniu.

Katja ostrożnie się pochyla, próbując odcyfrować datę przydatności do spożycia widniejącą na kartoniku mleka, ale na próżno.

– Co panią właściwie sprowadza?

– Przypuszczam, że pani pasierb pobił w szkole dziewczynkę. Magdę.

Christina odskakuje jak oparzona. Katja szybko odstawia filiżankę na stolik i wyjaśnia dalej:

– Przyszłam, aby się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. A także prosić, żeby przestał.

Czeka na jakąś reakcję, ale nic się nie dzieje. Christina siorbie swoją kawę bez słowa.

Wreszcie rzuca:

– Nie spędza u mnie wiele czasu. Bywa tu tylko kilka razy w miesiącu.

– Czy ma pani numer telefonu do jego ojca, abym mogła się z nim skontaktować?

– Oczywiście.

Kobieta podnosi się, podchodzi do okna i bierze do ręki komórkę, ale po chwili odkłada ją

na miejsce. Stoi bez ruchu, zwrócona plecami do pokoju.

Katja obserwuje jej sylwetkę i próbuje zrozumieć, co się dzieje.

Następuje długie milczenie.

– To nie Johan – mówi Christina. – To nie on.

– Skąd pani wie?

– Poznała pani Martina?

– Ma pani na myśli ojca Magdy Horn?

Christina odwraca się do niej, ale jest zbyt ciemno, aby odczytać jej wyraz twarzy.

Ostrożnie opada na kanapę i ze wzrokiem wbitym w podłogę zaczyna opowiadać.

– Spotkałam mojego byłego męża przed pięcioma laty. Był świeżo po rozwodzie, z sześciolatkiem synkiem, dla którego z dnia na dzień stałam się macochą. Dość szybko się okazało, że wejście w rolę matki jest znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażałam. Spodziewałam się, że skoro kocham ojca, miłość do syna przyjdzie sama. Ale choćbym nie wiem jak się starała, budził we mnie jedynie rozdrażnienie.

Katja zadaje sobie w duchu pytanie, co ta historia ma wspólnego z Magdą. Rozgląda się i zastanawia ją, dlaczego Christina nie zapala światła. Na zewnątrz szybko zapada zmrok i pokój lada chwila pogrąży się w ciemności.

– Upływały kolejne miesiące – kontynuuje gospodyni – a ja odbierałam Johana tak samo jak na początku: jako upierdliwy element. Rozkrzyczany, niewyżyty, nieprzyjemny. Oczywiście było mi strasznie wstyd z tego powodu i zwierzyłam się z tych uczuć mężowi. Wysnuł teorię, że trudno mi pokochać jego syna, ponieważ jestem zgorzkniała, nie posiadając własnego dziecka. Odpowiedziałam, że to pewnie przez to, ale prawda była inna. Ja go po prostu w ogóle nie lubiłam.

Katja stara się zorientować, dokąd ta opowieść zmierza, ale bezskutecznie. Usiłuje nie myśleć o smaku, jaki ma w ustach.

Tymczasem Christina mówi dalej:

– Napięcia w domu mocno się na mnie odbiły i po kilku latach wspólnego życia poczułam się wypalona. Wpadłam w depresję. Mąż próbował mi wmówić, że to jedynie klasyczny kryzys czwartego krzyżyka, wywołany zbyt wygórowanymi oczekiwaniami, jakie stawiałam sobie samej. „Wszystko się ułoży, gdy tylko poznasz Johana lepiej” – powtarzał. Ale ja borykałam się z podobnym problemem już w młodości, więc rozpoznawałam objawy... – Przez chwilę się zastanawia, po czym ciągnie dalej: – Depresja dodatkowo pogorszyła sytuację. Odnosiłam wrażenie, że Johan stanowi przeszkodę pomiędzy mężem a mną. Zajmował tak dużo miejsca, dziwnie pachniał i był brudny – tak to odbierałam. A kiedy nocami wślizgiwał nam się do łóżka, nie chciałam go tam. Nienawidziłam się za to, że kiedy obok wierci się przez sen, ja nie mogę zmrużyć oka. Samopoczucie pogorszyło mi się do tego stopnia, że musiałam pójść na zwolnienie. Działo się to jakieś dwa, trzy lata temu. Brakowało mi radości życia, nic nie czułam, byłam jak ogłuszona. Otaczała mnie całkowita ciemność. Wtedy zaczęłam pisać. To mnie uratowało – nazwanie po imieniu tego, jak źle się czuję. Żyję z książek, jak wspomniałam, mam antykwariat przy Hornstull, i chyba zawsze drzemało we mnie marzenie, aby tworzyć, ale nigdy poważnie się do tego nie zabrałam. W pracy nauczyłam się pokory – otoczona przez wielkich autorów, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jednak tym razem spróbowałam sama i dobrze mi poszło. Poprawiał mi się nastrój. Siedziałam tak przez pół roku i z każdą stroną przybywało mi energii. Kiedy skończyłam, wysłałam tekst do Martina Horna. Wiedziałam, że pracuje w wydawnictwie, ponieważ Magda chodziła z Johanem do szkoły. Po dwóch tygodniach zadzwoniła komórka. To był Martin. Zaproponował mi spotkanie, aby porozmawiać o książce. Schlebiało mi to, bo już przez telefon powiedział, że moje pisanie głęboko go poruszyło. Kupiłam więc sukienkę,

wystroiłam się i pojechałam do centrum. Był ciepły letni wieczór. Przyjechałam wcześniej, więc objechałam kwartał kilka razy. Bardzo się denerwowałam i kilka razy powiedziałam sobie: „Wracaj do domu. Przecież nie jesteś pisarką”. Tak myślałam. W każdym razie kiedy wybiła dwunasta, weszłam do japońskiej restauracji, w której się umówiliśmy. Gdy tylko go zobaczyłam, poczułam się bezpiecznie. Wyglądał tak przyjaźnie. Uprzejmy i chyba trochę nieszczęśliwy. Miał melancholijne, piękne oczy. Siedział przy stoliku przy oknie i czytał gazetę. Objął mnie, kiedy podeszłam. Był to długi i naprawdę ciepły uścisk. A potem zaczęliśmy rozmawiać. Przez pół godziny mówił tylko on, o mojej książce. Mnie to bardzo zainteresowało – miałam okazję posłuchać eksperckiej analizy tego, nad czym tak ciężko pracowałam. Stwierdził, że lektura zrobiła na nim mocne wrażenie, i nadal wierzę, że tak myślał.

– O czym to było?

– Powieść, choć w całości oparta na moich doświadczeniach. Opowiadała o kobiecie, która nie potrafi pogodzić się z rolą macochy. Stara się wzbudzić w sobie uczucie do dziecka, ale bezskutecznie. Zaczyna się za to nienawidzić. I tak popada w depresję.

– Zaproponował, żeby coś zmienić?

– Historia mu się spodobała, ale twierdził, że mogłabym zajrzeć jeszcze głębiej w siebie.

Katja nagle czuje mdłości. Skwaśniałe mleko jakby pęcznieje jej w ustach. Poza tym na dworze zapadł już mrok, a ponieważ żadna lampa się nie pali, prawie nie widzi już twarzy Christiny.

– Po powrocie ze spotkania do domu natychmiast siadłam do pracy. Pisałam bez przerwy przez całą jesień, w każdej wolnej chwili. Martin potwierdził, że nie zwariowałam, przeciwnie, że napisałam coś, co mogło poruszyć innych. Dodał mi otuchy i, no cóż, zainspirował. Kto wie, czy trochę nie za bardzo.

Katja nie jest pewna, czy ma ochotę słuchać tej opowieści do końca. Rozgląda się wokół w poszukiwaniu lampy, którą mogłaby zapalić. W głosie Christiny słyszy narastające podniecenie.

– W pierwszej wersji bohaterką byłam ja, a chłopcem Johan. Potem oboje zaczęli żyć własnym życiem, a ja dodawałam lub odejmowałam to i owo. To było coś ekscytującego, mieć przyzwolenie, aby modyfikować fabułę, podkolorowywać ją, naciągać, wszystko po to, aby wzmocnić odbiór. Rozumie pani... podczas pracy nad pierwszą wersją ograniczała mnie rzeczywistość, ale przestała. Spotkanie z Martinem chyba dało mi odwagę do eksperymentowania. Stawałam się pisarką, a książkę najwyraźniej przyjęto do druku. I to wszystko zmieniło. Przełamałam się i dopuściłam do siebie uczucia, o które bym się nie podejrzewała. Rozumie pani?

– Tak mi się wydaje...

– Jednocześnie zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Przez to, w co przeobrażała się ta książka. Wstydziałam się szczegółowych opisów chłopca, tej awersji, którą przedstawiłam w detalach. Była to rzecz jasna fikcja literacka, ale pomysły pochodziły ode mnie, nie da się ukryć. Opisywałam przecież swego rodzaju rzeczywistość, nieważne, że przejaskrawioną. Nie chciałam pokazać tekstu mężowi, obawiając się, że utożsami mnie z bohaterką, a Johana z jej pasierbem. Rozważałam wydanie książki pod pseudonimem, ale wiedział, że piszę, i podpytywał, jak mi idzie. Prędzej czy później musiałabym mu ją pokazać. Ciężko mi to i w końcu zatelefonowałam do Martina, prosząc o rozmowę.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej rok temu.

– Proszę, niech pani mówi dalej.

– Miał sporo roboty i zaproponował, abym przyszła po godzinach, kiedy już zakończy

spotkania. Tak się więc umówiliśmy. Wpuścił mnie do biura tylnymi drzwiami, ponieważ frontowe już zamknięto. Światła były pogaszone, na korytarzach panował mrok, w budynku zostaliśmy chyba tylko my dwoje. Poszliśmy od jego gabinetu. Zwierzyłam mu się ze swoich lęków, z wyrzutów sumienia... Powiedziałam, że nie wiem, czy wystarczy mi odwagi, aby to ciągnąć.

– I co on na to?

– Odparł, że stoję przed wyborem i muszę się zdecydować. I że dobrej literatury nie pisze się, idąc na skróty. Zapewnił mnie, że zrozumie, jeśli zarzucę projekt, bo wie, jakie to może być trudne. Rozpląkałam się wtedy, bo nie to chciałam od niego usłyszeć. Liczyłam, że powie mi, abym skończyła książkę za wszelką cenę. Że każe mi się skupić i nie oglądać na nic ani nikogo. Ale on tego nie powiedział. Wyłam jak dzieciak. Usiadł na sofie obok i zaczął mnie pocieszać. Ani się spostrzegłam, a już się całowaliśmy.

– Nie musi mi pani tego opowiadać...

– Przeciwnie, to istotne. Zobacz pani.

Katja nie odpowiada.

– Zaczęliśmy się potajemnie spotykać. Oboje mieliśmy przecież partnerów, więc wymagało to trochę zachodu. Czasami widywaliśmy się w jego gabinecie, wieczorami, po wyjściu wszystkich do domu. Niekiedy w moim antykwariacie przy Hornstull. Nie rozmawialiśmy o powieści. Zauważyłam, że nie miał do tego nastroju. Być może dostrzegł, że smutniałam, kiedy wypływał ten temat. Mówiliśmy za to o innych sprawach. O naszym dzieciństwie, o mojej tęsknocie za własnym dzieckiem. O życiu, które nigdy nie jest takie, jak człowiek sobie wyobraża. O jego pracy, którą wykonuje, bo zajmowanie się literaturą należy do rodzinnej tradycji, a nie ze względu na własne zainteresowania. Rola ojca również nastęrczała mu trudności i tu krzyżowały się nasze drogi. Raz po raz podnosiłam temat książki, ale odpowiadał mi tylko, że nie ma ochoty pracować. Tak czy owak, było nam całkiem nieźle. Niewątpliwie można mówić o namiętności między nami. Potrzebowaliśmy się nawzajem i coś nas do siebie ciągnęło. Aż do zeszłej jesieni... – przerywa na chwilę. Bierze głęboki oddech, po czym kontynuuje: – W sierpniu wróciłam pewnego dnia z pracy i zastałam męża na kanapie. Płakał. Od razu zauważyłam kartki porzucane po podłodze. Zapomniałam schować wydruk powieści i on go przeczytał. Potwierdziły się moje obawy. Krótco potem doszło do rozwodu. Wpadł w gniew. Próbowałam tłumaczyć, że to fikcja, ale to go tylko bardziej rozjuszało.

– Co się stało z książką?

– Wiosną wykasowałam z komputera wszystkie pliki, pozbyłam się wydruków. Martin zwykł powtarzać, że na pisarza, któremu udało się skończyć autobiografię, czeka nagroda, ale nie jestem tego taka pewna. Wszystko się raczej spieprzyło. Chociaż... może był z tego jakiś pożytek. Kiedy ja i ojciec Johana się rozstaliśmy, wreszcie zaprzyjaźniłam się z jego synem, przynajmniej trochę... Kto wie, czy nie dlatego, że nie ciążył już na mnie obowiązek matkowania mu. Wybraliśmy się razem do Muzeum Techniki, kiedy indziej urządziliśmy sobie w domu wieczór filmowy. Został na noc.

Długa pauza.

– A co z panią i Hornem po rozwodzie?

– W październiku się zorientowałam, że jestem w ciąży. Wreszcie stało się to, na co czekałam całe życie, ale cóż, w niekorzystnych okolicznościach, mówiąc oględnie. Zadzwoniłam do Martina i mu o tym powiedziałam, a on zaniemówił. A potem rzucił coś dziwnego: „Dlaczego mi to mówisz?”. Odparłam, że w normalnej sytuacji nie odezwałabym się słowem, ale uznałam, że powinien wiedzieć. On się ze mną nie zgadzał i bez ogródek oznajmił, że powinnam usunąć. Że nie ma co się zastanawiać nad innymi rozwiązaniami.

– I co pani zrobiła?

– Emocje zaczęły brać górę. Zapytałam, dlaczego tak mu zależy na aborcji. Żeby go pani wtedy słyszała... Zarzucił mi, że nie powinnam rodzić, że przecież przeczytał moją książkę i że takim jak ja należy zabronić posiadania dzieci.

– Jak pani na to zareagowała?

– Pomyśli pani, że mi odbiło... – Uśmiecha się blado. – Zapisałam się na terapię u jego żony. Opowiadał mi o niej, wiedziałam więc, że pracuje jako psycholog w Szpitalu Świętego Jerzego. Zadzwoiłam więc do niej i umówiłam się na wizytę. Sama pani widzi, byłam trochę rozstrojona. Czulałam się bardzo źle. Wydaje mi się, że chciałam Martina zrozumieć... Albo się na nim odegrać. Sama nie wiem. Rozwazałam, czy nie powiedzieć jego żonie o naszym związku, w środku sesji nie wyznać jej, że jestem w ciąży z jej mężem, ale nie miałam odwagi. Popełniłam błąd. Byłam chora i w złym stanie. W każdym razie poszłam, usiadłam na krześle w jej gabinecie i oświadczyłam, że potrzebuję pomocy. Wyjaśniłam, że spodziewam się dziecka żonatego faceta, opowiedziałam o Johanie i depresji, na co ona natychmiast doradziła mi aborcję. Bo nie zdołałabym sprostać wyzwaniu, które mnie czeka. Może sobie pani wyobrazić, jak się poczułam, kiedy będąc w kiepskiej kondycji, od dwóch osób usłyszałam coś takiego.

– Jak długo chodziła pani do niej na terapię?

– Widziałam się z nią tylko kilka razy. I proszę mi wierzyć, czulałam się potem jak idiotka. To dosyć zenujące, opowiadać o tym z perspektywy czasu, ale byłam wtedy bardzo zdolowana.

– A co z...

– Z dzieckiem? Usunęłam. Mimo wszystko wydaje mi się, że mieli rację. Co miałabym z nim począć jako samotna czterdziestoletnia matka z depresją? Potem okazało się to jednak trudniejsze, niż się spodziewałam. Bo przecież zawsze go pragnęłam.

Christina milknie i znów siada na kanapie. Teraz Katja widzi jej oczy.

– Książka, rozwód, ciąża, aborcja, wszystko razem... To mnie przytłoczyło. W końcu się załamalam. Poczułam się tak słabo, że zadzwoniłam na pogotowie. Leżałam i nie mogłam się ruszyć. Była pani kiedyś w tak złym stanie?

– Nie...

– O, tutaj leżałam – wskazuje na miejsce Katji. – Nie mam do niego żalu, mogę winić tylko siebie. Choć czasami wpadałam w złość. Na przykład wtedy, gdy obserwowałam Magdę, jak włóczy się po dworze sama.

Katja nachyla się, aby nie uronić ani słowa.

– Naprawdę?

Christina wskazuje na okno.

– Widziałam, jak codziennie po szkole kręci się po dworze, i pewnego dnia nie zdołałam się już opanować. Wkurzyłam się na tych dwoje, bo namówili mnie na aborcję, podczas gdy sami najwyraźniej nie umieli zaopiekować się córką. Jaki rodzic pozwala dziecku tak się pałętać? Dlatego widząc ją tutaj, wyszłam na ulicę i zapytałam, dlaczego nie wraca do siebie, do rodziców. Nie odpowiedziała, próbowała mi uciec, więc złapałam ją za kurtkę.

– Uderzyła ją pani?

– Nie. Zadałam jej tylko pytanie, dlaczego nie idzie do domu.

– I co ona na to?

– Nie byłam sobą. To się wydarzyło, kiedy byłam w naprawdę złym stanie.

– Zastanawiam się tylko, co odparła...

– Żeby ją puściła.

– Zdenerwowało to panią?

– Tak.

– Musiała ją pani mocno chwycić, czy tak? A kiedy usiłowała się wykręcić, uderzyła ją pani w plecy?

– Proszę zrozumieć... bardzo źle się czułam. To mnie po prostu przerosło.

– Później znowu to pani zrobiła.

Christina nie odpowiada. Patrzy na Katję, a ta czuje, że dłużej już tego nie znieśie.

Wstaje.

– Pójdę już – duka i szybkim krokiem zmierza w kierunku drzwi.

Nagle przypomina sobie o wszechobecnych książkach i ogarnia ją lęk, ponieważ jest tak ciemno, że trudno w tym wąskim przejściu coś zobaczyć. Słyszy tylko, jak ten czy inny stos osypuje się za jej plecami. Wreszcie dociera do wyjścia i wydostaje się na zewnątrz, na świeże powietrze, prosto w deszcz, lecz nie martwi się, że zmoknie. Spieszy się do furtki, szarpie za klamkę i wychodzi na ulicę. Ogląda się i widzi Christinę w oknie, jej twarz do połowy ukrytą za firanką, a potem rusza biegiem przed siebie.

Pędzi przez błoto, nie bacząc na wodę obryzgującą jej buty i łydki. Pragnie wyrwać się z tej ciemności, wrócić do miasta, do światła. Dociera na przystanek w samą porę, by wskoczyć do autobusu. Wykończona pada na siedzenie. Sapie, stara się uspokoić, ale przychodzi jej to z trudem. Ma wrażenie, że uniknęła śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Przeklina się za to, że tam poszła. Po powrocie do domu weźmie długi prysznic, zmyje z siebie wszystko, czego doświadczyła w tym mrocznym pokoju... Opowieść Christiny nadal odbija się echem. Nie chce tego słuchać, chce się go pozbyć, ale nie potrafi wymazać jej głosu.

Sięga po komórkę, aby zadzwonić do Toma, ale bateria jest rozładowana. Podczas jazdy walczy ze łzami. Boi się, że jeśli zacznie szlochać, już nie przestanie.

W domu natychmiast zdziera z siebie ubranie przemoczone do suchej nitki i w samych majtkach kładzie się na kanapie, obok Toma, przyciskając twarz do jego torsu. Marzy, aby się nią zaopiekował, i chce mu o wszystkim opowiedzieć, bo ciężar jest zbyt wielki, by mogła go unieść sama. Ale on wisi na telefonie z Martinem.

– Chwileczkę, zaraz skończę – zwraca się do Katji, odsuwając ją od siebie i wstając z kanapy.

Idzie do sypialni, gdzie kontynuuje rozmowę.

Katja zostaje na sofie sama.

W kółko odtwarza w głowie wyznanie Christiny, jej przenikliwy głos nie milknie ani na moment. Opowiadanie jest tak skondensowane i naszpikowane faktami, że uporządkowanie go stanowi nie lada wyzwanie. Przebija się jedno czy drugie stwierdzenie, ale jako całość wydaje się bezkształtne i przytłaczające. Katja chce podzielić się nim z Tomem, ale on nie wraca.

Po kwadransie nie może już tego ścierpieć i idzie do sypialni. Tom wyciągnięty na łóżku nadal gawędzi z Hornem.

Kładzie się obok niego.

Jego zapach i ciało wydają się tak znajome, to się nigdy nie zmieni.

A mimo to on nawet nie spojrzy w jej stronę.

Czekając, aż skończy pogaduszki, Katja rozgląda się po pokoju i nagle doznaje olśnienia: to pomieszczenie jest martwe. Alegoria ich pozbawionego życia związku. Liche obrazy na ścianach, które kupili od zaprzyjaźnionych artystów w czasach, kiedy mieli kasę, pełno „nowoczesnych” mebli. Brak im wspólnego mianownika. Nie można nie uznać tego miejsca za symbol ich wspólnego życia: bezbarwnego, rozbitego, pozbawionego namiętności.

I wtedy staje się dla niej jasne: to koniec.

Chyba tak to się czasem odbywa: w okamgnieniu nabiera się pewności, że związek się wypalił.

Przyjmując to do wiadomości, czuje, jakby uszło z niej powietrze.

Zamyka oczy, ale nie może zasnąć, choć jest wykończona. Dyskusja Toma z Hornem o jakiejś książce kręci się w kółko i dłuży w nieskończoność. Chciałaby ją zignorować, ale mimowolnie się jej przysłuchuje.

I wreszcie, kiedy pojawiają się pierwsze senne marzenia i zaczyna zasypiać, Tom odkłada telefon.

Nachyla się i szepcze jej do ucha, że może powinni zrobić sobie latem dziecko. Ona nie ma siły reagować. Zmęczenie dosłownie ją przygniata, jak kamień, więc nie mówi nic.

Wrywa się ze snu. Wibruje w niej jakiś złowieszczy ton, jakby przyśnił się jej koszmar. W pierwszym momencie myśli, że zasnęła, ale przypomina sobie, że wzięła wolne.

Przychodzi jej na myśl coś jeszcze: Christina.

Ciemny salon, zapuszczony dom. Pokłady książek. Historia, która ciągnęła się w nieskończoność. O Martinie, Magdzie, o nieszczęśliwym życiu tej żalostnej kobiety.

Katja naciąga na siebie kołdrę, jakby chciała się przed tym wszystkim schować.

Po raz pierwszy pomysł rozmowy z dyrektorką brzmi zachęcająco – mieć kogoś, komu można się zwierzyć, kto wysłucha i okaże zrozumienie.

Tak należy postąpić: zadzwoni do przełożonej i przekaże jej wszystko, czego się dowiedziała od Christiny. Pewnie na wstępie jej się nie spodoba, że Katja na własną rękę odszukała jednego z rodziców, ale kiedy usłyszy, że macocha Johana się przyznała, doceni jej inicjatywę.

Wystukuje numer w telefonie i czeka.

– Gunnel Cronmark.

– Dzień dobry, mówi Katja Brenckert. Higienistka.

– O, witam.

– Chciałabym omówić coś ważnego...

– Czy to może poczekać? Wydarzyło się coś, czym muszę się zająć. Zmarła matka jednego z uczniów. Właściwie... macocha.

Te nowiny przyprawiają Katję o zawrót głowy. Próbuje brzmieć normalnie, ale głos jej drży, kiedy zadaje pytanie, na które zna już odpowiedź. Dyrektorka podaje szczegóły, ale ona nie słucha. Rejestruje wiadomości w strzępach. Środki nasenne, nieszczęśliwy wypadek.

Przypadkowo zażyła zbyt dużą dawkę, zadzwoniła po pogotowie, znaleziono ją dzisiaj w nocy.

Katja ma wrażenie, że spada. Głowa jej pęka od natłoku myśli. I robi jej się słabo.

Z oddali dobiega ją głos Gunnel:

– To smutne... Ale przepraszam, o czym chciałaś porozmawiać? Wspomniałaś, że to coś ważnego.

Chciałaby jej powiedzieć, ale nie może. Brakuje jej odwagi. Wyrzuty sumienia za bardzo jej ciąży. Wybrała się do niej wczoraj, nie licząc się z konsekwencjami. Wmieszała się w czyjeś życie i być może ponosi odpowiedzialność za tę śmierć. Nie ma odwagi, aby się do tego przyznać.

– Chciałam tylko powiedzieć, że już nie wrócę.

– Ach tak. Dlaczego?

Znowu rzuca coś, czego nie planowała:

– Wyjeżdżam za granicę!

– Aha, a dokąd się wybie...

Rozłącza się.

Chce wstać, ale nie daje rady.

Musi wyjść, potrzebuje świeżego powietrza. Musi opuścić to mieszkanie.

Bierze głęboki oddech i próbuje się opanować.

To lokum przyprawia ją o klaustrofobię. Nie chce wyjść stąd tak po prostu, lecz na dobre.

A to nie jest łatwe.

Krok pierwszy: odszukać walizkę.

Zagląda do szafy i wyjmuje jedną. Otwiera.

Krok drugi: spakować się.

Gdy tylko zapomina o koncentracji, ukazuje się jej twarz Christiny, do połowy ukryta w ciemności.

Stara się być w ciągłym ruchu, tak zagłusza strach.

Kiedy wyjmuje ciuchy z garderoby i wkłada do walizki, przeczuwa nadchodzący atak paniki. Neseser na podłodze zionie pustką, zapełniony zaledwie do połowy. Niewiele rzeczy chciałaby zabrać ze sobą.

Krok trzeci: napisać list pożegnalny.

Trudne zadanie, ale próbuje. Wyszedł dość lakoniczny.

Prosi w nim Toma, aby się zastanowił, zanim wpadnie w złość albo rozpacz. Kończy słowami: „Ty również w głębi duszy chyba zdajesz sobie sprawę, że to koniec”.

Przyczepia karteczkę na lodówce i na jej widok – jakże marny – omal nie wybucha płaczem. Szlochając, sięga po komórkę, ale nie przychodzi jej do głowy nikt, do kogo mogłaby zadzwonić.

Nie ulega wątpliwości, że jest bardzo samotna.

Kolejny raz chciałaby być taka jak inni – posiadać ich zdolność patrzenia na życie jak na opowieść, w której każde wydarzenie posuwa akcję naprzód.

Tego jej właśnie potrzeba i to od zaraz. Chciałaby zyskać perspektywę, zrozumieć siebie i swoje życie. Zbudować wokół siebie historię niczym mur.

Ale w tym momencie jest na to zbyt roztrzęsiona.

Krok czwarty: zadzwonić do taty i zapytać, czy może pomieszkać u niego parę dni.

Trudno jej określić, czy jej prośba mu przeszkadza, czy go cieszy – ale zgadza się i tylko to się liczy.

Ostatni raz opuszcza mieszkanie, które zajmowała, odkąd poznała Toma, i wychodzi z walizką na majowe słońce.

Ojciec pojękuje przez sen. Odstępy między oddechami są teraz długie, jak gdyby każdy kosztował go sporo wysiłku. Zawodzi cicho, pewnie dręczony bólem albo koszmarami.

Katja przesiedziała w fotelu przy jego łóżku już całą dobę, ale nie odczuwa najmniejszego zmęczenia. Za to przepełnia ją strach. Nie tylko przed jego umieraniem, lecz także przed szansą na uzyskanie odpowiedzi, która znika razem z nim.

Pierwszy raz, odkąd sięga pamięcią, jest jej potrzebny, i proszę – umiera.

Czasami unosi dłoń, jakby bronił się przed czymś niewidzialnym. Na jego twarzy rysuje się strach, mimo że oczy pozostają zamknięte.

Tkwi tam przez – wydawałoby się – wieczność jak w transie, nie zastanawiając się, która jest godzina. Zauważa, że pewnie nadszedł już wieczór, ale i tak nie rusza się z miejsca.

Skóra ojca wygląda jak skóra słonia – sucha, szara i pomarszczona.

Katja wpatruje się w tańczący płomień świecy obok jego łóżka i czuje się wykończona.

Rozmyśla o wyjeździe. Tej szalonej, zwariowanej podróży.

Nie była w pełni władz umysłowych, kiedy kupowała bilet, ale zrobiła to, więc klamka zapadła.

Naprawdę wyjeżdża. Opuszcza kraj.

Okłamała przełożoną, mówiąc, że wybiera się za granicę, lecz kiedy całe życie spakowała



do jednej walizki, ta bajeczka zaczęła do niej coraz bardziej przemawiać.

Uciec zarówno od rozstania z Tomem, jak i tego okropieństwa, które przytrafiło się Christinie. Nabrać dystansu do wszystkiego, posklejać skorupy po drugiej stronie globu. Jakoś przetrwać parę miesięcy, zanim wypłacą jej spadek. Do tego czasu będzie musiała żyć z oszczędności.

Od pomysłu do kupna biletu w jedną stronę upłynęło parę minut.

Nie ma innego rozwiązania.

Być może pewnego dnia spróbuje zbadać, dlaczego opowieść Christiny oraz jej śmierć tak głęboko ją poruszyły, jednak teraz brakuje jej narzędzi.

Tato, gdyby poprosiła go o pomoc, na pewno byłby zachwycony. Już sobie go wyobraża, jak uważnie się jej przysłuchuje, nabijając fajkę, aby przedstawić jej potem analizę. Z przekonaniem i w detalach wyluszczyłby, dlaczego to wstrząsnęło właśnie nią oraz dlaczego teraz. I nagle tego pragnie. Chciałaby dla odmiany tego wysłuchać – jego wyjaśnienia. I się w nim zakopać.

W tym momencie przystałaby nawet na teorię Toma. Albo Martina, dlaczego nie. Z otwartymi ramionami przyjąłaby każdego, kto otuliłby ją wyraźnym i przejrzystym wytłumaczeniem. Żeby tylko przestała być sama i zagubiona.

Wreszcie wycieńczona zasypia na krześle, oparta łokciem o łóżko ojca.

Budzi się jakiś czas później, w ciemności, nie mając pojęcia, która jest godzina.

Instynktownie spogląda na tatę i sprawdza, czy jeszcze oddycha.

– Cześć – syczy do niej.

– Cześć.

– Mogłabyś mnie trochę pomasaować? Bardzo mnie boli.

Wskazuje punkt na klatce piersiowej, a córka zaczyna go rozcierać. Dotyk jego rozgrzanej skóry pod jej palcami wydaje się nieoczekiwanie intymny i Katja zmusza się, aby kontynuować, choć w pierwszym odruchu chciałaby przestać.

– Jutro wyjeżdżam – oznajmia.

– W porządku.

– Chcesz, żebym została? Jeśli chcesz, to nie pojedę.

– W żadnym wypadku.

– Tak też myślałam.

– To nie będzie zbyt piękny widok.

– Jesteś pewien?

– Tak. Zabraniam ci tu zostać.

Rozmowa z nim wygląda nieco upiornie, ponieważ on prawie nie rusza ustami. Jak gdyby głos dobiegał z radia, nie z niego.

– Płaczesz – rzuca ojciec.

– Naprawdę?

Staruszek robi gest, jakby chciał ją objąć, ale nie ma siły. Chwyta ją za rękę i wtedy puszcza ją tamy.

– Ciiii...

– Przechodzę mały kryzys – mówi Katja, siląc się na uśmiech.

– Jak do tego doszło?

– Próbowałam pisać o dzieciństwie – tłumaczy, wydychając nos.

– A na jakie pytania szukałaś odpowiedzi?

– Sama nie wiem... Szukałam jakiegoś wytłumaczenia, tak sądzę.

– Wytłumaczenia czego?

– Ech, dajmy temu spokój. Żadna książka nie powstanie.  
– Według mnie szkoda.  
– Tak uważasz?  
– Wiem, że chciałbym ją chociaż przeczytać.  
– Nie jestem przekonana.  
– A ja tak. Chciałbym usłyszeć twoją wersję wydarzeń.  
– Co przez to rozumiesz?  
– Pewnego dnia przestałaś z nami rozmawiać... – Zanoszę kaszlem. – Po wizycie u tej psycholog ze szkoły. Twoja matka popełniła błąd, posyłając cię do niej. Tak bardzo się niepokoiła, że nie będzie ci u nas dobrze... Stało się tak właśnie jakoś wtedy. Odwróciłaś się od nas i złamałaś mamie serce. To był największy błąd w naszym życiu.  
– Coś ci się pomyliło. Poszłam do niej tylko kilka razy.  
– Ach, no nie wiem – odpowiada cicho ojciec. – Pamiętam już coraz mniej.  
Katja siedzi wgapiona w migający płomyk i jakiś chłód rozlewa się jej w piersi.  
Wyznanie taty odbija się echem, próbuje je pochwycić. Teza jest na tyle niedorzeczna, że musi ją przeanalizować słowo po słowie, aby się upewnić, że dobrze usłyszała.  
Ostrożnie dotyka jego ramienia.  
– Tato?  
Ale on już śpi.  
Kolejny raz jest pozostawiona sama sobie.  
Jako jedenastoletnia dziewczynka udała się do psycholożki, która była bardzo młoda. Miała co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Piękna, pełna gracji, delikatnej budowy ciała, traktująca swoje zadanie z przesadną powagą. Chociaż była tylko terapeutką w podstawówce, urządziła swój gabinet jak przychodnię dla dorosłych. Freudowska kozetka, karafka z wodą na stoliku, plansza na ścianie przedstawiająca jakąś mandalę.  
Już podczas pierwszej wizyty zrobiła na Katji duże wrażenie, ponieważ była niezwykle wyrazista. Taka zaangażowana, skrupulatna profesjonalistka. Dziwaczna mieszanka energicznej panienci i surowej ciotki.  
Rodzice umówili ją na wizytę, ponieważ chcieli się upewnić, że nie tłumi w sobie jakichś traumatycznych doświadczeń z Etiopii. Zapewniała ich, że wyraźnie pamięta dom dziecka, który stanowił bezpieczne środowisko do dorastania, jednak mama nalegała.  
Psycholożka szybko przeszła do sedna sprawy.  
– Co cię tutaj sprowadza?  
– Możliwe, że coś mi się przytrafiło, tak mówi mama.  
– Czy twoim zdaniem ma rację?  
Zatem już od samego początku punkt ciężkości został przesunięty z adopcji na relacje z rodzicami. Godzinę później psycholożka przedstawiła pierwszą analizę.  
– Nie jest powiedziane, że to w Etiopii wydarzyło się coś, co stało się źródłem twoich lęków.  
– Czyli?  
– Kiedy człowiek źle się czuje, prawie zawsze coś nie gra w domu.  
To musiało być wiosną albo na początku lata, ponieważ Katja pamięta kwitnące wiśnie.  
– Adoptowanym dzieciom nie jest lekko. Jednak ich rodzicom żyje się jeszcze trudniej.  
– Możliwe.  
– Rozumiesz, do czego zmierzam?  
Nie rozumiała, ale miała przeczucie, że kryje się za tym coś ekscytującego, ponieważ twarz terapeutki wyrażała oczekiwanie, jakby zamierzała ujawnić coś wielkiego.

– W mojej branży mawiamy: „Opowiadać znaczy skrywać tajemnicę”. Zastanów się, o kim tu u mnie mówiłaś najwięcej.

– Nie wiem...

– No o kim opowiadałaś przez minioną godzinę?

– O rodzicach.

– Właśnie. Powiedziałaś, że wszystko jest z nimi w porządku.

Podniecenie psycholożki było niemal przerażające – to jej badawcze spojrzenie utkwione w twarzy Katji, kiedy przysunęła się jeszcze bliżej, szepcząc:

– I myślę, że być może twierdzisz tak, aby coś ukryć.

– Niby co?

– Kiedy opisujesz ich jako rodziców doskonałych, mnie zapala się czerwona lampka. Że coś za tym stoi, jakaś tajemnica. Rozumiesz?

– Nie jestem pewna.

Kiedy Katja wyszła z gabinetu, zachodziło już słońce. Zajrzała w głąb siebie, ale nie udało jej się dotrzeć do sekretu zasugerowanego przez psycholożkę. Mimo wszystko coś w sposobie rozumowania tej kobiety do niej przemawiało. Skupienie się dla odmiany na rodzicach odbierała jako odświeżające. Że to niby oni, a nie adopcja i Etiopia, sprawiali, że odstawała od reszty – bo że była inna, nie ulegało wątpliwości. Dawało jej to szansę poczuć się zwyczajnie. Jeśli mama z tatą okazałoby się wy tłumaczeniem jej złego samopoczucia, wszystkie problemy nabrałyby bardziej ogólnoludzkiego wymiaru, stałyby się bardziej... szwedzkie.

Ponadto spodobały jej się pochwały, które podczas wizyty otrzymywała za każdą wypowiedź na temat rodziców. Wystarczyło, że trochę ich przedrzeźniała albo powtórzyła, co mówili na jakiś temat, aby psycholożka chwaliła ją za odwagę i twierdziła, że robi postępy.

Lecz dziewczynka nie zdążyła odsłonić przed nią żadnej tajemnicy. Zaledwie po dziesięciu spotkaniach rodzice zabronili jej na nie chodzić.

Ale było już za późno. Uruchomił się w niej jakiś mechanizm i odtąd analizowała swoich rodziców w milczeniu, jak w trakcie rozmów w mrocznym i ciasnym gabinecie.

Coraz więcej czasu spędzała w bunkrze, gdzie nie musiała wysłuchiwać ich paranoicznych oskarżeń. Po wizytach u psycholożki zaczęli bowiem na nią naciskać, w kółko dopytując się, co tam właściwie zaszło i czy kolejne wspomnienia z Afryki zaczęły powracać.

Któregoś razu mama zapytała bez ogródek:

– Doszłaś do czegoś podczas rozmowy z terapeutką, prawda? Co sobie przypominałaś?

Nie mogła ścierpieć tezy rodziców o tym, że została skrzywdzona. Nie mogła znieść wzroku mamy, coraz bardziej zaniepokojonej, nie cierpiała tego, że jej nie wierzyli.

I tak powoli, ale nieodwołalnie, oddalali się od siebie.

Desperacko usiłuje obudzić ojca, aby się więcej dowiedzieć o czasach przed terapią i po niej, ale on tylko bełkocze pod nosem.

Czuje zbliżające się łzy.

– Obudź się!

Ale nie udaje się wyrwać go ze snu.

Ściany zaczynają się zaciskać. Zdmuchuje płomyk świecy, by się uspokoić.

Zapada mrok.

Słysząc jedynie słaby oddech taty.

Spogląda na zegarek.

Za szesnaście godzin odlatuje samolot do Nowego Jorku, gdzie Katja rozpocznie nowe życie.

Nie chce wyjechać, nie poznawszy odpowiedzi.

Majowy wieczór jest jasny i ciepły. Wyjście na świeże powietrze po tych rozmyślaniach w ciemności przynosi jej ulgę. Po deszczu wyczuwa rześki zapach ziemi i trawy.

Zadziwiające, jak bardzo ten wieczór – równie ciepły i wonny – przypomina o tamtym, do którego sięga teraz pamięcią. Taka sama pogoda – wtedy również była wiosna. Kiedy wyszła z budynku szkoły po pierwszej wizycie u terapeutki, słońce tak samo przeblyskiwało przez zazielenione korony drzew, rzucając równie długie cienie na jezdnię. Choć minęło już niemal dwadzieścia lat, pamięta to uczucie: stała samotna na opustoszałym dziedzińcu, starając się przetrwać to, co zaszło podczas spotkania. Jakby przez godzinę wirowała w bębnie pralki, a potem została z niej wypluta – potargana i oszołomiona.

Mija teraz to miejsce i drepcze dalej ulicą, którą szła tamtego dnia.

Powoli posuwa się naprzód, bacznie się rozglądając, aby na nikogo nie wpaść. Czuje się jak szpieg na tajnej misji. Te same domy, a jednak inne. Tu i ówdzie przewijają się nowe – musiały wyrosnąć już po tym, jak się stąd wyprowadziła. Wszystko wygląda podobnie, a mimo to jakoś inaczej. Im bliżej podchodzi, tym do głębszych pokładów pamięci dociera.

Z pierwszej rozmowy z psycholożką wyszła podenerwowana i musiała zebrać myśli, udała się więc w kierunku labiryntu, do swojego sekretnego miejsca, choć miała świadomość, że w domu czekają na nią rodzice.

Odsunęła ciężki gład zakrywający wejście, otworzyła kłapę i zeszła na dół. Przesiedziała w nim ponad godzinę, rozmyślając i wpatrując się w płomień świecy.

Teraz kroczy tą samą ścieżką przez ten sam las. Idzie dróżką pod górkę, jak wielokrotnie w dzieciństwie.

Polana wciąż tam jest, labirynt również, choć może trochę zszarzał przez te lata.

Przecina otwartą przestrzeń i podchodzi do rosłej sosny, która zawsze stanowiła jej drogowskaz. Kilka metrów za nią natychmiast odnajduje włącz do bunkra.

Przystaje i patrzy.

Przybiegła tu po pierwszej sesji terapeutycznej. To tutaj uformował się sposób, w jaki postrzegała rodziców. Nie zweryfikowała go nawet wtedy, kiedy mama zmarła na raka, a ojcu w jesieni życia zaczęła doskwierać samotność.

Kto wie – przychodzi jej teraz do głowy – czy na swój sposób nie została w tym bunkrze od tamtego wieczora. Wmawiała sobie, że stał się dla niej błogosławieństwem, że jej krytycyzm był darem i że reszta świata żyje w kłamstwie. Jednak kiedy teraz stoi w tym lesie, otulona zapachami przypominającymi dzieciństwo, dochodzi do wniosku, że za tragedię można uznać to, iż zawsze odnosiła się z rezerwą do tych, którzy próbowali się do niej zbliżyć: do Toma, do współpracowników. Nigdy ich nie wpuściła do swojego emocjonalnego schronu, bez przerwy stojąc na straży wejścia.

Ale teraz chciałaby się wydostać.

Wysoko w górze szumią korony drzew. Odległe stukanie dzięcioła sprawia, że zielony baldachim nad jej głową wydaje się jeszcze większy. I wtedy pojawiają się lzy: ciepłe i słone, ponieważ to wszystko zaczyna do niej docierać.

Spogląda na włącz i gład z tabliczką tuż obok, a potem znowu na otwór.

Waha się, lecz zaraz upomina, że jeśli to ma się udać, powinna odrzucić swój cynizm.

Pada na kolana, przykładła dłonie do zimnego kamienia i przepycha go, aby zakryć wlot bunkra.

Potem wstaje, otrzepuje się z ziemi i ocenia rezultat.

Włącz zamknięty, nareszcie. 3 maja 2010 roku, dwudziesta pierwsza trzydzieści to ta chwila, w której kończy się stare i zaczyna nowe życie.

Odwraca się i obrzuca spojrzeniem światła osiedla majaczące między sosnami – te setki

rozjarzonych okien – i przychodzi jej do głowy refleksja, że każda z osób tam mieszkających ma wyartykułowaną, uproszczoną historię swojego życia i uważa ją za prawdziwą.

Wątpliwości powracają – ta znajoma niepewność...

Czy spotkanie z psycholożką naprawdę było tak brzemienne w skutki? Czy ona rzeczywiście nadała temu kamieniowi symboliczne znaczenie?

Wzdraga się, kiedy nagle owiewa ją wiatr. Stojąc tu, nawet nie zauważyła, kiedy się ochłodziło.

Powoli mija labirynt, schodzi z pagórka i idzie do domu ojca, w którym spędzi tę ostatnią noc, a potem wszystko za sobą zostawi.

## Tom

marzec 2011

Jest jeszcze ciemno, kiedy Tom o poranku przemierza Sveavägen z sercem łomoczącym w piersi i parującym oddechem. Idzie szybkim krokiem, spieszy się do biura. W torbie na laptop ma książkę Katji. Nie pamięta już, kiedy ostatnio tak się niecierpliwił przed lekturą.

Od wypadku upłynęły już trzy tygodnie, a Martin nadal nie dał znaku życia. Chcąc uniknąć podejrzeń, Tom bardzo się pilnował, aby nie wypytywać Bengta o jego stan, ale wpisy pod jego anonimowymi zapytaniami na [www.svaren.se](http://www.svaren.se) potwierdzały, że osoba, która przeleżała w szpitalu trzy tygodnie, ma raczej marne szanse na wybudzenie, co go ucieszyło.

Oczywiście życzenie komuś śmierci może wydawać się makabryczne, ale gdy tylko odzywają się wyrzuty sumienia, przypomina sobie, że Martin najprawdopodobniej zamordował własną córkę, i wtedy nastrój mu się poprawia. Nigdy nie zapomni wykrzywionej miny Horna, kiedy rzucił się na niego w mieszkaniu Rolfa Millera. To była twarz dzieciobójcy. Ktoś taki nie powinien przebywać na wolności.

Zdaje sobie sprawę, że do pracy przyszedł pierwszy, jak lubi. Przed porannym zebraniem chce jak najwięcej przeczytać z książki Katji.

Nie ma pojęcia, czego dotyczy, ponieważ odebrał paczkę ze sklepiku na rogu obok mieszkania dzisiaj rano.

Choć z formularza wynikało, iż paczka przysłała z Nowego Jorku, nawet przez myśl mu nie przeszło, że pochodzi od Katji, więc przeżył szok, gdy otworzył ją w autobusie.

Po szybkim przewertowaniu pierwszych stron stwierdził, że tym razem to proza, co go, rzecz jasna, zdziwiło.

Całą drogę do wydawnictwa myślał o treści, a im dłużej się zastanawiał, w tym większą popadał paranoję. Mogła pisać o życiu w Nowym Jorku albo o ich związku. Nie miał pewności, co go bardziej przeraża.

Bez względu na temat napawał się myślą, że na parę godzin znowu spotka się z Katją, pożyje w jej głowie i narracji. Nie mógł się doczekać.

Ostatnimi czasy zaczął patrzeć na ich relację inaczej. Poza tym brakowało mu kogoś bliskiego. Męczyło go, że jest jedyną osobą, która wie, co naprawdę przydarzyło się Martinowi. Dźwigał te wyrzuty sumienia sam i czuł się przez to dość niepewnie.

Wchodzi do swojego pokoju i zamyka drzwi, żeby wszyscy myśleli, że go jeszcze nie ma, po czym siada za biurkiem i wyjmuje książkę.

Tytuł, jego zdaniem, przykuwa uwagę: *Dziewczynka z bunkra*.

A więc mimo wszystko go posłuchała. Ileż to razy tłumaczył jej wagę tytułu i opowiadał o dyskusjach z Martinem nad tym, który najlepiej pasuje do książki! Wzrusza go, że najwyraźniej jego praca wywarła na nią jakiś wpływ. Ostrożnie przewraca pierwszą stronę.

Stwierdza, że to opowiadanie o dzieciństwie, i odbiera to z pewną ulgą, ale również z rozczarowaniem. W głębi duszy interesowała go jej wersja ich wspólnego życia.

Zabiera się do czytania i tekst szybko go wciąga. Jest pod wrażeniem. Katja pisze ze swadą, prosto i sprawnie nakreśla ramy opowiadania: trzydziestoletnia dziewczyna – Katja – jedzie do domu umierającego ojca i z jego pomocą, oraz posiłkując się albumami, cofa się do czasów, kiedy była dzieckiem.

Drugi rozdział jest jeszcze lepszy: w przejmujących migawkach z przeszłości przedstawia, jak zaniepokojeni rodzice adopcyjni namawiają jedenastolatkę do pójścia na terapię,

aby się upewnić, czy ich córki nie dręczy jakaś wyparta trauma z Etiopii.

Tom łączywie przewraca kartkę. Historia się rozwija, przerasta i Katję, i jej matkę, i ojca, i jego samego. Poczucie rzeczywistości z wolna zanika.

Jemu w szczególności opowieść wydaje się pełna życia, ponieważ rozgrywa się w znajomych miejscach. Kiedy fikcyjna Katja odwiedza labirynt, na który Tom natknął się, szukając tropów Magdy, robi się niemal upiornie. Opisana polana, czarne głązy i panujący tam nastrój są dokładnie takie, jak zapamiętał.

To dobrze napisany fragment, w którym mroczny las i osobliwa instalacja stanowią przekonująco groźne tło akcji, kiedy Katja podąża za inną dziewczynką, też adoptowaną (ten motyw jest dla Toma niejasny...), aby odkryć tajemnicę.

Jednak właśnie wtedy, kiedy bohaterka dociera na miejsce, lekturę przerywa mu pukanie do drzwi.

Jakby zawalił się domek z kart.

– Taaak? – woła poirytowany.

Drzwi się otwierają. Już po minie Bengta widzi, że wydarzyło się coś ważnego. Podniecony staruszek wpada do gabinetu z ręką w górze i wybałuszonymi oczyma.

– Martin się obudził! Ocknął się!

Chciałby jakoś zareagować, ale brakuje mu słów.

– Właśnie rozmawiałem z Åsą... Jest w drodze do szpitala!

Tom chce uciec przed wzrokiem Bengta, obraca się więc na fotelu o sto osiemdziesiąt stopni w stronę okna.

– To fantastyczna wiadomość! – rzuca w końcu i brzmi to prawie tak, jakby w to wierzył.

– Zobaczę się z nim już dziś po południu. Wybierzesz się ze mną, prawda?

Tom spogląda na świat za szybą. Poranek jest mglisty i miasto przedstawia się dzisiaj wyjątkowo szaro i bezbarwnie. Śnieg na dachu kościoła przypomina mu pierwsze tygodnie pracy w wydawnictwie – dokładnie rok temu, kiedy obaj z Martinem zaczęli dzień od rozplanowania obowiązków.

– Niestety, nie dam rady – wykręca się, nadal odwrócony do Bengta plecami.

– Wyobraź sobie... W końcu będzie wiadomo, co się wydarzyło!

– Tak.

– Muszę powiedzieć reszcie – oznajmia Bengt, a potem drzwi się zamykają i zapada cisza.

Tom nie rusza się z miejsca, trzyma książkę na kolanach. Patrzy na kościół za oknem. Wysoko na niebie zauważa przelatujący samolot.

Wygląda jak człowiek, który unosi się z rozpostartymi ramionami, lekki jak piórko. Krwistoczerwone światełko miga kilka razy, po czym znika w chmurach.

Wszystko znów okrywa szarość.

## Przypisy

- [1] *Not now* (ang.) – Nie teraz.
- [2] *Yes, I do* (ang.) – Tak, wiem.
- [3] *Svaren* (szw.) – odpowiedzi.
- [4] *My room number is 411* (ang.) – Numer mojego pokoju to 411.
- [5] *Science is near...* (ang.) – Nauka zbliża się do stacji końcowej, *we know almost everything...* (ang.) – Wiemy już prawie wszystko, o czym powinniśmy wiedzieć, *there are only minor...* (ang.) – Pozostały już jedynie drobnostki do odkrycia.